ANALIZA PIOTRA GONTARCZYKA

96 amerykańskich śmigłowców Apache to najgorszy zakup polskiej armii

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 43/601 21–27 PAŹDZIERNIKA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Warzecha rozlicza konwencję PiS

KONFEDERATA PARADOKSALNY – PIOTR SEMKA ŻEGNA LESZKA MOCZULSKIEGO

Mobilizacja czy „łapanka" poborowych na Ukrainie?

Krucjata lewicowych mediów przeciw dzieciom

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 46 500 egzemplarzy

eprasa.pl 9265260c78

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

Uwaga: nowe ceny!

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY

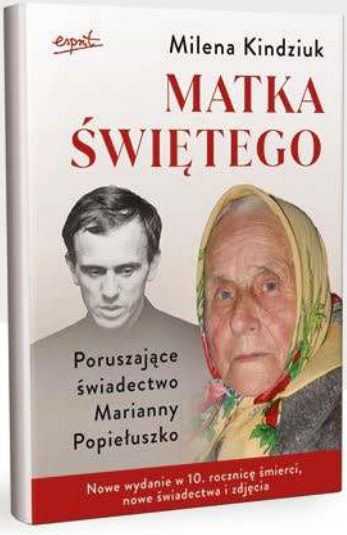

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

MILENA KINDZIUK: „MATKA ŚWIĘTEGO"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~509~~ZŁ

232,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 277ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9265260d78

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Uderzymy w Petersburg?

Kilka miesięcy temu tygodnik „Do Rzeczy" opublikował okładkę zatytułowaną „Generałowie idą na wojnę". W tekście pokazaliśmy różne osobliwe wypowiedzi polskich wojskowych (i byłych wojskowych) na temat wojny na Ukrainie. Swego rodzaju zwycięzcą w tym konkursie na autora najbardziej buńczucznej deklaracji był wówczas gen. Waldemar Skrzypczak, opowiadający o tym, że w przypadku konfliktu Rosja – NATO Polska zajmie Królewiec. Generał uważał, że odstrasza Rosję. „Wypowiedzi naszych polityków odbieram jako strachliwe, a przez to strachem zaraża się Polaków. Czas przestać. Niech Rosjanie wiedzą, że jeśli stworzą zagrożenie militarne, to my zajmiemy Królewiec. To jest logiczne i konieczne" – bronił się wówczas były wojskowy.

Najwyraźniej zajęcie Królewca to za mało, żeby odstraszyć Moskwę, dlatego w zeszłym tygodniu inny wojskowy, gen. Rajmund Andrzejczak, były szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego, poszedł w Wilnie jeszcze dalej. „Jeśli zaatakują choćby centymetr litewskiego terytorium, to odpowiedź nadejdzie natychmiast. Nie pierwszego dnia, ale w pierwszej minucie. Uderzymy we wszystkie strategiczne cele w promieniu 300 km. Zaatakujemy bezpośrednio Petersburg" – powiedział wojskowy. Później nieco się od tej wypowiedzi zdystansował, twierdząc, że została wyrwana z kontekstu, chociaż mówił o tym tak niejasno i dwuznacznie, jakby swoją tezę podtrzymywał. Według niego należy stosować język jasno deklarujący, że w razie rosyjskiego ataku nasze siły zbrojne są po to, żeby zniszczyć ważne cele przeciwnika.

Szczerze mówiąc, podobne deklaracje uważam za szkodliwe i nieodpowiedzialne.

Po pierwsze, nie bardzo rozumiem, w czyim dokładnie imieniu wypowiadają się polscy generałowie. Czy mówią to, co mówią, w imieniu Polski czy NATO? W tym drugim przypadku takie deklaracje faktycznie miałyby sens i można by je uznać za formę retorycznego odstraszenia. Niech sobie Rosjan straszą Amerykanie, dysponujący podobnym arsenałem (a zapewne znacznie większym) jak Moskwa. Niech grożą szefowie NATO. Ale my? Polska jest tylko jednym z członków sojuszu, i to nie najważniejszym, a jej ziemie w przypadku rozszerzenia konfliktu natychmiast stałyby się terenem bitewnym.

Po drugie, można uznać, że gen. Andrzejczak zagroził Rosji atakiem Polski na Petersburg w przypadku zajęcia – hipotetycznego i ewentualnego – centymetra ziemi litewskiej. I tu pojawia się pytanie: Dlaczego generał postawił znak równości między „centymetrem ziemi litewskiej" a wielomilionowym, zamieszkanym przez ludność cywilną miastem? Czy Petersburg to baza wojenna? Dlaczego nie powiedział tego, co powinien był powiedzieć: że każdy atak Rosji na państwo NATO spotka się z adekwatną odpowiedzią? Wskazując na konkretne miasto jako na potencjalny atak zbrojnego kontrataku, generał popełnił fundamentalny błąd. Jedynym efektem może być dostarczenie propagandzie rosyjskiej argumentu: w tej wojnie nie chodzi o obronę Ukrainy, ale o wojnę z Rosjanami.

Po trzecie, wiem, że to wszystko to są, na szczęście, zmagania słowne. Ale jednak nawet w tym przypadku trzeba uważać na to, co się mówi, żeby się, najkrócej mówiąc, nie ośmieszyć. Czy Polska ma siły rakietowe zdolne do uderzenia w Petersburg? Równie dobrze ten lub inny generał może ogłosić, że Polska zaatakuje Krym swoją flotą albo wyśle swoje wojska do Władywostoku.

Po czwarte, doskonale rozumiem psychologicznie zachowanie polskiego generała i wielu mu podobnych, którzy chcieliby bardzo pokazać, jak są odważni. Tak się składa – a to temat na osobny tekst – że w Polsce najłatwiej prężyć muskuły, okazując lekceważenie Rosji. Tylko że mówiąc to, co mówią, owi wojskowi ryzykują nie swoim własnym życiem, ale całej społeczności. Ich słowa nie są traktowane przez Moskwę jako wypowiedzi prywatnych osób, indywidualnych ekspertów, ale jako głosy reprezentujące postawę elit wojskowych i politycznych – w końcu chodzi o jednego z wojskowych mającego najwyższą rangę w armii. Co zatem proponuje generał? W przypadku ataku Polski na Petersburg narazilibyśmy się na odpowiedź, która to, zgodnie ze zmienioną we wrześniu tego roku doktryną wojenną Moskwy, mogłaby oznaczać użycie wobec Polski broni atomowej. Niemożliwe, żeby generał o tym nie wiedział. Grozić państwu atomowemu atakiem konwencjonalnym zdaje się szczytem wariactwa.

Po piąte, takie wypowiedzi nie zmniejszają ryzyka dla Polski, lecz je zwiększają. Im ostrzej i łatwiej polscy generałowie opowiadają o tym, co zamierzają zdobyć i w co uderzyć, tym bardziej obniżają psychologiczną granicę dla podobnych projektów po drugiej, rosyjskiej stronie. Nie rozumiem, co można przez to osiągnąć poza budowaniem wizerunku Polski jako państwa najbardziej wrogiego Rosji i prowadzącego politykę ryzykancką. Taki wizerunek mógłby mieć, gdyby doszło do konfliktu bezpośredniego, fatalne skutki dla Polaków. To banalna prawda, że łatwiej i bardziej brutalnie uderza się w przeciwnika, którego się nienawidzi.

Aż chciałoby się powiedzieć: chroń nas, Boże, przed gadulstwem generałów! ©℗

eprasa.pl 9265260d78

TEMAT TYGODNIA

12 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
TO NIE JEST KRAJ DLA DZIECI
Zwalczanie macierzyństwa

KRAJ

18 ŁUKASZ WARZECHA
KONGRES PIS, CZYLI NIGDY SIĘ NIE PRZYZNAWAJ!
Na prawicy bez zmian

21 ROZMOWA Z MARCINEM PALADE
OSTATNIA SZANSA DLA PIS

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TANIEC Z MIGRANTAMI

26 ROZMOWA Z KS. BP. ARTUREM WAŻNYM
WESZLIŚMY NA DROGĘ OCZYSZCZENIA DIECEZJI SOSNOWIECKIEJ

29 PIOTR SEMKA
KONFEDERATA PARADOKSALNY

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
BUDDA NA ZAKRĘCIE

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
ŚWIAT PO KOREAŃSKU
Jak się robi politykę kulturalną

38 ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ CZYŃSKĄ
Z PLATERAMI DO SŁAWY

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 LECH MAŻEWSKI
NOWA KONSTYTUCJA?
Kto ma rządzić Polską

49 PIOTR GONTARCZYK
NAJGORSZY ZAKUP POLSKIEJ ARMII

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KOŚCIÓŁ KATOLICKI PRZEPRASZA

HISTORIA

54 MARCIN SKALSKI
MATKA BOŻA MÓWI DO POLAKÓW
Film „Gietrzwałd 1877"

ŚWIAT

58 MACIEJ PIECZYŃSKI
MOBILIZACJA CZY „ŁAPANKA"?
Coraz trudniejsza sytuacja Ukrainy

61 TERESA STYLIŃSKA
WSZYSTKIE BŁĘDY EUROPY

64 JAN BOGATKO
NIEMIECKIE MEDIA: NA LEWO PATRZ!

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
NIEPOKONANI ZŁODZIEJE CZASU
Groźny bezsens wciąż bez zmian

71 PIOTR SEMKA
BOEING – POWIETRZNE MARZENIE AMERYKI

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
PARYŻ PRZEZ DZIURKĘ OD KLUCZA
Czasopismo wyprzedzające czas

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (57), PRZYBYLSKI (66), GABRYEL, WARZECHA (67), KOMUDA (77), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 9265260d78

TYGODNIK POLSKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Cosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Śrem, czyli multi-kulti już tu jest", Kacper Kita, „DRz" nr 40/2024

Szanowna Redakcjo!
Artykuł „Śrem, czyli multi-kulti już tu jest" p. Kacpra Kity sprawił, że poczułam się oszukiwana z całą premedytacją przez kilka lat. Jestem życzliwą obserwatorką działalności PiS, widzę też tam tłuste koty, kolesiostwo, nepotyzm, szczególnie w mniejszych ośrodkach. Zawsze byłam przeciwna masowej, obcej kulturowo migracji. Jednak przemawiały do mnie argumenty, że celowe, „na zamówienie" sprowadzanie obcokrajowców jest wzmocnieniem polskiej gospodarki.

Pierwszy sygnał ostrzegawczy to pytania opozycji w czasie „afery wizowej", czy ktoś kontroluje powrót cudzoziemców po skończonych kontraktach do swoich krajów. I okazało się, że nikt tego nie wie... To był nurt podskórny, a oficjalnie protesty, referendum i teraz mam wrażenie, że chodziło tu o hasło „wolnościowe": nikt nie będzie nam dyktował, kogo mamy wpuszczać do Polski. Zadziwia mnie ślepota, brak refleksji i badań na temat obcych, małych enklaw.

Milczenie rządu PiS, brak otwartego przyznania się do prowadzonej polityki migracyjnej to poważna strata wizerunkowa, choć PiS nigdy nie potrafił zrobić nic sensownego w tej dziedzinie. Złość, smutek, zawód, że polityka od kulis jest taka sama w ogłupianiu społeczeństwa, niezależnie od partii. Jesteście głosem rozsądku wśród mnóstwa opiniotwórczych czasopism, nie ma tutaj tematów tabu ani napastliwych wypowiedzi. Życzliwy smutek, zaduma i nieustająca nadzieja, że Wasz głos rozsądku dotrze tam, gdzie powinien, z dobrym skutkiem.

Z wyrazami szacunku
J. Sarosiek

„Ratować psa czy człowieka?", Łukasz Warzecha, „DRz" nr 40/2024

Na Pana Łukasza Warzechę zwróciłam uwagę już wtedy, gdy pojawiał się w programach telewizyjnych z Agatą Młynarską w ówczesnym TVP. Jego oryginalny komentarz różnił się od ogólnie obowiązującego. To jest dobre. Z uwagą czytam Jego felietony i artykuły. Ale podejrzewam, że Pan Łukasz Warzecha chyba musi szczególnie nie lubić psów i kotów. O czym świadczą Jego artykuły dotyczące wyżej wymienionych. Uważa, że nie należy ratować pojedynczych psów. Co innego, gdyby było ich więcej. Uczepił się, bo może ratownicy byliby potrzebni gdzie indziej. Myślę, że oni ratowali psa przy okazji, bo widzieli, że tej pomocy potrzebuje. Przecież pies nie dzwonił po ratowników.

PS Chciałabym dodać, że nie jestem ani feministką, ani zwariowaną obrończynią przyrody.

stała czytelniczka
Maria Cukiernik

Od autora

Z faktu, że ktoś opowiada się przeciwko „prawom zwierząt" albo przeciwko ich traktowaniu jak ludzi, nie wynika, że zwierząt nie lubi. Ja sam psa miałem dwa razy w życiu. Kota nigdy, ale koty darzę sympatią i podziwem.

Łukasz Warzecha

eprasa.pl 9265260d78

NA PIERWSZY OGIEŃ

Prezydent na mocnym gruncie

PIOTR SEMKA

Rok po wyborach zdecydowałem się skorzystać z mojego konstytucyjnego prawa i wygłosić orędzie do Sejmu. Uważam, że trzeba podsumować to, co zostało dokonane lub zaniechane, i przypomnieć, jak fundamentalne wyzwania stoją przed Rzecząpospolitą" – tymi słowy Andrzej Duda rozpoczął sejmowe wystąpienie. I było to najlepsze wystąpienie głowy państwa od dłuższego czasu.

Prezydent przypomniał, że kwestie bezpieczeństwa powinny być wyjęte poza nawias partyjnego sporu. Kąśliwie podziękował, że rząd Donalda Tuska z dużym opóźnieniem dołączył do grona obrońców granic Rzeczypospolitej, i wypomniał, że kiedy za czasów poprzedniego gabinetu głosowano w Sejmie nad stworzeniem zapory na granicy z Białorusią, to z obecnej koalicji tylko posłowie PSL głosowali „za".

Dość trafnie prezydent wskazał też, że samo hasło cofnięcia prawa do azylu w Polsce nie zmieni wiele, jeżeli nie będzie poparte konsekwencją w zwalczaniu nielegalnej imigracji. Wypomniał kluczenie nowego rządu w sprawie CPK, znaki zapytania wokół przyszłości energetyki atomowej i zepchnięcie wielu innych wielkich inwestycji na dalszy plan. Wyjaśnił też przy okazji, dlaczego nie jest w stanie zaakceptować masowego odwoływania ambasadorów bez konsultacji z nim.

Głowa państwa trafiała celnie w bolączki rządu. Dowodem był sam Tusk, który w dość chaotycznej ripoście najpierw oskarżał prezydenta o mówienie „słów nieprawdy", by na koniec samemu sobie zaprzeczyć i ogłosić, że „nie będzie polemizować z orędziem prezydenta, bo to byłoby jałowe".

Jeszcze bardziej groteskowe wrażenie zrobiła wypowiedź marszałka Szymona Hołowni, że Andrzej Duda „pomylił prezydenckie orędzie z wiecem, na którym walczy o schedę po prezesie Kaczyńskim".

Andrzej Duda stąpa po mocnym gruncie, gdy wciela się w rolę głowy państwa jako stróża praworządności, który musi myśleć o bezpieczeństwie państwa jako sferze niepodlegającej bieżącym przepychankom na linii rząd – opozycja.

Swoistym uzupełnieniem sejmowego wystąpienia było spotkanie prezydenta z bezprawnie odwoływanymi ambasadorami RP.

Na ok. 50 dyplomatów ukaranych jedynie za to, że powołano ich za czasów rządów PiS, przybyło ponad 20. Zaryzykowali dyscyplinarne zwolnienie, czym im grożono ze strony MSZ od pewnego czasu.

Dobrze, że ustały księżycowe dywagacje o włączeniu się szefa gabinetu prezydenta Marcina Mastalerka w rywalizacji o prezydenturę w przyszłorocznych wyborach. Tego typu plany wcale nie podwyższały prestiżu prezydenta, a jedynie skłócały obóz prawicy. Jeśli prezydent w najbliższych miesiącach będzie umiał rzeczowo, ale bez ogródek rozliczać ekipę Tuska z zaniechań i błędnych kroków, to prestiż prezydenta wzrośnie. Owszem, będzie obiektem agresywnej kampanii ze strony obozu III RP, ale i tak by go upokarzano, nawet gdyby siedział w polskiej polityce cicho. Jego wyborcy wybierali go, by bronił wartości, z którymi szedł do wyborów, do ostatniego dnia sprawowania urzędu. Ani dnia krócej. ©℗

FOT. ADOBE STOCK

INFLACJA BAZOWA MOCNO W GÓRĘ

We wrześniu 2024 r. inflacja po wyłączeniu cen żywności i energii wyniosła 4,3 proc. w ujęciu rocznym – ogłosił w ubiegłym tygodniu NBP. To najwyższa wartość tego wskaźnika od marca 2024 r. Jeszcze w sierpniu wynosiła ona 3,7 proc. r/r. To ważna informacja zwłaszcza dla posiadaczy kredytów, którzy liczą na szybkie obniżki stóp procentowych. Zdaniem ekonomistów tak duża presja cenowa nie pozwoli członkom RPP na obniżki stóp procentowych w najbliższych miesiącach. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 9265260d78

dwaj panowie g

No i po konwencjach. Zaczniemy od partii rządzącej. Wielu członków PeŁo zachodziło w głowę, czemuż to tak forowano Radka Sikorskiego, skoro nawet nie jest we władzach partii. Wiewiórki odpowiadają – w Platformie de facto trwają prawybory prezydenckie: Trzaskowski czy Sikorski. No i Zły Donald z Sopotu postanowił wzmocnić Radka. Ma rację. Radek dostał dłuższe brawa niż Rafał. No i kolejka do zdjęć z Sikorskim też była dłuższa.

Tymczasem w Przysusze. Wielki zjednoczeniowy kongres PiS-SP zakończył się sukcesem, co znaczy SolPolowcy i morawianie nie powybijali sobie zębów na sali. A to już coś. Poza tym wiele się musiało zmienić, żeby wszystko zostało po staremu. Jeśli myślicie, że nowi wiceprezesi, poszerzone ciała i nowe ciała coś mogą, to jesteście w mylnym błędzie.

Na kongresie PiS padło wiele słów, ale nas najbardziej zainteresowały te Naczelnika, że partia jest elitą narodu, a obecni na sali – elitą elit. Pozwalamy sobie mieć nieco inne zdanie. Niemniej chcieliśmy zdefiniować wyraźnie kwestię wyboru stojącą przed Polską: albo nadzwyczajna kasta, albo elita elit. Przy okazji zastrzegamy: owszem, PiS miał elitę elit, i to na serio – np. prof. Krasnodębski albo prof. Legutko. Ale słowo „miał" pada tu przecież nie bez powodu.

Gruchnęła wieść, że PiS rozważa prawybory. Miałyby się odbywać w okręgach, a do wyboru mieliby być kandydaci Mariusz Błaszczak, Tobiasz Bocheński, Karol Nawrocki i Marcin Przydacz. Jak słyszeliśmy nieoficjalnie, do tej wiadomości potrzebne jest ważne uzupełnienie: Błaszczak ma podobno kandydować tylko po to, żeby się wycofać.

Tymczasem w Dubrowniku. W pięknych okolicznościach przyrody spotkali się tam Europejscy Konserwatyści i Reformatorzy. Jak słyszeliśmy od EKR-owskich wiewiórek, perspektywa objęcia szefostwa przez Mateusza Morawieckiego przedłuży się jeszcze bardziej, niż myślano. Zapowiadaliśmy początek grudnia, a może być i po świętach Bożego Narodzenia. Może to i lepiej. Niech Polska da Europie w prezencie to, co ma najlepszego.

Skoro o wyjazdach z Polski. Kilka osób odetchnęło, gdy nasz kraj opuścił niejaki Pablo González vel Pawka Rubcow. A konkretnie chodzi o osoby płci pięknej. Jak się okazuje, na wizerunek korespondenta wojennego nabrała się nie tylko Magdalena Ch. Podboje miłosne iberyjsko-ruskiego lowelasa miały naprawdę imponujące zasięgi. No i jest problem. Część pań podejrzewa, że Pawka dokumentował ich spotkania. No cóż, możemy to potwierdzić. Jest tylko jeden problem. Oryginały kompromatów zostały co prawda zabezpieczone, ale niestety kopie dawno wysłano do Moskwy.

Niektóre wyjazdy mocno się opóźniają. Na przykład taki Bogdan Klich – miał jechać do USA na niby-ambasadora, ale jakoś dotąd nie poleciał. No i długo jeszcze nie poleci. Powód? Nie ma dowodów na piśmie, że zna język lengłydż, a dla chargé d'affaire to wymóg obowiązkowy, ustawowy. No i teraz Klich musi zdać resortowy egzamin z języka lengłydż, ale one nie odbywają się każdego dnia. Najbliższy termin – listopad. Teraz najzabawniejsze: w niesłusznym, PiS-owskim projekcie nowej ustawy ten obowiązek był zniesiony.

Marynarka Wojenna wzbogaci się o nową jednostkę. Będzie to niszczyciel min ORP „Czajka". Nieoceniony Marcin Kędryna zaproponował, by ojcem chrzestnym okrętu został Rafał Trzaskowski. Popieramy.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Rodzina na swoim. A właściwie na naszym. Otóż jedna z naszych wiewiórek twierdzi, że pewien parlamentarzysta mieszka w lokum, które kupiły jego dzieci na kredyt. Jako inwestycję. Z niecierpliwością czekamy na dobranie się do księgi wieczystej tej nieruchomości.

Spotkaliśmy niedawno jednego z szefów służb, który korzysta z uroków emerytury. Nie ten sam człowiek. Wypoczęty, odstresowany, ale nie do końca zadowolony z przymusowej bezczynności. Chcielibyśmy więc przestrzec – historia zna mnóstwo przypadków, kiedy to ludzie służb robili dziwne rzeczy, kiedy się nudzili. Ale my nie o tym. Otóż kontynuujemy temat dziar, znaczy tatuaży. Nawrocki, szef IPN, jak dzięki nam wiecie, ma tatuaże kibicowskie. A ów były szef służb, o którym teraz piszemy? Obiecaliśmy ujawnić, to ujawniamy: ma lepsze dziary, bo rockowe!

Z życia żurnalistów. Najlepsze zamachy stanu to te, które się nie udają. Wiewiórki obecne na zjeździe Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich w Kazimierzu Dolnym właśnie o takiej sytuacji opowiadają. Otóż szykująca się do odwetu grupa walcząca o „odpolitycznienie" stowarzyszenia przegrała w niemal wszystkich głosowaniach. Rewolucjoniści spod znaku demokracji walczącej i prawa takiego, jakim je rozumieją, są jednak sami sobie winni. Po prostu zbyt wielu z nich nie przyjechało. My to rozumiemy. Co tam jakieś SDP, kiedy przyszła pora na konsumowanie fruktów od nowego reżimu.

W efekcie powyższego nieudanego zamachu stanu sukcesję po Krzysztofie Skowrońskim płynnie przejęła Jolanta Hajdasz, której wystąpienie o potrzebie zachowania wolności słowa i praw dziennikarzy było równie płomienne jak barwa jej kostiumu. No i grupa dążących do „odpolitycznienia" znów ma problem. Ale – jak wiadomo – nie chodzi o to, by złapać króliczka, lecz by gonić, gonić, gonić go. ©℗

eprasa.pl 9265260d78

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Kamaryla Kamali

Fakt przyjęcia przez UE dyrektywy o nazwie „Digital Service Act" (DSA) umknął większości naszych mediów. Może dlatego, że news brzmi nieco absurdalnie: Europa chce regulować działalność firm amerykańskich, takich jak Google, Meta czy X. A właściwie nie regulować, ale cenzurować. Realizuje więc pogróżki, którymi sypnęła po opublikowaniu przez Elona Muska wywiadu z Donaldem Trumpem: albo dacie nam prawo do usuwania z waszych platform „treści szkodliwych społecznie" (przy czym według DSA o tym, co szkodliwe, orzekać mają bez żadnego sądu i odwołania nie tylko unijne organa, lecz także upoważnione przez nie „organizacje społeczne"), albo wam utrudnimy robienie w Europie interesów.

Czy Unia rzeczywiście jest w stanie coś zrobić takim mocarzom jak wyżej wymieni? Dobre pytanie, ale po niedawnej udanej prowokacji amerykańskiego dziennikarza Jamesa O'Keffy'ego bardziej zasadne jest pytanie inne: Po co właściwie, skoro Amerykanie cenzurują się sami? O'Keffy podpuścił jednego z inżynierów nadzorujących serwis Facebook do szczerego opisania swej pracy, nagrał te wyznania i je opublikował. Nie ma tam nic, czego byśmy się nie domyślali, choćby w kontekście podobnego nagrania jednego z szefów CNN, które obiegło Internet trzy lata temu – ale co innego się domyślać, co innego mieć dowody czarno na białym.

Nagrany pracownik Facebooka, Jeevan Gyawali, opowiada otwarcie, jak opinie nieżyczliwe wobec Kamali Harris są „shadowbanowane", tzn. ukrywane przed odbiorcami bez informowania ich autora, że jego posty uczyniono niewidocznymi dla innych. Opisywaliśmy szczegóły tej sprawy na portalu DoRzeczy.pl. Tu przypomnę tylko, że Gyawali potwierdził, iż promowanie w tak nieuczciwy sposób kandydatki demokratów dzieje się za wiedzą – a wręcz na polecenie – Marka Zuckerberga. To nie jest „komuna". To jest gorsze: za komuny wiadomo było, że jest cenzura, gdzie się znajduje, można było nawet z cenzorem dyskutować. Nie daj Boże Ameryce i światu, by kandydatka tych ludzi wygrała wybory. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

House of Cards

Konserwatyzm jest filozofią narodów szczęśliwych. Nie narodów, którym się dobrze powodzi, ale narodów, które identyfikują się ze swoimi instytucjami, ze swoją historią polityczną i ze swą ziemią. Tę głęboką identyfikację widziałem np. w katedrze św. Pawła w Londynie. Oczywiście musi razić zamienienie domu modlitwy w mauzoleum samouwielbienia narodu. Jednak posągi premierów, którzy za życia się zwalczali, a dziś stoją obok siebie, w pokoju, robią wrażenie.

Jeszcze bardziej, a już z całkowitym zachowaniem katolickiej pokory widać to na cmentarzu Glasnevin w Dublinie. Tam blisko siebie spoczywają bohaterowie wojny o niepodległość, którzy krótko po jej zakończeniu strzelali do siebie w czasie wojny domowej. Teraz razem czekają na Sąd Ostateczny.

Konserwatyzm jest filozofią narodów, które się siebie nie wstydzą, wolnych od ojkofobii, niegoniących za uznaniem zagranicy. Niestety, my, Polacy, nie bardzo potrafimy być szczęśliwi. Może jest w tym chłopski ślad ukrywania powodzenia przed zawiścią sąsiadów? W niewoli natomiast opanowaliśmy sztukę bycia narodem nieszczęśliwym, bo życie w stałym poczuciu frustracji jest niewątpliwie sztuką.

Nieszczególnie integruje nas wdzięczność wobec tych, którzy życiem zapłacili za zwycięstwa, np. w 1920 r. czy w ogóle w naszej Wielkiej Wojnie, o granice, w latach 1918–1921. Łączy nas za to kult buntu, powstania, odreagowania niedoli. W naszej kulturze samo wykrzyczenie wielkiego „dość" jest najważniejszym zwycięstwem.

Trudno przychodzi nam uznanie dla tego, co jest, za to łatwo – solidarność w sprzeciwie. Ktoś powie, że nie można na tym niczego zbudować. To jednak pochopny sąd. Na frustracji, wzajemnej wrogości, na oczekiwaniu nieokreślonej zmiany można w demokracji zbudować bardzo wiele. Choć na ogół są to domki o trwałości nie większej niż cztery lata, a czasami osiem. ©℗

eprasa.pl 9265260d78

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Dama z ptaszkiem

W Livorno postępowe władze miejskie usunęły asesora do spraw kultury Simone'a Lenziego. Stosunkowo znany lewicowy pisarz, tłumacz i szansonista ostatnio kilka razy sygnalizował, że mu z towarzyszami coraz bardziej nie po drodze, bo obrali kurs na zideologizowany zamordyzm rodem z Orwella. Diagnoza okazała się słuszna, bo wylali go, oskarżając o nieprawomyślność, w tym galopującą transfobię.

Lenzi zgrzeszył myślą i słowem, atakując dogmaty i świętych coraz bardziej błądzącej lewicowej wiary. Na pierwszy ogień poszli ekoterroryści z Ostatniego Pokolenia. Nazwał ich na platformie X „frustratami, którym świadomość, że nic nie potrafią, każe oszpecać dzieła pokoleń, które potrafiły wszystko".

Potem przyłożył lewicowej idei szkoły egalitarnej bez stawiania ocen i współzawodnictwa. Wskazał, że to idealny sposób na zablokowanie windy społecznej i konsolidacji przewagi uprzywilejowanych. Ale najbardziej zaszkodziła mu niepochlebna recenzja dzieła sztuki Jade Guanaro Kuriki Olivo „Kobieta", wystawionego na tegorocznym Biennale Sztuki w Wenecji. Do rzeźby z brązu tłumnie pielgrzymowali postępowcy z Włoch i zagranicy. Przedstawia naturalnej wielkości akt kobiety ze śladowymi piersiami i malutkim penisem. Lenziemu nie spodobał się tytuł dzieła. „Chcą nas przekonać, że kwintesencjonalna kobieta posiada ptaszka. Nie jesteśmy zgorszonymi mieszczuchami. Jesteśmy mieszczuchami śmiertelnie znudzonymi tym praniem mózgów, przewidywalnością i bezustannym pouczaniem" – stwierdził. Co gorsza, natrząsał się z 28 kategorii tożsamości seksualnej. Pytał, czy w wieku 56 lat może zostać zwolniony z obowiązku autoidentyfikacji, i wyraził płonną niestety nadzieję, że nie będzie z tego powodu prześladowany.

Utratę pracy skomentował: „Jak pięknie być człowiekiem wolnym". Wyraził obawy, że jeśli włoska lewica będzie nadal walczyć ze swobodą wyrażania poglądów, pozostawiając monopol na zdrowy rozsądek prawicy, to sprawna, charyzmatyczna Meloni nie będzie miała z kim przegrać najbliższych wyborów. Wiwat, Lenzi! ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl 9265260d78

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

TYLKO NIE TRUMP

Wybory prezydenckie w USA budzą w Polsce emocje niemal tak duże, jak głosowanie na polskiego przywódcę. No bo niby jeśli wygra Donald Trump, to i u nas wygra ktoś z prawicy, a jeśli jednak Kamala Harris, to przedstawiciel liberoleftu ma zwycięstwo w kieszeni. Taka logika. W związku z tym celebryci są pytani w wywiadach o ocenę sytuacji nad Potomakiem. Aktor Artur Barciś wskazał, że „jeżeli taki Trump wygra wybory i dogada się z Putinem w swoim prostackim myśleniu, że warto się tym światem podzielić, no to będzie bardzo źle". Jednocześnie Norek z „Miodowych lat" kibicuje Kamali Harris. – Nie chcę być tutaj prorokiem, ale jak Biden zdecydował, że będzie dalej kandydował, to ja od razu mówiłem: „Po co? Po co? Dlaczego? Kamala Harris jest najlepszą kandydatką". Uważałem od samego początku, że ona ma atut w tym nowoczesnym świecie – który myśli już zupełnie inaczej – że jest kobietą – wskazał Barciś. Dodał jeszcze, że choć kandydatka demokratów ma duże szanse na wygraną, to „świat jest czasami nielogiczny i niezrozumiały", więc olaboga, zły Trump może zwyciężyć. Ekspert, na którego nie zasłużyliśmy. I którego nie potrzebujemy.

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

W TUSKU NADZIEJA

Ale, ale, skoro za nami rocznica zwycięstwa uśmiechniętej fajno-Polski nad Polską moherowych smutasów, to Artur Barciś nie mógł nie podzielić się swoją refleksją i w tej sprawie. – Przede wszystkim nie żyjemy w tym zaduchu, w takim permanentnym kłamstwie. Polityka to jest taki świat, w którym trzeba ciągle dokonywać wyborów. To jest bardzo trudne – grałem Czerepacha, to coś o tym wiem. Daję im czas – powiedział pytany przez portal Plejada o ocenę roku rządów Donalda Tuska. – Jestem przekonany, że to jest dużo lepsze niż to, co było. Absolutnie to nie podlega dla mnie żadnej wątpliwości. Na szczęście ta władza umie współpracować z Unią Europejską, a tam jest bardzo dużo pieniędzy dla nas przeznaczonych. Poprzednia nie chciała tego wykorzystać – stwierdził. Aktor dodał, że „czasy są bardzo niepewne i właściwie nie wiadomo, co będzie". – Żyjemy w czasach wojny, która trwa już trzy lata. Nie wiadomo, co będzie na Bliskim Wschodzie, kto zostanie prezydentem Stanów Zjednoczonych – podkreślił. Na szczęście rządzi nami Tusk. Uff!

WINA PIS. I KOŚCIOŁA

Wszystko, co dobre, to zasługa Tuska, a to, co złe, PiS. A że PiS już nie rządzi? Nieważne. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" Andrzej Chyra pochylił się nad słabą kondycją polskiej kinematografii. Jego zdaniem przyczyną znacznego spadku jakości krajowego kina jest niewystarczające finansowanie, za które odpowiada – tak, tak – partia Jarosława Kaczyńskiego. – Jesteśmy w kryzysie. Robienie dobrych filmów wymaga pieniędzy. Polskie kino nie będzie miało na razie dobrego okresu, bo duża część budżetu za czasów PiS została rozdana swoim – stwierdził Chyra. – To, że powstanie wielkiej hollywoodzkiej produkcji było mrzonką, pokazały te wszystkie „Czerwone maki" i „Bitwy Warszawskie". Grube miliony wlane w narodowe tematy, z których wyszły słabe filmy. Czym my chcemy nasączać widzów? Co to za przyjemność oglądać, że zalewamy się krwią i szlachetnie umieramy za ojczyznę? – kontynuował w duchu walki z mitem bogoojczyźnianym. Aktor narzeka też na niskie świadczenia emerytalne w jego branży. – Artyści to grupa zawodowa, która ma najsłabiej uregulowane stosunki, jeśli chodzi o sprawy ubezpieczenia. Dlaczego nie dostajemy emerytury tak jak np. księża? – pyta Andrzej Chyra. Czyli wina PiS i Kościoła.

NA GRZYBY

Żeby nie było tylko o polityce, to teraz news z serii „prawie nikogo". Dariusz Pachut ogłosił oficjalnie, że oficjalnie zakończył związek z Dodą Elektrodą. „Miesiąc temu, po zakończeniu projektu w Norwegii, nad którym pracowałem z pełnym zaangażowaniem, postanowiłem wcześniej, niż pierwotnie ustalaliśmy, przyjechać do Turcji. Zjawiłem się tam dwa dni przed umówionym terminem. Niestety, to, co zastałem na miejscu, skłoniło mnie do trudnych refleksji i podjęcia decyzji o zakończeniu naszego związku. Była to bolesna decyzja, jednak muszę stwierdzić, że nasze drogi się rozeszły" – poinformował. Swoje trzy grosze postanowiła dorzucić do sprawy projektantka Ewa Minge. „Uważam, że wszystko, co możemy zrobić, to UNFOLLOW profil tego Pana" – zaapelowała. „Zdobył dzięki relacjom z popularnymi osobami zainteresowanie, zbudował m.in. na tym swój kontent i ma się całkiem dobrze [...]. Lubię Dorotę, więc kiedy zobaczyłam to wieloznaczne oświadczenie, sugerujące, jakoby Dorota postąpiła na tyle niemoralnie w stosunku do Pana, że musiał w niesmaku i bólach odejść, zrobiło mi się niedobrze" – grzmi Minge. „Kolejnym kobietom radzę się zastanowić, czy chcą być w przyszłości częścią tak słabej historii. Lubimy myśleć, »że z nami będzie inaczej«, ale sromotnik nigdy nie będzie prawdziwkiem... To tak z okazji sezonu grzybowego" – podsumowała projektantka. ©℗

eprasa.pl 9265260d78

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, miło nam przypomnieć, iż niedawno minął już rok, odkąd w wyborach odzyskaliśmy państwo, prawo, demokrację, telewizję, a co najważniejsze – odsunęliśmy pis od władzy. A jak wiecie, odsunięcie od władzy pis było warunkiem koniecznym (ang. sine qua non, bez którego nie), aby móc zreformować państwo, przywrócić praworządność, otworzyć w niedziele hipermarkety, rozliczyć złodziejstwo, postawić Kaczafiego przed Trybunałem w Hadze.

Może i nie wszystko to się udało, bo co prawda sklepy w niedziele dalej są zamknięte, a Kaczafi wciąż jątrzy i łączy się z Suwerenną Polską, iżby kąsać jeszcze mocniej, ale jednak musicie przyznać, iż atmosfera w państwie staje się coraz lepsza, żyje się przyjemniej, oddycha się swobodniej i bez tej stresującej myśli gdzieś z tyłu głowy, iż zaraz dopadnie nas na ulicy policja polityczno-religijna i siłą zaciągnie na rekolekcje.

A obietnice od rządu, no wiecie. Bądźmy rozsądni. Już kiedyś wam tłumaczyliśmy, iż obietnice nie są od realizowania, ale od składania, więc jeśli np. w kampanii wyborczej obiecywana jest wyższa kwota wolna od podatku, to nie po to, aby ją faktycznie wprowadzić, ale po to, iżby obywatele mogli się przez chwilę ucieszyć, iż ktoś w ogóle o tym myśli i im to proponuje. Wyższej kwoty wolnej nie ma i co? Czy ktoś się o to upomina? xD No właśnie.

Poza tym weźmy też pod uwagę, iż wyższa kwota wolna to mniej wpływów z podatków, a więc mniej dróg, mostów, szpitali, autostrad, stadionów i placów zabaw. Chcecie zabrać osobodzieciom place zabaw? Chociaż w sumie osobodzieci jest coraz mniej, te place zabaw w końcu będą stać i się marnować.

Niemniej chcemy do was zaapelować z okazji rocznicy tych wyborów i więcej uśmiechu, nie przejmować się, kochani, co mówią o Gajewskiej i Myrsze, nie denerwować się na jakieś rzekome nieprawidłowości, nie wkładać szprych w kije rozpędzonej koalicji, która już lada moment odsunie pis od władzy tak całkowicie i totalnie i nie będzie miała przeszkód, żeby obiecać coś nowego albo ewentualnie zacząć jakoś fragmentarycznie spełniać to, co padło w czasie kampanii. Potrzebujemy czasu, to trzeba na spokojnie, a co nagle, to po osobodiable.

Widzieliśmy, iż znów jest jakaś inba o religię w szkołach, że trzeba ograniczyć liczbę lekcji czy coś. Jak tak słuchamy argumentacji strony laicko-progresywnej, z którą oczywiście się zgadzamy, to okazuje się, iż istnieje prosta zależność, a mianowicie: im w szkole więcej religii, tym mniej WF, a więc osobodzieci są bardziej podatne na otyłość, skoliozę, nie umieją zrobić dwutaktu ani fikołka.

Kurczę, no umówmy się jednak, iż ani dwutakt, ani fikołek nie są tymi umiejętnościami, dzięki którym młody człowiek będzie po ukończeniu szkoły konkurencyjny na rynku pracy. Już nie mówiąc o argumencie dotyczącym otyłości. Przecież nie chcemy chyba nikogo bodyshame'ować, prawda?

Dlatego musimy znaleźć w tej dyskusji nowe argumenty, np. im więcej religii, tym mniej czasu na analizę współczesnych ruchów queer, socjologii miasta i innych wymaganych współczesnością przedmiotów, które sprawiają, iż osobonastolatek po szkole jest gotowy do eksploracji świata. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

NATO miało być

Andrzej, mam tutaj nowe propozycje dla ciebie. Bo ten MKOl to chyba nie wyjdzie...
Ech, Marcin, znowu coś. NATO miało najpierw być.

No nie, o NATO to możemy zapomnieć. Ale posłuchaj, bo może będzie coś ciekawego. Numer jeden: Organizacja Współpracy Kolejowej.
Bo ja wiem? Pociągiem jechałem kilka razy, do Kijowa głównie. I z powrotem.

Numer dwa: Forum Ministrów Środowiska Ameryki Łacińskiej i Karaibów.
Ale ja z Polski jestem.

Może dałoby się to jakoś zamaskować? Numer trzy: Wspólnota Państw Luzofońskich.
A co to jest?

Trzeba portugalski znać.
Dobra, zamów mi podręcznik. Przynajmniej sobie polatam.
©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Zatrzymaliśmy dyktaturę".

MARCIN KIERWIŃSKI, *polityk KO, były szef MSWiA, na portalu X w rocznicę wyborów parlamentarnych z 2023 r.*

eprasa.pl 9265260d78

To nie jest kraj dla dzieci

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Głównym miejscem podsycania nienawiści do matek z dziećmi jest Internet. Niestety, nie pomagają media, które starają się obrzydzić macierzyństwo i lansują posiadanie psów zamiast potomków. Portale takie jak Onet, Wysokie Obcasy czy eDziecko regularnie publikują teksty ukazujące bycie matką jako – wprost – mękę. Pod płaszczykiem „nielukrowanej wizji macierzyństwa" upowszechniany jest wizerunek matki cierpiętnicy, której życie to pasmo udręk

Marzy ci się cały dzień na basenie bez pisków, chlapania i kolejek na zjeżdżalnie? 19 października w Aquaparku Fala bawią się wyłącznie dorośli. Dzieciom wstęp wzbroniony. Wśród atrakcji m.in. strefa relaksu z leżakami, dunk tank, masaże, bar dla pełnoletnich i inne niespodzianki" – ta zapowiedź łódzkiego, co istotne – miejskiego, aquaparku wywołała burzę w mediach społecznościowych. Dla wielu internautów świetnym pomysłem jest dzień bez dzieci, bo w końcu spokój oraz – cytując te bardziej agresywne wpisy – odpoczynek „bez kaszojadów".

„Wspaniała akcja! Zdobyliście sobie tym postem ogromną przychylność bezdzietnych ludzi, już na grupach childfree się o Was mówi"; „W końcu! Jeden dzień, kiedy można zrelaksować się w spokoju"; „W końcu ktoś o tym pomyślał. Brak bachorów w dużych basenach i solankach to marzenie" – to niektóre, łagodniejsze, komentarze.

ANTYDZIECIOWA PROPAGANDA

Wielu jednak dostrzegło w pomyśle łódzkiego basenu kolejny przejaw coraz szerszego, niezwykle niepokojącego trendu medialno-społecznego, którym jest antydzieciowa propaganda. Poza samą ideą „dnia bez dzieci" oburzenie wywołał plakat reklamujący imprezę – umieszczono na nim wizerunek rozpłakanego, kilkumiesięcznego dziecka w czerwonym okręgu, nasuwającym na myśl drogowy znak zakazu. Dla jasności – Fala nie zaoferowała kilku godzin tylko dla dorosłych czy wydarzenia w jednej części aquaparku, podczas gdy reszta byłaby dostępna dla wszystkich. Dyrekcja postanowiła zamknąć obiekt dla dzieci na cały dzień, i to dzień – sobotę – w którym rodziny mają czas na wspólne spędzenie czasu.

– To odpowiedź na potrzeby naszych klientów, którzy regularnie zwracają się do nas z prośbami o organizowanie wydarzeń bez udziału dzieci – powiedział Krzysztof Babij, prezes Aquaparku Fala. – Na rynku usług już od dłuższego czasu

eprasa.pl 9265260d78

FOT. ADOBE STOCK

W obrzydzaniu macierzyństwa nad Wisłą prym wiodą media prywatne

można zaobserwować trend polegający na tworzeniu miejsc przeznaczonych wyłącznie dla dorosłych. Powstają hotele 18+, restauracje i kawiarnie dla dorosłych czy inne miejsca, gdzie maluchy nie mają wstępu. Jest to zrozumiałe, ponieważ dzieci i dorośli odpoczywają w zupełnie inny sposób i dość trudno pogodzić ich różne potrzeby. A że na Fali przez cały rok organizujemy liczne wydarzenia dla rodzin, możemy z czystym sumieniem „podarować" ten jeden dzień w roku wyłącznie dorosłym, w tym również rodzicom, którzy chcieliby odetchnąć na chwilę od swoich pociech – przekonuje.

Babij to wieloletni współpracownik prezydent Łodzi Hanny Zdanowskiej. W Radzie Nadzorczej aquaparku zasiada m.in. były szef SLD w mieście Krzysztof Jagiełło. W przeszłości funkcję dyrektora instytucji pełnił Dariusz Joński, dziś poseł KO.

Oburzenie na wymierzony w najmłodszych PR łódzkiego basenu połączyło odległe od siebie środowiska. „Dzieci są nieodzowną częścią miejskiego społeczeństwa. Nieakceptowalne jest, żeby były wykluczane przez park wodny zarządzany przez miejską spółkę. Podobnie nieakceptowalne jest wykorzystywanie grafik stygmatyzujących dowolną grupę społeczną" – ocenił łódzki oddział partii Razem. „Czy w planach są kolejne dni »bez kogoś«? Bez nastolatków? Bez urodzonych w dni parzyste? Bez leworęcznych? Absurd!" – wytknęła poseł Razem Paulina Matysiak.

Michał Kotfica, wiceprezes szczecińskich struktur Nowej Nadziei, zauważa: „Czy władze miasta Łodzi dobrze się czują? Tu nie chodzi nawet o to, że jest weekend tylko dla dorosłych. Wstawiona grafika z dzieckiem jest bardzo sugestywna – pokazuje, że dziecko to krzycząca zawada, którą należy społecznie wykluczyć, bo psuje wszystkim nastrój. A później te same władze Łodzi będą patronować Marszom Równości, bo miłość, równość, tolerancja? Ten, kto to wymyślił, nie ma za grosz rozumu i godności człowieka". Sprawę nagłośniła szerzej Klaudia Domagała, również z Nowej Nadziei.

KOGO WYKLUCZAĆ?

Medialny szum wokół łódzkiego aquaparku zrobił się na tyle głośny, że zareagowała rzecznik praw dziecka, Monika Horna-Cieślak, którą trudno pochwalić za aktywność w innych istotnych kwestiach dotyczących dzieci. RPD skierowała pisma do prezydent Łodzi oraz do dyrektora basenu. „Jako Rzeczniczka Praw Dziecka w kontekście »stref wolnych od dzieci« stoję na stanowisku, iż tego rodzaju oferty nie służą dobru ogółu, jakim jest budowanie społeczeństwa obywatelskiego opartego na szacunku dla praw wszystkich, niezależnie od wieku, płci, wyznania, niepełnosprawności, orientacji i bliskiej mi idei partycypacji młodych ludzi w życiu społecznym, obywatelskim" – wskazała Horna-Cieślak. RPD argumentuje, że „strefy wolne od dzieci" to takie samo zło, jak pomysły utworzenia np. stref wolnych bez osób niepełnosprawnych lub bez seniorów. „Wykluczenie danej grupy osób tylko dlatego, że nie spełnia ustalonego odgórnie przez kryterium – w tym przypadku wieku – może rodzić obawy związane z nierównym ich

eprasa.pl 9265260d78

traktowaniem" – zauważa rzecznik. „Używanie języka wykluczającego dzieci z przestrzeni publicznej, życia społecznego budzi mój sprzeciw. Nasza wrażliwość powinna skłaniać nas do eliminowania z dyskursu publicznego i języka określeń i środków wyrazów, które w konsekwencji uruchamiają negatywne odczucia względem najmłodszych. Działania takie jak tworzenie »stref wolnych od dzieci« prowadzą do negatywnego postrzegania udziału małoletnich w życiu publicznym i społecznym. DOŚĆ DYSKRYMINACJI DZIECI!" – apeluje. Monika Horna-Cieślak domaga się odwołania wydarzenia w łódzkim Aquaparku Fala.

Przy okazji afery wokół dnia bez dzieci, który jest niczym innym jak dyskryminowaniem przez państwo (państwową firmę) konkretnej grupy społecznej, warto przypomnieć sprawę z Wrocławia. Mężczyzna uznał za dyskryminację to, że w tamtejszym aquaparku organizowano seanse saunowe pod hasłem „Wtorki dla pań". Wrocławianin zaskarżył aquapark do sądu. W orzeczeniu stwierdzono, że „nie jest rolą Sądu zastępowanie strony pozwanej w poszukiwaniu rozwiązań zgodnych z prawem, jednak podkreślić należy, że w pewnych warunkach nawet ustanowienie jednego dnia tylko dla kobiet można byłoby uznać za rozwiązanie proporcjonalne – jeśli tylko ograniczona dostępność do saun dla mężczyzn zostałaby zrekompensowana, na przykład poprzez ustanowienie dnia wyłącznie dla mężczyzn lub udostępnienie im w dni »dla kobiet« części saun w odrębnej strefie". Wyrok potwierdził, że wrocławski aquapark dopuścił się dyskryminacji, a powodowi zasądzono 500 zł odszkodowania. Basen nie zrezygnował z saunowych „Wtorków dla pań", ale zmienił ich formę. Skoro więc w przypadku zamknięcia dla jednej grupy (mężczyzn) tylko jednej części basenu (saun) doszło do dyskryminacji, to zasadne jest pytanie, czy w przypadku znacznie bardziej dosadnym (zamknięcie CAŁEGO obiektu dla konkretnej grupy) nie mamy tym bardziej do czynienia z wykluczaniem.

TRANSFORMACJA JĘZYKOWA

Narastająca niechęć do dzieci jest naturalnym następstwem językowej pogardy, z którą od lat traktowane są matki i macierzyństwo. Zanim jawnie zaczęto proponować kolejne „strefy wolne od dzieci" (pisałam o tym w wydaniu 41/2024 tygodnika „Do Rzeczy"), odbyła się transformacja językowa. Bardzo ciekawie opowiedziała o tym Paulina Mikuła, internetowa popularyzatorka wiedzy o języku polskim.

– „Madka", „gówniak", „kaszojad", „purchlaki", „brajanki". Co nam robią te słowa? Zdaję sobie sprawę z tego, że powstały one po to, aby nazywać konkretne zjawiska, postawy. „Madka" to kobieta, która fakt posiadania dziecka wykorzystuje do roszczeń socjalnych, prób podniesienia statusu społecznego; często odznaczająca się prowincjonalnością, brakiem kultury osobistej oraz nadmierną aktywnością w mediach społecznościowych. „Brajanek" zaś wskazuje na niskie pochodzenie społeczne i brak wykształcenia matki – wskazała

FOT. ADOBE STOCK

w jednym ze swoich podcastów. – Tyle że popularność tych określeń powoduje, że zaczynamy czuć niechęć do wszystkich matek oraz ich dzieci. „Gówniaki", „kaszojady", „purchlaki" – to nazwy, które wręcz odczłowieczają dzieci. Internet spowodował, że język prywatny stał się językiem publicznym. Dawniej tylko w gronie najbliższych używalibyśmy tego typu deprecjonujących słów. Dziś wiele osób używa ich bez skrępowania publicznie. Pod wieloma postami i memami o „madkach" i ich „bombelkach" sypią się lajki, a w komentarzach panuje wesołość – zauważa Mikuła.

Prezenterka podkreśla, że w ten sposób „wypaczamy obraz rodziny". – Uważałabym też na określenia typu „strefa wolna od dzieci". „Strefa wolna od…" kojarzy się ze strefą wolną od czegoś złego, nieprzyjemnego, np. strefą wolną od nienawiści albo strefą wolną od dymu. Dzieci płaczą, tak czasem bywa. Ale nie znaczy to od razu, że są złe, a ich matka jest szalona i roszczeniowa. Jest wiele miejsc tylko dla dorosłych. Konstrukcja „coś dla kogoś" jest moim zdaniem o wiele lepsza i bezpieczniejsza niż „strefa wolna od kogoś". To jest niewielka językowa różnica, ale nas jako społeczeństwo stawia w zupełnie innym świetle – apeluje Paulina Mikuła, której kanał „Mówiąc Inaczej" w serwisie YouTube obserwuje ponad pół miliona osób.

Warto przywołać jeden z komentarzy pod filmem Mikuły, stanowiący świadectwo tego, jak łatwo dajemy się poddać internetowej nowomowie niechętnej dzieciom i matkom: „Dzięki, Paulina. Myślę, że poruszyłaś ważny temat. Chcielibyśmy (ja bym chciał) się odciąć od wszystkiego, co nas denerwuje, w tym dzieci czy starych ludzi. Ale nie da się ukryć, to część społeczeństwa, w którym żyjemy, i dobrze, że mamy z nimi kontakt. Ja sam mam w ostatnim czasie dość dzieci i gorąco współczuję wszystkim rodzicom. Ale dzięki Twojej rolce coś mnie tknęło, żeby się przyjrzeć, czemu tak mam. I myślę, że pogardliwe określenia, które stosowałem nagminnie (sam do siebie), miały tu duży wpływ. Od razu przedstawiały dzieci jako okropnie irytujące zjawisko. Kiedy przestałem tak mówić, zacząłem zauważać powolną zmianę. Oczywiście, że dźwięk rozhisteryzowanego dziecka nadal mnie denerwuje, ale nie w takim stopniu. Do tego staram się postawić na miejscu rodzica i zadać sobie pytanie »Co ja bym zrobił?«. Ale pojawia się pustka – nie mam dzieci, a one nie mają dołączonej instrukcji obsługi. Myślę też, że język ma wpływ na to, jak postrzegamy świat. A to też przyczynia się do naszej chęci posiadania dzieci – nie dość, że to wyzwanie samo w sobie, to nagle dla większości społeczeństwa stajesz się wrogiem publicznym".

MEDIA PUBLICZNE NIE POMAGAJĄ

Pytanie jednak, czy pojedyncze głosy rozsądku będą w stanie odwrócić szkody, które wyrządził pogardliwy stosunek do wszystkiego, co związane z macierzyństwem. Szczególnie że szacunku do matek i ich dzieci nie da się zadekretować,

eprasa.pl 9265260d78

a głównym miejscem podsycania owej niechęci jest Internet. W takiej sytuacji to media, szczególnie publiczne (choć i prywatne; to, że są prywatne, nie oznacza, że są całkowicie zwolnione z odpowiedzialności za swój przekaz), powinny zadbać o kreowanie pozytywnego wizerunku macierzyństwa. Problem w tym, że tak się nie dzieje, mimo że przekaz jest znacznie bardziej subtelny. Niedawno wywiadu TVP Info udzieliła była pierwsza dama Jolanta Kwaśniewska. W rozmowie padło pytanie o to, czy nie jest jej przykro, że nie jest babcią. – Troszkę żałuję, tak. Chciałabym być babcią. Myślę, że to jest fajna funkcja, ja bym była taką babcią „po bandzie" – wyznała. Szybko jednak dodała, że pustkę po wnukach wypełniają psy jej córki. – Ale jestem taką Lolą, bo tak nazywają mnie w domu. Na Filipinach na dziadka mówi się Lolo, a na babcię Lola, więc ja jestem Lolą dla dwóch psiaków Oleńki, dla Luli, a teraz Biby. Tak że czuję się spełniona w roli opiekunki dwóch fajnych panienek – wskazała Kwaśniewska.

Polscy pionierzy społecznego implementowania językowej antydzieciowości nie odkrywają Ameryki. Na Zachodzie dyskusja trwa od lat. Na łamach brytyjskiego „The Guardian" ukazał się felieton autorstwa Rhiannon Lucy Cosslett, w którym postuluje ona przejście od pojęcia „childless" (bezdzietny) do „childfree" (wolny od dzieci).

„Fakt, że słowo »bezdzietny« wydaje się wychodzić z mody, należy w dużej mierze celebrować. Wskazuje ono bowiem, że posiadanie dziecka to coś domyślnego i ma moc intensywnego ranienia. Jako słowo niesie ze sobą uczucie »braku«, podczas gdy z pewnością nie każdy tego doświadcza. To piętno jest powodem, dla którego termin »childfree« staje się coraz bardziej rozpowszechniony w mediach po tym, jak w ostatnich latach zyskał popularność na forach internetowych" – pisze Cosslett.

Felietonistka opisuje rozmowy, które przeprowadziła z osobami bezdzietnymi. Pytała, czy określenie „childfree" jest dla nich bardziej odpowiednie. „Osoby, które zdecydowały się nie mieć dzieci, zazwyczaj wolały być określane jako »childfree«, ale te, których bezdzietność była mimowolna, z powodu niepłodności, żałoby lub okoliczności życiowych, czuły się przez to zranione. Wielu narzekało, że oba terminy uznają posiadanie dzieci za coś naturalnego, podczas gdy nie powinno tak być" – przekonuje autorka „The Guardian".

Medialny szum wokół łódzkiego aquaparku zrobił się na tyle głośny, że zareagowała rzecznik praw dziecka, Monika Horna-Cieślak, którą trudno pochwalić za aktywność w innych istotnych kwestiach dotyczących dzieci

W obrzydzaniu macierzyństwa nad Wisłą prym wiodą media prywatne. Portale takie jak Onet, Wysokie Obcasy czy eDziecko, regularnie publikują teksty ukazujące bycie matką jako – wprost – mękę. Pod płaszczykiem pokazywania „nielukrowanej wizji macierzyństwa" upowszechniany jest wizerunek matki cierpiętnicy, której życie to pasmo udręk (być może inspiracją był Donald Tusk, który w 2021 r. powiedział: „Urodzenie dziecka, nie mówiąc już o dwójce, trójce, czwórce, to jest demograficznie fajna rzecz, ale jakże często to jest udręka na najbliższe 20 lat życia").

W jednym z takich tekstów czytamy wyznanie Klary, która „bardzo źle wspomina początki macierzyństwa". – Nie sądziłam, że narodziny córki wywołają w mojej rodzinie tak skrajne emocje. Pierwszy rok był dla mnie najtrudniejszy. Kuzynka praktycznie na każdym kroku dawała mi do zrozumienia, że wszystko robię źle. „Za moich czasów to było nie do pomyślenia", „Co by było, gdybyś miała dwójkę?", „Nauczyłaś nosić, to tak masz", „Dziecko śpi w łóżeczku, nie na mamie", „Jedzenie ze słoiczka? Dajesz dziecku chemię", „Powinnaś uczyć ją już chodzić", „Zosia coś mało śpi. Coś jest nie tak z nią" – to tylko niewielka garstka „dobrych rad", które usłyszałam po urodzeniu córeczki – opowiada bohaterka artykułu.

Dodatkowo według czytelniczek takich mediów dzieci… psują relacje z mężami. „Dziś mam dwójkę małych dzieci, dom, pracę i męża, ale tylko na papierze. Jestem w szoku, co stało się z naszym małżeństwem po drugiej ciąży. Mąż zmienił się o 180 stopni. Przy pierwszym dziecku bardzo dużo mi pomagał […]. Drugi urlop macierzyński wspominam fatalnie. Byłam obolała po cesarskim cięciu. Musieliśmy ściągnąć do pomocy teściową, bo inaczej nie poradziłabym sobie z dwójką małych dzieci pod nieobecność męża. Ciągle byłam niewyspana, szybko się denerwowałam. Mąż rzadziej bywał w domu, mniej czasu spędzał z córkami. Zasłaniał się pracą i świętym spokojem, o który trudno przy niemowlęciu i 1,5-rocznym dziecku. Uważał, że obecność jego matki rekompensuje dzieciom jego nieobecność. Nie rozumiał i do dziś nie rozumie, że jestem jeszcze ja" – pisze rozżalona czytelniczka. I dodaje: „Marzę o normalności – szczerej rozmowie o naszym związku, czułości, którą zastąpiła rutyna. Odkąd mamy dzieci, nasze małżeństwo praktycznie nie istnieje. Rozmawiamy tylko, gdy musimy". Wniosek nasuwa się sam: lepiej, aby dzieci w małżeństwie nie było.

Z kolei „Newsweek" przytacza dane dotyczące kosztu wychowania dziecka. W alarmistycznym tonie pisze o kosztownych wizytach u dentysty, zajęciach dodatkowych, do tego dochodzą nietanie rodzinne wyjścia do kina. Po lekturze artykułu aż boli głowa i człowiek mimowolnie łapie się za portfel. „Centrum im. Adama Smitha co roku podlicza koszt wychowania dziecka w Polsce, od narodzin do 18. roku życia. W tym roku wyszło im 346 tys. zł. Dwójki – 579 tys. Rok temu było taniej – odpowiednio 309 i 513 tys. Dwa lata temu – 265 i 439 tys." – wyliczono w artykule.

DZIECKO ZŁE, PSIECKO DOBRE

Im wcześniej wtłoczy się do głów negatywny obraz posiadania dzieci, tym propaganda jest skuteczniejsza. Pretekstem może być rzekoma nauka ekologii już u kilkulatków. Wydana w 2020 r. książka „Palmy na biegunie północnym. Wielka opowieść o zmianie klimatu" to przykład tego rodzaju indoktrynacji. Choć przekonuje się, że jest to „pasjonująca opowieść o historii klimatu na ziemi od czasów

eprasa.pl 9265260d78

jej powstania po czasy współczesne" oraz że uczy dzieci, „jakich konsekwencji możemy się spodziewać" po zmianie klimatu, to w środku znajdziemy przekaz antynatalistyczny. Wśród porad dotyczących troski o klimat, obok zaleceń takich jak montowanie paneli słonecznych, instalowanie żarówek energooszczędnych czy jedzenie „owadzich burgerów" (sic!), znalazła się porada: „Miej mało dzieci. Albo wcale". Tak, już dzieci mają wiedzieć, że posiadanie dzieci jest złe.

Jednak natura nie toleruje pustki. Stąd w miejsce dzieci zaleca się posiadanie „psieci", ewentualnie „koteci" (lub innych „eci", wyobraźnia nie zna granic). Zwierzęta mają zapełnić puste miejsce w domu i w sercu, a jednocześnie nie wymagają tak dużego poświęcenia. W liście do redakcji Onetu jedna z czytelniczek stwierdziła, że jej pies to „psiecko" i nie ma się na co oburzać. „To, że mówię o »psieciach« nie oznacza, że pies jest dla mnie jak ludzkie dziecko. To byłby absurd. Oznacza natomiast, że dla mnie moje psy są ważne, że dbam o nie. Ludzka rodzina też jest dla mnie ważna, więc skojarzenie jest jak najbardziej na miejscu. To przełamuje niezdrowe tabu. Wiele osób wciąż oczekuje, że kobieta będzie miała męża, dzieci i będzie żyła w określony przez kogoś innego sposób. Nie wstydzą się dawać temu wyraz" – czytamy. Pisze o „psich mamach" i „psich ojcach" oraz o tym, że „jej rodzina wygląda inaczej, ale to też jest OK". „Moje życie jest lepsze dzięki tym relacjom. Marzy mi się świat, w którym bycie dla innych stworzeń dobrym nie będzie »dziwactwem«" – podsumowuje czytelniczka Onetu.

Z kolei portal tygodnika „Newsweek" opublikował niedawno tekst zatytułowany „Ból po stracie psa jest taki sam jak po stracie ludzkiego członka rodziny". Kulturoznawca Beata Frydryczak próbuje w nim przekonywać, że żałoba po zwierzęciu i po bliskiej osobie to takie samo cierpienie. „Pies żyje u naszego boku bezwarunkowo zarówno jako rozradowany szczeniak, jak i jako schorowany staruszek […]. Gdy bierzemy czworonoga do domu, najczęściej szczeniaka, wyobrażamy sobie, że odtąd życie będzie nam urozmaicać rozbiegany, rozbawiony, czasami rozszczekany psiak, który gdy już trochę podrośnie i ustatkuje się, będzie godnym towarzyszem, czasami powiernikiem, kompanem spacerów i innych sytuacji życiowych. Naiwnie wyobrażamy sobie, że będzie z nami zawsze […]. A kiedy nadchodzi ten dzień, zawsze nieunikniony, i musimy pożegnać się z czworonożnym przyjacielem, kończy się pewien etap naszego życia.

Reklama Aquaparku Fala z Łodzi w mediach społecznościowych

Czas zatrzymuje się na chwilę, w której psiak wydaje swój ostatni oddech, a człowiek westchnienie bólu. Bo ból po stracie psa jest taki sam jak po stracie ludzkiego członka rodziny – stwierdza autorka. – Wobec tego odejścia stajemy bezradni, nieprzygotowani, niezależnie od tego, ile wysiłku włożyliśmy, by ten moment oddalić w czasie. Pozostają pustka, cisza, obroże, zabawki i kłęby sierści w zakamarkach domu, jak żywe wspomnienie niedawnej obecności. To traumatyczne przeżycie, które na zawsze w naszych wspomnieniach wypali obraz psa, który odtąd towarzyszyć będzie nam w innej, niematerialnej, niefizycznej postaci" – dodaje Frydryczak.

Aby zrozumieć, że wymierzona w dzieci i macierzyństwo propaganda działa, wystarczy przeanalizować badania opinii społecznej. CBOS sprawdził w 2023 r., jakie plany prokreacyjne mają Polacy. Wiele mówią odpowiedzi w grupie respondentów (w wieku 18–40), która zadeklarowała, że nie chce posiadać potomstwa. Jakie powody wskazywano najczęściej? „Najczęściej odwoływali się do sytuacji osobistej (55 proc.). Argumentowali, że po prostu nie chcą dzieci, nie lubią ich (18 proc.), tak odczuwają, że to jest ich sprawa osobista (10 proc.), że to zbyt duża odpowiedzialność (10 proc.)" – czytamy w opisie badania.

Jako odpowiedzi ankietowani wybierali też „wygodę i potrzebę niezależności" – 7 proc. oraz to, że na razie jest zbyt wcześnie na dziecko – 7 proc. Zaledwie 14 proc. stwierdziło, że przeszkodą jest trudna sytuacja materialna. To jednak nie wszystko – z badania CBOS wynika, że kobiety częściej niż mężczyźni w ogóle nie chciałyby mieć dzieci – 10 proc. wobec 6 proc.; częściej też myślą o posiadaniu tylko jednego dziecka – 12 proc. wobec 10 proc.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9265260d78

REPUBLIKA

Jesienne hity
w sklepie Republiki!

Otworz i zamknij parasol jednym kliknięciem!

PARASOL AUTOMATYCZNY Z LOGIEM REPUBLIKI

TORBA PŁÓCIENNA DUŻA CZARNA (PREMIUM)

Od S do 3XL

KOSZULKA BAWEŁNIANA REPUBLIKI

KUBEK BIAŁY MAT 380ML Z NAPISEM REPUBLIKA

Od S do 3XL

KOSZULKA BAWEŁNIANA REPUBLIKA GRANATOWA

ZAMÓW NA:
sklep.tvrepublika.pl

lub telefonicznie
22 280 99 39 wew. 4

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

W lipcu REPUBLIKA rozpoczęła nadawanie na ósmym multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej MUX-8 na kanale 51, dzięki czemu dociera już do 80% Polaków. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. REPUBLIKĘ obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 9265260d78

Łukasz Warzecha

Co się zmienia wraz z wchłonięciem Solidarnej Polski przez Prawo i Sprawiedliwość? Czy ta operacja dodaje PiS wiarygodności i czy następuje w związku z nią przesunięcie PiS w kierunku, który wyznaczała SP? Odpowiedź jest przecząca

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Kongres PiS, czyli nigdy się nie przyznawaj!

17 listopada 2020 r. przed południem jechałem autostradą A4 z Wrocławia do Krakowa. Zatrzymałem się na stacji benzynowej Orlenu, żeby coś przegryźć. Niestety, w środku usiąść się nie dało. Restrykcje covidowe spowodowały, że podróżujący stracili możliwość zjedzenia czegokolwiek w pozycji siedzącej i w cieple na stacji. Wyszedłem zatem ze swoim hot dogiem na zewnątrz, jako że pogoda była ładna, gdzie stały stoliki i ławki – zagrodzone taśmą. Rząd Morawieckiego uznał, że jeśli na takiej ławce przy stacji benzynowej usiądę, to będę podlegał śmiertelnemu zagrożeniu. Albo stworzę je sam. Mimo to taśmę bohatersko przekroczyłem i miejsce zająłem.

Po jakichś dwóch minutach podjechali ochroniarze.

– Pan stamtąd wyjdzie – powiedział jeden z nich.

– Czy ja tu stwarzam jakieś zagrożenie? – zapytałem. – Przecież tu nikogo nie ma w promieniu 50 metrów. Prócz panów.

– Ja wiem – powiedział ochroniarz. – Ale ja będę musiał wezwać policję. Ja pana proszę, oszczędźmy sobie problemów.

Przypomniała mi się ta sytuacja, gdy słuchałem wystąpień na kongresie PiS, który odbył się w Przysusze 12 października. Ciekaw byłem, czy padnie cokolwiek, co mógłbym uznać za przeprosiny za to, jak rząd PiS zachowywał się w latach 2020–2022.

PiS odniósł przed rokiem pyrrusowe zwycięstwo wyborcze. Przypomnijmy: Pyrrus, żyjący na przełomie wieków IV i III p.n.e., był królem Epiru i zdolnym dowódcą. Walczył m.in. z Rzymianami, a gdy wygrał z nimi w bitwie pod Auskulum w roku 279 p.n.e., miał rzec: „Jeszcze jedno takie zwycięstwo, a będziemy straceni". Epirskiego wodza stać było wtedy na refleksję: rozumiał, że wygrana osiągnięta gigantycznym kosztem i z wielkimi stratami faktycznie przestaje być wygraną.

LISTA GRZECHÓW

Wiele osób od 12 miesięcy oczekiwało tej refleksji od Prawa i Sprawiedliwości. Gdy mój redakcyjny kolega Rafał A. Ziemkiewicz pisał swój esej o swoich żalach wobec PiS, było jeszcze przed kongresem, ale już po kuriozalnym wywiadzie z Jarosławem Kaczyńskim w tygodniku „Sieci", o którym pisałem krótko w „Do Rzeczy" (nr 42/2024). Już lektura owej rozmowy wskazywała, że oczekiwanie na jakąś formę rozliczenia się z ośmioma latami i z fangą w nos otrzymaną od wyborców może się okazać płonne. Jednak wciąż niektórzy sądzili, że coś takiego będzie musiało nastąpić przy okazji połączenia Prawa i Sprawiedliwości z Suwerenną Polską. Dlaczego akurat wtedy? Aby to zrozumieć, trzeba przypomnieć, z czego była władza rozliczyć się powinna i co wyjaśnić.

eprasa.pl 9265260d78

Według ubiegłorocznych sondaży z głosowania na PiS w październikowych wyborach zrezygnowało ok. 12 proc. elektoratu tej partii. Wynik wyborczy (7,6 mln głosów) był o ok. 400 tys. głosów gorszy niż cztery lata wcześniej. Najwięcej osób – według powyborczego sondażu – odpłynęło do Trzeciej Drogi. Nieco mniej do Konfederacji.

Ciekawa była sekwencja zmiany nastrojów polityków ugrupowania Jarosława Kaczyńskiego przy interpretowaniu tego wyniku. Przez pierwszych kilka tygodni pojawiały się głosy, że za bardzo odpuszczono elektorat centrum. Potem jednak zniknęły, ponieważ zwyciężyła narracja, że jedyną przyczyną porażki była słaba mobilizacja twardego elektoratu na wschodzie kraju. Kompletnie pomijano wyraźny wzrost liczby głosów oddanych na partię Donalda Tuska – z ok. 5 mln do aż 6,6 mln, czyli efekt wielkiej mobilizacji antypisowskiego elektoratu. Ewentualnie tłumaczono go wyłącznie wyrokiem Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji.

Tymczasem osiem lat rządów PiS to wielopunktowa lista spraw, które do takiego stanu rzeczy się przyczyniły. Mobilizowały wyborców Koalicji Obywatelskiej, napędzały wyborców Trzeciej Drodze i Konfederacji, zniechęcały elektorat PiS do głosowania na tę partię – nawet jeśli oznaczało to niegłosowanie w ogóle. Trzeba je tutaj skrótowo przypomnieć.

Po pierwsze – „piątka dla zwierząt". Kluczowy moment, w którym poparcie dla PiS spadło poniżej wcześniej notowanych poziomów przekraczających 40 proc. i właściwie już nigdy trwale do nich nie wróciło. Bardziej ogólnie można powiedzieć, że chodzi o forsowanie lewicowej, ideologicznej agendy, w tym wypadku wbrew rolnikom i wrażliwej na takie sprawy części wyborców. Nie był to jednak jedyny przypadek przejęcia przez PiS propozycji lewicy.

Po drugie – COVID-19 wprowadzane wtedy z naruszeniem prawa restrykcje, ograniczające podstawowe wolności obywateli, uderzenie w przedsiębiorców oraz wpompowanie w gospodarkę 200 mld zł, co skutkowało potężnym impulsem inflacyjnym. To zniechęciło wolnościowo nastawioną część elektoratu i pokazało, że PiS gotowy jest bez mrugnięcia okiem kroczyć w globalistycznym nurcie ręka w rękę z postaciami takimi jak Justin Trudeau.

Po trzecie – Polski Ład, który miał być wielką wyborczą lokomotywą, a okazał się dramatyczną porażką. To z jego powodu wielu przedsiębiorców ostatecznie straciło wolę wspierania partii Jarosława Kaczyńskiego – jeśli wciąż przy niej trwali mimo wielu antybiznesowych jej posunięć.

Po czwarte – Zielony Ład i stosunek do Unii Europejskiej. Na poziomie deklaracji premier Morawiecki walczył niezłomnie o polską suwerenność. Jednocześnie jednak Polska akceptowała wszystkie unijne pomysły. To za rządów Mateusza Morawieckiego zgodziliśmy się na działanie mechanizmu „pieniądze za praworządność" oraz na kierunkową decyzję w sprawie pakietu „Fit for 55". Sam premier twierdzi do dzisiaj, że jego interpretacja podpisywanych konkluzji szczytów Rady była inna i inne były umowy z Komisją Europejską. Cóż, jeśli o czymś to świadczy, to chyba o tym, że szef rządu wykazywał się tutaj skrajną naiwnością i nieporadnością, a w takim razie nie nadawał się do swojej roli.

To rząd PiS wpakował nas również w kabałę z KPO, podejmując – w zamian za pieniądze z UE, na które sami musieliśmy się składać (a część jest oficjalnie pożyczką) – ok. 300 zobowiązań, w części bardzo kłopotliwych dla Polaków. Wśród nich znalazły się podatek od rejestracji i posiadania samochodu spalinowego czy oskładkowanie wszystkich umów cywilnoprawnych.

Po piąte – relacje polsko-ukraińskie. To bez wątpienia jeden z najważniejszych czynników wpływających na spadek liczby głosów. Skrajnie uległa postawa PiS wobec Ukrainy, lekceważenie sygnałów o problemach polskich rolników z powodu niekontrolowanego napływu ukraińskiego zboża do Polski, atakowanie każdego, kto miał w tych kwestiach inne zdanie, obsesyjne tropienie wśród takich osób „sojuszników Putina" (wielkie „zasługi" położyli tu Stanisław Żaryn czy Paweł Jabłoński) – wszystko to sprawiło, że wiele osób od PiS się odwróciło.

ŻADNEJ REFLEKSJI

To tylko najważniejsze wątki, w przypadku których można było oczekiwać przyznania się, choćby częściowego, do błędów. Zwłaszcza przy okazji łączenia się z Suwerenną Polską, tak się bowiem składa, że przedstawiciele partii Zbigniewa Ziobry na wiele z tych tematów mieli pogląd odrębny od tego z głównego nurtu PiS. Tak było, gdy idzie o politykę covidową, o Zielony Ład i relacje z UE czy o Ukrainę. W ten sposób Suwerenna Polska (wcześniej Solidarna Polska) odgrywała przy PiS rolę mini-Konfederacji. Nie należy przeceniać jej oddziaływania, bo poparcie dla niej było zawsze liczone w pojedynczych procentach, jednak obecność w obozie władzy ludzi Ziobry, w sojuszu z PiS, ale jednak w odrębnym bycie partyjnym, uderzających wielokrotnie w Mateusza Morawieckiego, sprawiała, że środowisko Zjednoczonej Prawicy wydawało się przynajmniej bardziej zróżnicowane.

Co zatem zmienia się wraz z wchłonięciem – bo tak trzeba to określić – SP przez PiS? Na pewno jest to czynnik wpływający na wewnętrzny balans sił i osłabiający pozycję Mateusza Morawieckiego. To jednak wewnątrzpartyjne gierki, które dla wyborców nie mają większego znaczenia. Zasadnicze pytanie brzmi: Czy ta operacja dodaje PiS wiarygodności i czy następuje w związku z nią przesunięcie PiS w kierunku, który wyznaczała SP?

Odpowiedź jest przecząca. Politycy ugrupowania Zbigniewa Ziobry jeszcze przed wyborami wygasili swój sceptyczny przekaz i nigdy go nie wznowili. Nawet retorycznie zatem nie tworzą już alternatywy wobec głównej linii PiS. Po wejściu do partii zajmą się grą o ugruntowanie i wzmocnienie swoich wewnętrznych pozycji. Jednocześnie przekaz zostanie ujednolicony do takiego, jaki mogliśmy odebrać podczas kongresu.

Główne wystąpienia wygłosiło trzech polityków: Jarosław Kaczyński, Mateusz Morawiecki i Patryk Jaki. Jeśli ktoś liczył na jakikolwiek wątek rozliczeniowy, to grubo się przeliczył. Linię w tej kwestii wyznaczył – po godzinie opowiadania o tym, jak wspaniałe były rządy PiS – sam prezes Kaczyński. Stwierdził mianowicie: „Co musimy robić? Po pierwsze, szanowni państwo, nie biadać, nie bić się w piersi, nie przeprowadzać ekspiacji – to nie ma dzisiaj żadnego sensu. To jest tylko działanie na korzyść naszych przeciwników!".

W filmie „Młode wilki" z 1995 r. jest słynna scena w pociągu, gdy jeden z bohaterów poucza drugiego: „Nigdy do niczego się nie przyznawaj! Złapią cię pijanego w samochodzie, to mów, że nie piłeś.

eprasa.pl 9265260d78

Znajdą ci dolary w kieszeni, mów, że to pożyczone spodnie. A jak cię złapią na kradzieży za rękę – mów, że to nie twoja ręka. Nigdy się nie przyznawaj!". Wygląda, jakby przed kongresem Kaczyński odświeżył sobie tego filmowego klasyka.

Tej linii podporządkował się nie tylko Mateusz Morawiecki, lecz także Patryk Jaki, którego wystąpienie było co prawda najbardziej dynamiczne, ale całkowicie pozbawione jakichkolwiek samokrytycznych akcentów. Za to dużo było o złych Niemcach.

Nieprzyznanie się do błędów to jeszcze niższy poziom bezczelności. Wyższym jest twierdzenie, że robiło się coś całkiem innego, niż się robiło. A takich momentów w czasie kongresu było całkiem sporo.

Oto Jarosław Kaczyński oznajmia, że w kontekście wojny Rosji z Ukrainą naszego sąsiada trzeba oczywiście wspierać, ale nie można tego robić kosztem własnego rolnictwa. Jeszcze w marcu ubiegłego roku prezes PiS grzmiał, że stawianie jakichkolwiek warunków Ukrainie to „przedsięwzięcie na korzyść Rosji".

Mateusz Morawiecki dumnie oznajmia: „Myśmy nie wisieli u klamki Brukseli!". Ten sam Mateusz Morawiecki, który akceptował KPO, poświęcając za pieniądze istotne elementy naszej suwerenności, i który zgodził się na mechanizm wynagradzania finansowego za przestrzeganie „praworządności".

W deklaracji ideowej zjednoczonych ugrupowań znajdujemy punkt 5: odrzucenie Zielonego Ładu. Jeszcze w 2021 r. Jarosław Kaczyński perorował: „[…] musimy przyjmować pewne realia i dzisiaj ta tendencja do tego, co można określić jako budowa nowego [Zielonego] Ładu jest taka, że odrzucanie jej oznaczałoby ustawienie się na marginesie i innego rodzaju różne kłopoty […]. Ale też ta druga strona, uczestniczenie w tym projekcie [...] popchnięcia Europy do przodu, a w szczególności takich państw jak Polska, to ten plan jest czymś, w czym warto uczestniczyć nawet za pewną cenę".

W punkcie 7 czytamy, że PiS zobowiązuje się do walki o prawo do płatności gotówkowych. Tymczasem to nie kto inny jak Mateusz Morawiecki zamierzał ograniczyć – w ramach Polskiego Ładu – płatności gotówkowe w biznesie do 8 tys. zł, a w płatnościach konsumenckich do 20 tys. zł.

Aż chciałoby się przywołać słowa reżysera Zagajnego z „Misia", zmagającego się z problemem kota mającego w filmie udawać zająca: „Na każdą rzecz można patrzeć z dwóch stron. Jest prawda czasów, o których mówimy, i prawda ekranu, która mówi: »Prasłowiańska grusza chroni w swych konarach plebejskiego uciekiniera«".

O niedociągnięciach i błędach nie było nic – może poza jednym krótkim wtrąceniem w przemówieniu Jarosława Kaczyńskiego: „Nie wszystko oczywiście się udało". Był to – bez żartów – jedyny fragment we wszystkich trzech wystąpieniach polityków, trwających w sumie dobrze ponad dwie godziny, w którym była mowa, że cokolwiek poszło źle. Ale też zdanie to zostało poprzedzone stwierdzeniem: „Myśmy stworzyli z tego ośmiolecia naszych rządów naprawdę dobrą, niektórzy mówią: złotą epokę".

Jeżeli połączyć przebieg kongresu z wywiadem z prezesem w „Sieciach" („tymczasowy akt zasadniczy", uznaniowe uznawanie wyroków za „niebyłe", stworzenie „Rady Stanu"), to łatwo odczytać strategię największego ugrupowania opozycji. Nie ma żadnej korekty kursu, żadnej refleksji nad przyczynami przegranej, a tym bardziej żadnego sięgania do centrum. Jest pogłębianie polaryzacji, pójście w zaparte i podstawowa zasada strategii: czekamy, aż Donald Tusk sam się wyłoży, a wtedy władza wróci do nas sama. Nie musimy się w najmniejszym stopniu zmieniać.

Nieprzyznanie się do błędów to jeszcze niższy poziom bezczelności. Wyższym jest twierdzenie, że robiło się coś całkiem innego, niż się robiło. A takich momentów w czasie kongresu PiS było całkiem sporo

Szczególnie podniośle wezwanie do grania na polaryzację ujął Mateusz Morawiecki, który wezwał obecnych do toczenia bitwy każdego dnia, pozostałego do końca tej kadencji, a więc do wydania „im" tysiąca bitew („oni" pojawiali się wielokrotnie we wszystkich wystąpieniach – klasyczny zabieg retoryczny, mający przekonać słuchaczy, że są tylko „oni" i „my").

Obecność na trybunie byłego premiera, będącego twarzą najgorszych elementów polityki rządu Zjednoczonej Prawicy, podkreślała odrzucenie jakichkolwiek wezwań do korekty czy odświeżenia wizerunku. Nie mniej znamienne były twarze w pierwszych rzędach: Jacek Sasin, Małgorzata Gosiewska, Ryszard Terlecki, Joanna Lichocka, Piotr Gliński, Antoni Macierewicz – słowem: świeżość i młodość. Szczególnie interesująca była obecność poseł Moniki Pawłowskiej – tej samej, która swego czasu, przed dołączeniem do PiS (za pośrednictwem partii Jarosława Gowina), brylowała na lewicy, wspierając gorąco postulaty liberalizacji prawa aborcyjnego. Niestety, kamera nie pokazała jej w momencie, gdy premier Morawiecki z zaangażowaniem mówił o konieczności obrony krzyża.

MATEUSZ COELHO

Jak stwierdził, podobno żartobliwie, Kaczyński: w polityce ważna jest pamięć dobra, ale krótka. Dotyczyło to wprawdzie wątpliwości co do zjednoczenia z SP, ale można by powiedzieć, że dla polityków ważne jest, aby jak najkrótsza była pamięć ich wiernego elektoratu. Na takim założeniu nie tylko zbudowany był kongres PiS, lecz także tak wygląda strategia tej partii od momentu przegranych wyborów. Bardzo też możliwe, że tak będzie wyglądała jej kampania prezydencka.

Czasem najtrudniejsze jest znalezienie dobrego zakończenia tekstu. Tym razem nie będę się wysilał. Sięgnę po prostu po kongresowy cytat z Mateusza Morawieckiego, który objawił się niespodziewanie jako Paulo Coelho polskiej polityki: „A rzeczywistość jest utkana z tej samej przędzy co marzenia. Marzenia o wielkiej Polsce, Polsce zasobnej, Polsce sprawiedliwej, solidarnej, takiej, jaką wszyscy kochamy. I ja idę każdego dnia w ten bój dobra ze złem. Nigdy się nie poddam!".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9265260d78

Z Marcinem Palade, socjologiem polityki
rozmawia Ryszard Gromadzki

Ostatnia szansa dla PiS

FOT. MARCIN PALADE STATYSTYCZNIE/YOUTUBE

RYSZARD GROMADZKI: Podczas kongresu PiS w Przysusze były premier Mateusz Morawiecki powiedział, że „rok po wyborach interesują go tylko dwa słowa: przyszłość i zwycięstwo". Z tych słów emanuje pewność siebie i wiara w odzyskanie władzy. Atmosfera i polityczny przekaz kongresu dają podstawę do takiego optymizmu?

MARCIN PALADE: Dają podstawę do tego, żeby powiedzieć, że nic się nie zmieni. Prezes Kaczyński mówiący, że na sali zasiada elita partii, czyli kto jest członkiem partii, a nie jest na sali, już elitą nie jest. Z wyraźnym przesłaniem, że PiS nie ma za co przepraszać. Przecież winne jest społeczeństwo, że nie powierzyło trzeciej kadencji elicie narodu. Do tego zgrane twarze w pierwszym rzędzie, takie jak Gosiewska, Kurski czy Kuchciński. Ta – cytując lidera PiS – elita narodu. Wyczuwalny brak entuzjazmu sali. No, ale jak miałby być, skoro widać jak na dłoni, że kierownictwo PiS markuje zmiany tak, by nic się nie zmieniło? A to, co jest, nie daje żadnej gwarancji powrotu do władzy. Nie daje nadziei na wyjście z głębokiej defensywy.

> **Widać jak na dłoni, że kierownictwo PiS markuje zmiany tak, by nic się nie zmieniło**

To nie najlepszy prognostyk dla PiS przed wyborami prezydenckimi. Najważniejszymi po 1989 r. – jak podkreślają obie strony politycznej barykady w Polsce.

Zdecydowanie tak. Wybory w 2025 r. są ostatnią szansą dla PiS, żeby zatrzymać pełną kontrolę nad Polską ze strony ekipy Donalda Tuska. Tylko do tego potrzebny jest kandydat, który będzie strawny nie tylko dla obozu PiS-owskiego, czyli tych ok. trzydziestu, trzydziestu kilku procent elektoratu. Wszystko zapewne rozegra się w drugiej turze głosowania. A to oznacza konieczność pozyskania co najmniej kilkunastu dodatkowych punktów procentowych przed drugą turą, żeby myśleć o nawiązaniu rywalizacji z kimkolwiek, kto będzie reprezentował stronę centroprawicową.

Tylko że można ze świeczką szukać tych wypowiedzi czy inicjatyw ze

eprasa.pl 9265260d78

strony polityków Prawa i Sprawiedliwości, którzy w ciągu kilkunastu minionych miesięcy wysyłaliby sygnał do środowisk niepisowskich, na prawo czy w centrum, przybliżających scenariusz zbierania głosów, właśnie od nich, przed drugą turą głosowania.

Liderzy PiS przez dwie kadencje uzyskali możliwość rządów samodzielną większością, po raz pierwszy po 1989 r., i na tyle zmieniło to ich sposób myślenia, że do dzisiaj nie dopuszczają do sytuacji, w której mogliby partycypować we władzy – w sensie współrządzenia w rządzie składającym się z kilku podmiotów politycznych. Dopóki ta zmiana się nie dokona, a nic na to nie wskazuje i kongres PiS to potwierdził, dopóty PiS oczywiście będzie dysponował poparciem na poziomie trzydziestu kilku procent, będzie największą partią opozycyjną, ale nigdy nie będzie rządzić.

W talii nazwisk, które wymienia się jako pretendentów do kandydowania w wyborach prezydenckich z PiS, dostrzega pan postacie, które mają predyspozycje do skutecznego oddziaływania na elektorat spoza orbity tej partii?

Wśród polityków, którzy formalnie są członkami Prawa i Sprawiedliwości, konsekwentnie uważam, że największe szanse na nawiązanie walki, nie na zwycięstwo, ale nawiązanie rywalizacji z kontrkandydatem z centrolewicy, miałby Kacper Płażyński. Myślę, że mógłby on spokojnie oddziaływać na sporą część wyborców centrum jako ten, którego twarz nie kojarzy się z dominującą w PiS frakcją instytucjonalno-rewolucyjną. Zachowujący dystans wobec twardego PiS.

Jednak Płażyńskiego Kaczyński nie bierze pod uwagę, bo ten nie dałby się mu podporządkować. A jest oczywiste, że kandydat, którego wystawi PiS, musi być w dużej mierze podporządkowany Kaczyńskiemu.

Z pretendentów do kandydowania, którzy są w grze, dobry wynik w pierwszej turze uzyskałby Mariusz Błaszczak. Z tym że może mieć problem z pozyskaniem jakichkolwiek dodatkowych głosów między pierwszą a drugą turą, gdyby do drugiej tury doszło.

Kandydatem, który osiągnąłby pewnie niższy od Błaszczaka wynik w pierwszej turze, ale miałby szanse pozyskać dodatkowe głosy przed drugą turą, wydaje się prezes Instytutu Pamięci Narodowej, Karol Nawrocki. Pytanie, czy myślenie Jarosława Kaczyńskiego idzie w tym kierunku, żeby postawić na kandydata kojarzonego z centroprawicą, ale nie związanego formalnie z PiS. Bo nie ulega wątpliwości, że niezależnie od pogłębiającego się kryzysu obecnie rządzącej koalicji i zmieniających się in minus nastrojów po odsunięciu od władzy Prawa i Sprawiedliwości nie ma gleby na to, żeby kandydat stricte PiS-owski mógł powalczyć o zwycięstwo w wyborach prezydenckich.

Wśród polityków, którzy formalnie są członkami PiS, największe szanse – nie na zwycięstwo, ale nawiązanie rywalizacji z kontrkandydatem z centrolewicy – miałby Kacper Płażyński

Czyli scenariusz Duda 2.0 w obecnych realiach politycznych jest nie do powtórzenia?

Jest bardzo trudny do powtórzenia z jednej podstawowej przyczyny i nie trzeba dodatkowych argumentów. W 2015 r. Andrzej Duda wygrał świeżością, ale to był efekt tego, że Prawo i Sprawiedliwość przez dwie kadencje pozostawało w opozycji. Mieliśmy do czynienia z sytuacją bardzo dużego zmęczenia rządami Donalda Tuska i Ewy Kopacz. Najwyższą cenę zapłacił za to Bronisław Komorowski, przegrywając rywalizację z Andrzejem Dudą.

Teraz jesteśmy „świeżo" po odsunięciu od władzy Prawa i Sprawiedliwości, czyli świeżo po sytuacji, w której ci wyborcy, którzy decydują o wyniku, którzy wcześniej skłaniali się ku tej partii, a w 2023 r. zagłosowali wyraźnie przeciw rządom PiS, nie są moim zdaniem gotowi do tego, żeby do maja przyszłego roku przejść pod parasol PiS i wesprzeć wyraźnie kandydata tego obozu.

Powiedział pan, że nie ma politycznej gleby, żeby kandydat stricte PiS-owski wygrał wybory prezydenckie. Zakładając jednak, że uruchomiona zostanie nagła dynamika związana choćby z gwałtownym napływem migrantów do Polski w najbliższych miesiącach, co może wywołać ostry kryzys społeczny i polityczny, może to wówczas stworzyć dobry grunt do zwycięstwa kandydata prawicy w wyborach prezydenckich. Zresztą – jak widać – druga strona sceny politycznej dobrze zdaje sobie sprawę z tego rodzaju ryzyka.

Zdaje sobie sprawę i wyciąga wnioski. Gdybyśmy wsłuchali się w to, co mówią ostatnio Donald Tusk i choćby Bartłomiej Sienkiewicz, moglibyśmy odnieść wrażenie, że wstąpili do Suwerennej Polski tuż przed jej zjednoczeniem z PiS. A nawet idąc dalej – rozważają transfer do jeszcze bardziej eurosceptycznej Konfederacji. A mówiąc poważnie, powiedzenie dzisiaj, że nie ma żadnej możliwości, żeby wybory prezydenckie wygrał kandydat niezwiązany z obecną centrolewicą, byłoby z punktu widzenia kogoś, kto zajmuje się analizą i ma świadomość tego, że nie pojedyncze zdarzenia, ale ciąg zdarzeń wewnętrznych i zewnętrznych może zmienić układ w sondażach, z całą pewnością nieodpowiedzialne i nieprofesjonalne. Wychodzę z założenia, że możemy mieć do czynienia z sytuacją, w której może pojawić się game changer, czyli trzeci kandydat. Mówię o tym głośno już od kilkunastu tygodni. A więc taki, który może „narozrabiać".

Trzeci kandydat reprezentujący kogo?

Mam na myśli kandydata niepartyjnego, niezależnego, bardziej centrowego, z ofertą dla tych, którzy na PiS już nie zagłosują, ale są coraz bardziej zrażeni rządami Donalda Tuska w ostatnich 10 miesiącach, którzy będą poszukiwali jakiejś alternatywy dla PO-PiS. Ktoś może powiedzieć: no dobrze, ale przecież będzie startował Mentzen z Konfederacji, będzie ktoś z Lewicy, być może z Trzeciej Drogi. Jednak to nie ten kierunek. Badania pokazują, że jest spora grupa wyborców, ok. 20 proc. elektoratu, którzy deklarują, że oddaliby swój głos na kandydata spoza partii obecnych w parlamencie.

eprasa.pl 9265260d78

Kto miałby wystawić tego „czarnego konia"?

To mogą być inicjatywy typu stowarzyszenie, porozumienie wolnych elektronów. Za sprawą mediów społecznościowych, Polsatu czy Kanału Zero robi się sporo wolnej przestrzeni.

Czy inicjatywa Krzysztofa Ardanowskiego mieści się w formule, o której pan mówi?

Nie biorę tego przedsięwzięcia pod uwagę. Przy całym szacunku dla pana Ardanowskiego wystawienie Marka Jakubiaka oznacza, że jest to walka o 2, a maksymalnie 3 proc. głosów. Myślę raczej o kandydacie, bez przywiązywania się do nazwisk, nazwijmy to partii CPK. Mówię o sytuacji, którą obserwujemy już od stycznia czy lutego, kiedy mieliśmy pierwsze sondaże pokazujące bardzo ciekawe zjawisko. W tych sondażach pytano ludzi o sztandarowe, prorozwojowe projekty, które zainicjował lub których realizację zapowiedział PiS. Mam na myśli projekty w rodzaju Centralnego Portu Komunikacyjnego. Okazało się, że to są takie programy, które duża część Polaków, tzw. normalsów, chce pomysłów PiS bez PiS. Tych programów nie chce realizować obecna koalicja rządząca, podporządkowana w dużej mierze agendzie niemieckiej. Czyli nie jest zainteresowana realizacją dużych polskich projektów, bo to oznaczałoby kontynuację szybkiego rozwoju Polski, co z całą pewnością jest nie na rękę bardzo słabnącym Niemcom.

Powstaje pytanie: Czy pojawi się kandydat lub kandydaci, którzy będą w stanie zagospodarować wspomniane 20 proc. elektoratu i trafić do tych wyborców, którzy nie są wyraźnie po stronie barykady Platformy Obywatelskiej, Koalicji Obywatelskiej czy Prawa i Sprawiedliwości? To odwołanie się do spraw, które są ponad trwałym podziałem, niezależnie od formacji politycznej, z którą sympatyzujemy.

Wspomniał pan wcześniej o dynamice, która zmienia realia sceny politycznej. Przywołam sytuację z 2015 r. Poparcie dla Pawła Kukiza przez większość kampanii oscylowało w przedziale 2–4 proc. Dynamika jej ostatnich dwóch tygodni była taka, że Kukiz zdobył ostatecznie 21 proc. głosów. Prawdopodobnie, gdyby kampania trwała wtedy tydzień czy dwa dłużej, mielibyśmy sytuację, w której trzech kandydatów – Komorowski, Duda i Kukiz – miałoby porównywalny wynik, bo Kukiz był w trendzie mocno wzrostowym.

Jest pytanie, czy te 20 proc. wyborców będzie nadal konsekwentnie poszukiwało kandydata? Czy taki kandydat się pojawi? Bo tylko w tym przypadku upatruję szansy na większą dynamikę, jeśli chodzi o sondaże, i tylko w takiej sytuacji moglibyśmy mówić o ewentualnej niespodziance w maju i czerwcu przyszłego roku.

À propos niespodzianek. Coraz głośniej spekuluje się, że kandydatem PO czy – szerzej – obozu liberalno-lewicowego w wyborach prezydenckich nie będzie Rafał Trzaskowski, co jeszcze niedawno wydawało się pewnikiem, lecz Radosław Sikorski. To scenariusz, który trzeba brać poważnie pod uwagę?

Trzeba brać pod uwagę zwiększoną aktywność ministra Sikorskiego w ostatnich tygodniach, szczególnie w obszarach, które są mało lewicowe, tak bym to określił. Dobrym przykładem jest tu wrześniowa wizyta w Kijowie i próba postawienia może nie na ostrzu noża, ale w zdecydowanie bardziej twardy sposób, niż robił to nieznośnie proukraiński rząd PiS przez ostatnie osiem lat, sprawy ekshumacji polskich ofiar rzezi wołyńskiej.

To sugerowałoby, że sprawny gracz – a z całą pewnością Sikorski jest takim graczem – jeśli dostał, przynajmniej wstępnie, sygnał od Donalda Tuska, żeby rozważyć start, to na pewno ma świadomość, że nie wygra tych wyborów, zwracając się do wyborców zorientowanych lewicowo. Bo to jest obszar w dużej mierze zarezerwowany przez Rafała Trzaskowskiego, jako kandydata mocno progresywnego. Jeśli Sikorski poważnie myśli o ubieganiu się o urząd prezydenta, to musi znaleźć kanał dotarcia do wyborców centrum i tych na prawo od centrum.

Ewentualne zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prezydenckich w USA może być bonusem dla kandydata prawicy w przyszłorocznych wyborach głowy państwa w Polsce?

To są nadzieje wyrażane przez środowiska Prawa i Sprawiedliwości i związanych z nim mediów. Idąc ich tokiem myślenia, wygrana Donalda Trumpa miałaby oznaczać nieomal automatyczne zwiększenie szans kandydata PiS. Sprawy wcale nie muszą się tak potoczyć. Już pomijam tę naiwność PiS, który od ekipy Trumpa dostał Mosbacher i lobbującego za restytucją mienia żydowskiego Pompeo. Ale nade wszystko dlatego, że po drugiej stronie mamy bardzo pragmatycznych Anglosasów, którzy chcą przebudować sobie relacje z Europą.

Jeśli wybory w USA wygra Trump, to raczej nie będziemy mieli do czynienia z powtórką tego, co robiła administracja Bidena, czyli oddania zarządzania Europą niemal we wszystkich obszarach Niemcom. To prawdopodobnie byłoby tak, jak w latach 2016–2020 – stawianie na zwiększenie potencjału Europy Środkowej, w tym Polski, kosztem „starej Europy". Natomiast czy Amerykanie zdecydowaliby się na „przewrót w Warszawie", żeby mieć bardziej spolegliwą ekipę? Wcale nie. Polityka to symbole, ale – czego nie rozumieją nasi politycy od lewa do prawa – osiąganie celów przez pragmatyzm. Być może Donald Tusk, który „strzelał" z dłoni do Donalda Trumpa na szczycie NATO w latach 2018 czy 2019, jest paradoksalnie wygodniejszym partnerem do współpracy. Bo poprzez to swoje zachowanie – wiele wypowiedzi, które atakowały administrację republikańską i samego Trumpa – jest łatwiejszy do trzymania na quasi-kolonialnej smyczy przez Waszyngton.

Gdybyśmy wsłuchali się w to, co mówią ostatnio Donald Tusk i choćby Bartłomiej Sienkiewicz, moglibyśmy odnieść wrażenie, że wstąpili do Suwerennej Polski tuż przed jej zjednoczeniem z PiS. A nawet idąc dalej – rozważają transfer do jeszcze bardziej eurosceptycznej Konfederacji

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9265260d78

Taniec z migrantami

FOT. ADOBE STOCK/AI

Rafał A. Ziemkiewicz

Dlaczego Donald Tusk nagle zapragnął bronić Polski przed nielegalną migracją – i zrobić głupców ze wspierających go „inteligentów"?

Przyjęcie przez rząd RP długofalowej strategii migracyjnej powinno cieszyć – bardzo nam jej przecież brakuje – i to, że PiS w ciągu ośmiu lat swych rządów, mimo rosnącego zaniepokojenia opinii publicznej niekontrolowanym napływem obcokrajowców, strategii takiej nawet nie spróbował przygotować, jest powodem do wstydu. Powinno cieszyć – ale nie cieszy. Z tej przyczyny, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa ma ona charakter czysto propagandowy i Donaldowi Tuskowi nie chodzi wcale o strategię, tylko o wyprodukowanie „newsa", że ją ma.

Wśród wskazujących na to przesłanek jedną z najistotniejszych jest to, że „przyjęty" przez Radę Ministrów dokument opublikowano dopiero pod koniec tygodnia. Wcześniej informacje o jego zawartości trafiły do opinii publicznej jedynie w formule „redakcja X dotarła do szczegółów rządowej strategii…" – a więc bez gwarancji, że cytowane „szczegóły" odpowiadają prawdzie. Każe to przypuszczać, że w momencie, gdy po posiedzeniu rządu otrąbiono hucznie „mamy strategię", w istocie istniała ona (i być może nadal tak jest) jedynie w jakimś ogólnym zarysie.

Wskazuje też na to falstart, którym była wcześniejsza zapowiedź Tuska, że „długofalowa strategia" ogłoszona zostanie nie po posiedzeniu rządu, ale na „konwencji" PO w sobotę 12 października. Nie była to zresztą w istocie konwencja, tylko zaplanowane wcześniej posiedzenie Rady Krajowej PO, ale na ten sam dzień zapowiedziało swoją konwencję Prawo i Sprawiedliwość. Posiedzenie Rady Krajowej nazwano więc „konwencją PO" i rozpoczęto o godzinę wcześniej od konwencji PiS po to, by medialnie „przykryć" tę drugą (co się zresztą nie udało). Takie „przykrycie" wymagało wymyślenia jakiegoś „łamiącego" newsa, bardziej chwytliwego niż mało porywające, przyznajmy, „zjednoczenie prawicowej opozycji", polegające na wchłonięciu przez PiS junior partnera ze Zjednoczonej Prawicy. I tym właśnie przesłaniem, przebijającym się na czołówki portali i programów informacyjnych, miała stać się „długofalowa strategia migracyjna".

Falstart polegał na tym, że we wspomnianą sobotę Tusk nie miał nic do przedstawienia i – wbrew wcześniejszym zapowiedziom – ogłosił tylko „zaliczkowo", że jednym z istotnych punktów przygotowanej strategii będzie „zwrócenie się do Unii Europejskiej" o zgodę na zawieszenie na części obszaru Polski prawa azylowego".

AZYL? TO NIE NASZ PROBLEM

Od razu zapachniało absurdem. Po pierwsze, polski problem z migrantami w ogóle nie ma nic wspólnego z prawem azylowym, więc jego ewentualne zawieszenie, nawet gdyby było możliwe, niczego nie rozwiązuje. Ani „turyści Łukaszenki", przekraczający z pomocą miejscowych kolaborantów nielegalnie wschodnią granicę, ani migranci wypychani do Polski z Niemiec przez tamtejsze służby w ogóle nie są zainteresowani składaniem w Polsce wniosków o azyl, przeciwnie – unikają jak ognia zarejestrowania, gdyż wtedy Polska staje się dla nich „pierwszym krajem pobytu" i przepada możliwość ubiegania się o „socjal" w Niemczech. Nie ubiegają się też o azyl cudzoziemcy korzystający z zezwolenia o pracę. Zresztą, wedle oficjalnych szacunków, ok. 20 tys. osób, którym w ostatnich latach odmówiła Polska udzielenia azylu, i tak wciąż u nas pozostaje – w praktyce bowiem osobie, której odmówiono, podobnie zresztą jak takiej, której wygasło zezwolenie na pracę, polskie władze mogą tylko wręczyć pismo z uprzejmą prośbą, żeby zechciała opuścić nasz kraj, bez żadnych możliwości nie tylko jej wyegzekwowania, lecz także nawet monitorowania takiej osoby.

Po drugie – prawo azylu wynika z konwencji genewskiej i kilku innych umów międzynarodowych o zasięgu globalnym, zapis w Karcie praw człowieka UE jest tylko powtórzeniem tamtych zobowiązań. I nie przewidziano żadnego trybu „zawieszenia" KPC przez którykolwiek z unijnych organów – co zresztą może najmniej istotne, bo Unia zdążyła już przyzwyczaić nas do narzucania słabszym krajom członkowskim różnych wymogów „w żadnym trybie" i bez traktatowych podstaw, a ostatnie wypo-

eprasa.pl 9265260d78

wiedzi i działania niemieckich patronów obecnej władzy dowodzą, że w Unii zamykanie się na „uchodźców" przestaje już być uważane za rasizm, faszyzm i „populizm".

Podobno Tuskowi podpowiedział któryś ze współpracowników, że tak zrobiono w Finlandii – tyle że ten kraj wcale nie zwracał się do nikogo o pozwolenie, by móc zawiesić prawo azylu, ani, formalnie rzecz biorąc, wcale go nie zawiesił; po prostu nie oglądając się na nie, fizycznie uniemożliwił składanie wniosków o azyl w pasie przygranicznym, odcinając od tej możliwości przekraczających nielegalnie granicę z Rosją. Tusk, zapewne poinformowany dopiero poniewczasie o tych szczegółach, następnego dnia zmodyfikował swą zapowiedź, zamieszczając butny wpis na Twitterze: „Naszym prawem i obowiązkiem jest ochrona polskiej i europejskiej granicy. Jej bezpieczeństwo nie będzie przedmiotem negocjacji. Z nikim". Zabrakło jasnego wskazania adresata tego wpisu, ale każdy przecież wie, jaki to „nikt" mógłby kazać Tuskowi negocjować.

Mimo tej modyfikacji zapowiedź zawieszenia prawa azylowego spotkała się z tak negatywną reakcją zwykle oddanych Tuskowi lewicowo-liberalnych mediów oraz ich „autorytetów", a zarazem tak zmiażdżone zostało przez zwykle mu życzliwych prawników, że w środę w Sejmie, występując bezpośrednio po orędziu prezydenta, zapewniał Tusk z właściwym sobie tupetem, że „nikt przecież nie mówi tutaj o zawieszeniu prawa do azylu, to jest nieprawda!", i starał się wmówić, że „długofalowa strategia migracyjna" polegać ma na zupełnie innego rodzaju działaniach – integrowaniu migrantów, uczeniu ich języka i lojalności wobec państwa polskiego etc. Zapewne powodem tego z kolei politycznego piruetu była nie tylko wyżej opisana reakcja lewicowo-liberalnych salonów, lecz także to, że jak na złość, równolegle do „konwencji PO", Komisja Europejska wbiła Tuskowi (niechcący?) nóż w plecy, ujawniając na swych stronach internetowych, że w Polsce powstaje 49 „ośrodków integracyjnych" dla relokowanych z Zachodu migrantów.

Po stronie PiS dało się zauważyć przekonanie, że przełożenie przez Tuska „wajchy" w sprawie migrantów tak bardzo obnaża jego hipokryzję i tak bardzo idzie pod prąd dotychczasowej propagandzie lewicowo-liberalnego salonu, że musi go to skompromitować i zdyskredytować. Wyborcy – tak się tu uważa – przecież muszą jeszcze pamiętać, jak na feministycznym Kongresie Kobiet grzmiał Tusk, że budowa płotu na granicy to „największe ze wszystkich łajdactw PiS", jak miotał gromy na „pisowskie, populistyczne szczucie", jakoby „biedni ludzie, szukający swego miejsca pod słońcem", stanowili jakieś zagrożenie. Powinni też pamiętać wszystkie te zachwyty nad bazującym na wymysłach putinowskiej propagandy filmem Agnieszki Holland, byłą europoseł Ochojską, korowody celebrytów histeryzujących nad losem „dzieci z Michałowa" czy ukrywającego się sześć dni pod wodą Ahmeda, ich pastwienie się z lubością nad symbolami religijnymi, rysowanie Świętej Rodziny i Matki Boskiej z dzieciątkiem na tle drutów kolczastych, obelgi i pomówienia rzucane na Straż Graniczną…

We wszystkich sondażach rząd Tuska wypada fatalnie. Tylko 75 proc. wyborców KO głosowałoby na nią ponownie

TUSK NICZYM NIE RYZYKUJE

Ale Tusk wcale nie oszalał, a jeśli nawet w obliczu rocznicowego kryzysu – o czym za chwilę – chwyta się brzytwy, to nie robi tego na ślepo. I kiedy Bartłomiej Sienkiewicz oznajmia w jego imieniu przejętemu „prawami człowieka" liberalno-lewicowemu salonowi, że jest odklejony od rzeczywistości i od tego, co uważają „ludzie", to nie ma na myśli „ludzi" w ogóle, ale „naszych" ludzi, tych, którzy na nas głosowali.

Otoczenie Tuska zna przecież zamieszczony na stronach Krytyki Politycznej raport Sławomira Sierakowskiego i Przemysława Sadury „Rok po wyborach", gdzie autorzy konstatują – choć zaznaczają, że „na pierwszy rzut oka wydaje się to dziwne" – iż przeciętny wyborca PO chce Polski z zewnętrznymi znamionami „europejskości", typu aborcja, „równość małżeńska" czy „zielona" energia, ale „bez Ukraińców i nielegalnych imigrantów, bez socjalu dla patusów".

Czym zresztą ryzykuje Tusk? Niczym więcej niż wtedy, kiedy brutalnie rozwiewał marzenia „obywateli kultury" czy blokował za daleko idące postulaty lewicy obyczajowej. Salony się poburzają, ale w końcu zrozumieją „mądrość etapu" i postraszone powrotem PiS podporządkują się nowej linii partii. Nie pierwszy raz wyznacza Tusk michnikowym „inteligentom" rolę pajaców, których używa, gdy mu ich „gęganie" (określenie Janusza Szpotańskiego) na rękę, a gdy nie, każe im się zamknąć – i ci się zamykają.

Raport Sadury i Sierakowskiego nie był jedynym sposobem uczczenia rocznicy zwycięskich dla obozu pomagdalenkowego wyborów – sypnęło także sondażami, a we wszystkich rząd Tuska wypadł fatalnie. Z wyborców, którzy dali koalicji zwycięstwo, tylko 75 proc. deklaruje dziś, że zagłosowałoby na nią ponownie. Aż 41 proc. oceniło ten rząd na szkolną „jedynkę" lub dwójkę, podczas gdy na piątkę i celujący – tylko 15 proc. Poniżej jednej piątej badanych jako sprawy ważne wskazuje rozliczenia z PiS, aborcję czy walkę z klimatem, a więc jedyne sprawy, którymi Tusk się zajmuje, podczas gdy ok. połowy domaga się pilnie tego, co kompletnie zaniechał: naprawy służby zdrowia i sądów oraz obiecanej obniżki podatków. Jedna trzecia uważa, że Tusk nie spełnił ich nadziei, a 15 proc. podpisało się nawet pod stwierdzeniem, że w ogóle nie ma on „sprawczości", wpływu na sytuację w Polsce. Podkreślam: to opinie wyłącznie tych, którzy dali PO i jej politycznym przystawkom władzę. Tusk po prostu musi szukać sposobu skomunikowania się z nimi na nowo, nawet jeśli wydaje się on ryzykowny.

Te dane wyjaśniają, skąd nagła zmiana w stosunku Tuska do migrantów i nowa narracja, wiernie kopiująca tak niegdyś krytykowaną narrację Kaczyńskiego. I zarazem każą wątpić, by uporządkowanie polityki migracyjnej stało się dzięki „długofalowej" strategii bliższe niż 60 tys. wolne od podatku, kredyt zero procent czy benzyna po 5,19 zł za litr.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9265260d78

Z księdzem biskupem Arturem Ważnym
rozmawia Tomasz Rowiński

Weszliśmy na drogę oczyszczenia diecezji sosnowieckiej

FOT. EPISKOPATNEWS/FLICKR

eprasa.pl 9265260d78

TOMASZ ROWIŃSKI: Księże biskupie, jak to się stało, że diecezja sosnowiecka stała się symbolem i antywzorem Kościoła lokalnego?

BP ARTUR WAŻNY: Jestem biskupem sosnowieckim dopiero od maja. Te kilka miesięcy jednak stały się dla mnie prawdziwym maratonem spotkań i rozmów z naszymi księżmi i wiernymi świeckimi. Dopiero dzięki tym spotkaniom mogę powiedzieć, że naprawdę poznaję tę diecezję. Wcześniej miałem do czynienia jedynie z pewnymi relacjami medialnymi. Obecnie konfrontuję te doniesienia z rzeczywistością. I dzięki temu mam prawdziwszy obraz tego, o czym wcześniej jedynie czytałem. Wiem, że to stwierdzenie może niektórych drażnić i denerwować, ale w istocie tak to wygląda, że jest sporo prawdy w powiedzeniu, że istnieje diecezja sosnowiecka „medialna" i „realna". I to nie jest sprytna ucieczka od odpowiedzi na zadane pytanie. Zapewne także w sercach księży i wiernych istnieje także diecezja sosnowiecka „idealna", pewne marzenie i oczekiwanie względem naszego lokalnego Kościoła. Względem tego, jaki mógłby być, ale niestety jeszcze nie jest. Wierzę, że Bóg nie bez powodu wpisuje pragnienia i marzenia w nasze serca. Nie boję się wybiegać myślą w przód i planować, że za pewien czas każdy będzie mógł powiedzieć: diecezja sosnowiecka staje się pokornym i bezpiecznym Kościołem lokalnym. Aby jednak to było możliwe, najpierw zaczęliśmy odważnie mierzyć się z naszymi skandalami i grzechami oraz słabościami i trudnościami, aby budować przyszłość na fundamencie prawdy. Tylko ona wyzwala.

Jakie było źródło problemów, kiedy one się zaczęły?

Te pytania nurtują wielu diecezjan, wielu ludzi w Polsce, a także spotkałem się z nimi za granicą. Te pytania nurtują także mnie. Padło już wiele diagnoz i odpowiedzi. Wszystkie je pokornie czytam i analizuję. Ja bowiem nie przyszedłem do diecezji sosnowieckiej z gotowymi odpowiedziami. Tak jak wszyscy chcę zbadać źródło naszych problemów. W tym celu powołałem niezależne komisje, złożone w większości z ludzi świeckich. Jedna z nich – komisja do spraw rozeznania i rozwoju – oprócz dokonania swoistego audytu diecezji ma również zaproponować konkretne rozwiązania, które usprawnią jej działanie i realizację najważniejszych celów: ewangelizacji, katechizacji i duszpasterstwa oraz misji. Ta komisja pozwoli nam dostrzec nasze zasoby, których można być nawet nieświadomym, a także wskaże nam nasze słabe strony. Tam wdrożymy reformy i nowe rozwiązania.

Zdaję sobie sprawę, że wielu przyczyn naszej obecnej sytuacji należy szukać w sprawach kryzysowych z przeszłości. Są to sprawy wielowątkowe. Dlatego zajmie się nimi druga komisja niezależnych ekspertów. To specjaliści z zakresu prawa świeckiego, kanonicznego, psychologii, archiwistyki czy komunikacji społecznej. Wierzę, że ich umiejętności, a także niezależne spojrzenie na sprawy pozwolą nie tylko przeanalizować obciążające naszą diecezję zgorszenia czy zdarzenia, lecz także wskazać błędy, które stały się ich przyczyną. Tu również nie chciałbym wyrokować i dawać gotowych odpowiedzi. Niech te odpowiedzi pojawią się jako owoc działań komisji.

Nie mam nic do ukrycia. Każda sprawa, która domaga się przeprowadzenia działań procesowych, będzie procedowana

Czy wielu spraw natury karnej – w zakresie prawa świeckiego czy też kościelnego – ksiądz biskup jeszcze się spodziewa?

Nie chciałbym, aby się pojawiały. Wiemy jednak, że już się pojawiły jako konsekwencje działań organów ścigania dotyczące przeszłych wydarzeń czy nawet – niestety – nowe gorszące sytuacje. Ale przecież weszliśmy na drogę oczyszczenia diecezji sosnowieckiej. Współpracujemy z prokuraturą, przekazujemy informacje, o które nas prosi. Otworzyliśmy nawet nasze kurialne archiwa, aby śledczy mogli przeprowadzić swoje kompleksowe czynności. Nie mam nic do ukrycia. Każda sprawa, która domaga się przeprowadzenia działań procesowych, będzie procedowana. Osobom skrzywdzonym należą się sprawiedliwość i zadośćuczynienie. Często zbyt długo czekają w samotności i w ciemności ze swoimi ranami i cierpieniem na sprawiedliwość i przeproszenie, pomoc, zrozumienie i wsparcie. Również z naszej strony przeprowadzimy także własny audyt wszystkich zgłoszonych spraw związanych z wykorzystaniem małoletnich od momentu założenia diecezji, czyli od 1992 r. Będę wówczas wiedzieć, jaka jest skala zjawiska i czy wszystkie sprawy zostały wyjaśnione oraz zamknięte zgodnie z prawem i należnym szacunkiem wobec tych osób.

Jak ocenia ksiądz morale duchowieństwa w swojej diecezji?

Słowo „morale" można rozumieć zapewne na dwa sposoby. I na dwa sposoby odpowiem. Jeśli chodzi o „moralność" duchowieństwa diecezji, to jest to pytanie o pewną sferę wewnętrzną człowieka, o jego sumienie. Z bólem i troską przyjmuję do wiadomości informację o każdym kapłańskim przestępstwie, wykroczeniu, grzechu i nieuporządkowaniu. Te sprawy nigdy nie powinny mieć miejsca. Przepraszam za nie. Te przestępstwa czy grzechy godzą przede wszystkim w osoby skrzywdzone. Trzeba dopiero spotkać się z nimi, popatrzeć im w oczy, wysłuchać ich historii, żeby chociaż trochę wejść w ich świat i poczuć, z jakim dramatem muszą się mierzyć, nieraz długimi latami, ze złamanym życiem czy brakiem perspektyw. Nie chcę też zapominać o tym, że niskie morale duchowieństwa godzi również w wiarę naszych wiernych, ale godzi także w grono naszych księży, którzy – wiem o tym – często czują złość i wstyd na to wszystko. Czują, że ich praca duszpasterska, coś, co budują z wysiłkiem dzień po dniu, bywa rujnowana przez grzech czy skandal jednego. Tutaj mówimy więc o tym drugim rozumieniu słowa „morale", o pewnej kondycji naszego duchowieństwa. Miałem okazję rozmawiać ze wszystkimi księżmi diecezji sosnowieckiej. Każdemu zadałem trzy pytania:

eprasa.pl 9265260d78

Co jest twoją radością? Co jest twoim smutkiem? Jakie masz plany, marzenia względem diecezji sosnowieckiej? Z każdym kolejnym spotkaniem w dekanatach widziałem, że księża coraz bardziej się otwierają, coraz szczerzej odpowiadają na te pytania. Zrozumiałem wtedy, jaki z jednej strony balast wstydu i złości dźwigają, swoistego protestu i niezgody na zło, ale z drugiej strony zauważyłem, że nie dali się złamać, że wciąż jest wiele spraw, które w kapłaństwie ich cieszą, które robią dobrze, za które wierni ich cenią. Chcą uzdrowienia, chcą iść do przodu, bez obciążającej przeszłości. Chcą robić to, do czego zostali powołani. Jako ich biskup chcę robić wszystko, aby tak się stało.

Czy potrzebne są jakieś zmiany w formacji seminaryjnej? Czy nie tam zaczęła się przynajmniej część gorszących, a także tragicznych wypadków z udziałem sosnowieckiego duchowieństwa?

Kształt formacji seminaryjnej w ostatnich latach jest poddawany pewnym zmianom. Chodzi o to, aby dostosować jej profil do zmieniających się czasów, ale przede wszystkim do zmieniających się ludzi. Seminaria dziś stoją przed wyzwaniami, których kiedyś po prostu nie było. Najważniejsze jest to, że te zmiany dostrzegamy i staramy się na nie reagować. Również obecnie trwający w Kościele synod powszechny dotyka kwestii formacji seminaryjnej. Przyglądamy się tej dyskusji i jako Kościół w Polsce z pewnością będziemy wdrażać propozycje, które przedstawi Stolica Apostolska jako owoc zgromadzenia synodalnego. Na pewno dzisiejsza formacja seminaryjna staje się bardziej indywidualna, spersonalizowana. Kiedyś, gdy kleryków było po kilkunastu lub nawet po kilkudziesięciu na roku, formacja była bardziej ujednolicona. Niewykluczone, że m.in. właśnie to sprawiło, że wśród wyświęconych duchownych znaleźli się i tacy, którzy nie do końca poddali się formacji i weszli w kapłaństwo z dysfunkcjami i nieprzepracowanymi problemami.

Jak można wyprowadzić na prostą diecezję, która tak długo grzęzła w klimacie demoralizacji? Słyszałem takie gorzkie powiedzenie od ludzi mediów bliskich i życzliwych Kościołowi, że nie powinno się mówić Sodoma i Gomora, ale Sosnowiec i Dąbrowa.

Jeśli już mówimy o biblijnych miastach, to w tym kontekście przypomina mi się bardziej historia proroka Jonasza. Jonasz został posłany przez Boga do Niniwy, wielkiego miasta, które borykało się ze swoimi wielkimi grzechami. Bóg przez usta proroka ostrzegł Niniwę, że nadszedł ostatni czas, aby się oczyścić i nawrócić. W przeciwnym razie grzech doprowadziłby mieszkańców Niniwy do zniszczenia. I w tej opowieści jest takie krótkie zdanie, które jest jakby momentem przesilenia: „I uwierzyli mieszkańcy Niniwy Bogu" (por Jon 3, 5). Ta wiara w przestrogę głoszoną przez Jonasza zaowocowała decyzją o pokucie i nawróceniu. Bóg zobaczył ich przemianę i się ucieszył. Okazał miłosierdzie i ocalił Niniwę. Odczytuję to Boże Słowo jako opis pewnej drogi, która daje nadzieję. Musimy przyjąć do wiadomości, że – zwłaszcza jako duchowni – potrzebujemy więcej pokuty, skromności, czystości i pokory, potrzebujemy zmiany mentalności, że po prostu potrzebujemy nawrócenia, o którym tak często głosimy innym. W historii Jonasza ciekawe jest to, że choć głosił konieczność nawrócenia Niniwy, to jednak zrozumiał, że najpierw sam potrzebuje nawrócenia i okazywania posłuszeństwa Bogu. Musimy iść drogą Jonasza. Chcę iść tą drogą i zapraszam na nią zwłaszcza moich braci kapłanów.

Jakie dziś panują nastroje w diecezji wśród wiernych? Czy sytuacja z ostatnich lat nie uśmierciła życia religijnego?

Mówiłem wcześniej, że spotkałem się już ze wszystkimi księżmi, ale również spotykam się z kolejnymi grupami wiernych świeckich. W kolejnych dekanatach rozmawiałem z delegatami wszystkich 163 parafii diecezji sosnowieckiej. Po ingresie mój kalendarz się wypełnił. Rozmawiam i spotykam się z kolejnymi grupami, ruchami i stowarzyszeniami, z osobami życia konsekrowanego. Uczestniczę w wydarzeniach i inicjatywach, które są wspaniałe, ale nie przebijają się do mediów tak jak skandale. Chociażby ostatni, Strefa Młodych Festiwal, który zgromadził na sosnowieckiej Arenie blisko 1,5 tys. młodych ludzi z całej Polski, ale głównie z diecezji sosnowieckiej. Młodych, którzy chcieli być razem i się modlić. W strefie spowiedzi były kolejki, a strefa adoracji Najświętszego Sakramentu była zbyt mała i trzeba ją było poszerzyć, bo było tylu chętnych. To także prawda o diecezji sosnowieckiej. Prawda niezauważona i nieopowiedziana w mediach. Ci młodzi są w moim sercu i są moją nadzieją.

Moja diecezja, zapewne jak każda, ma swoją specyfikę. Powstała z ziem trzech diecezji, które miały własną historię, tradycję i zwyczaje. Nie wszystko da się scalić czy zniwelować napięcia i mimo tych ponad 30 lat istnienia diecezji te różnice wciąż widać. Trzeba to uszanować i starać się odczytać, jak najlepiej owa różnorodność służyć może naszym wiernym. Diecezja sosnowiecka to wspólnota wiernych, którzy są wypróbowani. Nasze ostatnie kryzysy z pewnością stały się trudną próbą wiary dla świeckich i zdaję sobie sprawę, że są tacy, którzy odeszli. Inni z kolei przedziwnie okrzepli i jeszcze bardziej się zaangażowali, bardziej poczuli, że mają wpływ na diecezję i jej działania. Każdy na swój sposób przeżywa te problemy i ma do tego pełne prawo. Chcę zrobić wszystko, aby nasze działania – zarówno te uzdrawiające przeszłość, jak i planowane na przyszłość – przekonały do powrotu tych, którzy odeszli, bo poczuli się skrzywdzeni lub zdradzeni, opuszczeni czy oszukani. Myślę również o tych, którzy w większości wciąż trwają w Kościele, choć nie zgadzają się na jego skandale i grzechy, błędy i zaniedbania. Dziękuję im, że potrafią oddzielać ziarno od plew i nie rezygnują z życia sakramentalnego oraz dbają o katechizację swoich dzieci. Pomimo wszystko widzę tu wiele znaków nadziei.

Chcę zrobić wszystko, aby nasze działania przekonały do powrotu tych, którzy odeszli, bo poczuli się skrzywdzeni lub zdradzeni, opuszczeni czy oszukani

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9265260d78

Konfederata paradoksalny

Piotr Semka

Trafność generalnych prognoz politycznych Leszka Moczulskiego mieszała się ze skłonnością do politykierstwa, z metodami pozornie skutecznymi, ale na dłuższą metę nieprzynoszącymi trwałych osiągnięć. Jednego nie można mu odmówić. Odwagi, którą wykazał, zakładając w 1979 r. – gdy PRL wydawała się wciąż silna – partię, która rzuciła hasło pełnej niepodległości Polski

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

Członek szkolnej antykomunistycznej konspiracji, który niedługo potem zapisuje się do komunistycznej Polskiej Partii Robotniczej. Wizjoner, który przewidział wybuch rewolucji Solidarności, ale wolnościowy karnawał w większości obserwował zza krat więzienia. Przeciwnik prezydentury Wojciecha Jaruzelskiego, który ponad dekadę później przyjęcie do Unii Europejskiej świętować będzie z Aleksandrem Kwaśniewskim.

Polityczna kariera Leszka Moczulskiego to przykłady odwagi, a także zygzaków oraz zawodnych rachub politycznych. Jego chłodne spojrzenie zza szkieł okularów i pewne siebie wywody o rychłym końcu Związku Sowieckiego przyciągały do niego ludzi marzących o niepodległości Polski. Ale gdy już ta niepodległość się ziściła, nie potrafił utrzymać swojej czołowej roli wśród polityków prawicy. Trafność generalnych prognoz politycznych mieszała się u niego ze skłonnością do politykierstwa, z metodami pozornie skutecznymi, ale na dłuższą metę nieprzynoszącymi trwałych osiągnięć.

JEDYNY W SWOIM RODZAJU

Należał do generacji urodzonej na początku lat 30. XX w. Tak jak np. Rafał Gan-Ganowicz, Polak, który zrobił karierę wśród zachodnich najemników, czy Jan Olszewski, obrońca polityczny, a później premier RP. Była to generacja, z której zakpił los. Gdy trwała wojna, byli za młodzi, aby bić się u boku pełnoletnich mężczyzn, ale marzyli o walce z okupantami wzorem starszych braci. A po wojnie zwalił się im na głowę komunizm, który z roku na rok pokazywał coraz bardziej odpychające oblicze.

Młody Leszek Moczulski urodził się w Warszawie, ale po wojnie przeniósł się do Sopotu. W 1946 r. wszedł w skład konspiracji młodzieżowej o nazwie Podziemna Zbrojna Organizacja Antykomunistyczna w Sopocie. Po pewnym czasie jednak wrócił wraz z rodzicami do stolicy i podjął studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim. W 1948 r. zapisał się do komunistycznej PPR, która potem – po fuzji z PPS – zmieniła nazwę na PZPR.

Jak twierdził potem w wywiadach, chciał rozbić partię od środka. Zamierzenie być może było ambitne, ale zanim

eprasa.pl 9265260d78

cokolwiek rozbił, to sama partia zrezygnowała z Moczulskiego, wyrzucając go w 1950 r. Zarzucano mu wspieranie „odchylenia prawicowego" Władysława Gomułki. Po 1958 r. ukończył historię i to była jego wielka namiętność aż do końca życia. Kolejne gazety, w których pisywał, to „Trybuna Ludu", „Życie Warszawy", tygodnik „Wieś", tygodnik „Dookoła Świata" i wreszcie najdłużej – bo w latach 1960–1977 – kierował działem historycznym tygodnika „Stolica".

Moczulski twierdził, że od końca lat 50. tworzył głęboko zakonspirowany nurt niepodległościowy, który miał koordynować pracę tożsamościową młodego pokolenia z przedwojennymi piłsudczykami, na czele z gen. Romanem Abrahamem. Dziś trudno ocenić, na ile była to autentyczna konspiracja, a na ile Moczulski dobudowywał mitologię do zwykłych wizyt i rozmów z osobami pamiętającymi II RP.

W 1972 r. pewien rozgłos zdobyła jego książka „Wojna polska 1939", w której bronił polityki Józefa Becka. Od początku lat 70. Moczulski zwraca na siebie uwagę SB i zaczynają się jego kontakty z oficerami służby bezpieczeństwa. Moczulski twierdzi, że były to rozmowy, które nikomu nie mogły zaszkodzić. Jedynie przedstawianie przedstawicielom władzy jego geopolitycznych poglądów. Faktem pozostaje jednak, że SB uznała, iż są to kontakty z tajnym współpracownikiem. I zakwalifikowała go do statusu TW. Każdy, kto poznał Moczulskiego, wie, że miał on niezwykle rozbudowane przekonanie o swojej przenikliwości politycznej. Nietrudno sobie wyobrazić dziennikarza „Stolicy" z zapałem przedstawiającego esbekom swoje wizje geostrategiczne i esbeków, którzy zapisy z takich opowieści starannie katalogowali jako raporty swojego współpracownika.

Od 1973 r. można mówić o instytucjonalizacji działań podziemnych Moczulskiego. Powstaje tzw. Konwent, do którego Moczulski zaprosił grupę starszych i młodszych piłsudczyków. Z tej inicjatywy wyłonił się w marcu 1977 r. Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela, którego Moczulski został rzecznikiem – wraz z Andrzejem Czumą. ROPCiO był alternatywą dla środowiska lewicy KOR-owskiej. Adam Michnik i Jacek Kuroń przyjęli powstanie Ruchu z dużą irytacją. W środowisku postmarksistowskiej opozycji intelektualnej krążyła wtedy czarna legenda o Moczulskim jako dziennikarzu rzekomo skompromitowanym kontaktami z moczarowcami i bezpieką. Sugerowano, że Moczulski mógł brać udział w antysemickiej kampanii Marca '68, ale żadnych konkretnych przykładów takiej publicystyki nikt nie był w stanie przedstawić.

Obaj opozycjoniści stworzyli początkowo niezwykle ciekawe pismo podziemne „Opinia", które nie kryło, że chce walczyć nie tylko o reformowanie Polski Ludowej, lecz także o odzyskanie polskiej niepodległości. Specjalnością tego sytuującego się po prawej stronie odłamu opozycji było organizowanie pochodów i demonstracji w rocznicę tradycyjnych świąt: 3 maja, 11 listopada czy 1 sierpnia.

Moczulski miał jednak cechy dyktatorskie i szybko wszedł w konflikt z drugim liderem, Andrzejem Czumą. Między dwoma liderami ROPCiO doszło do rywalizacji ambicjonalno-politycznej, która doprowadziła w końcu do usunięcia Moczulskiego z redakcji „Opinii".

WŁASNĄ DROGĄ

Moczulski wyciągnął wnioski. Postanowił stworzyć własne, całkowicie skupione na sobie nowe środowisko wokół pisma „Droga", które z czasem miało wydać manifest „Rewolucja bez rewolucji". Zapowiadał on już wprost walkę z PRL, jako „formą władztwa radzieckiego nad Polską", i stopniową budowę „Trzeciej Rzeczypospolitej" wskutek pokojowych działań, ale o efektach rewolucyjnych.

1 września 1979 r., w 40. rocznicę wybuchu drugiej wojny światowej, Moczulski ogłosił powstanie pierwszej po 32 latach aktywnej partii politycznej. Konfederacja Polski Niepodległej obok Ruchu Młodej Polski wprost stawiała postulat odtworzenia niepodległości Polski. Nic dziwnego, że gdy wybuchły strajki sierpniowe, Moczulski został aresztowany przez SB już 20 sierpnia. W ramach realizacji obietnicy władzy co do zwolnienia wszystkich zatrzymywanych opozycjonistów uwolniono go 1 września 1980 r.

Formalnym powodem zatrzymania go nieco ponad trzy tygodnie później, 23 września 1980 r., był jego ówczesny największy sukces – długi wywiad udzielony tygodnikowi „Der Spiegel", w którym wprost żądał od ówczesnego przywódcy sowieckiego Leonida Breżniewa wycofania wojsk sowieckich z Polski. Prokuratura uznała to za złamanie przepisu zakazującego „godzenia w sojusze z ZSRS" i rozpoczęła formalne śledztwo. To, że w czasie, gdy cała Polska przeżywała festiwal wolności, lider KPN, Leszek Moczulski, był więziony, uczyniło z niego moralnego patrona dla tych, którzy chcieli, aby solidarnościowa rewolucja zamieniła się w walkę o wyjście Polski z Układu Warszawskiego i – szerzej – z obozu państw socjalistycznych.

KPN mimo pobytu swojego przywódcy za kratami wyraźnie rozkwitała. Wielu najbardziej radykalnych robotników zaczęło tworzyć struktury KPN w dużych zakładach pracy, co Moczulski, informowany drogą grypsów o rozwoju sytuacji, uznał za przesłankę, że rewolucja solidarnościowa zamienia się w rewolucję niepodległościową. Krótkie zwolnienie Moczulskiego między 6 czerwca a 9 lipca 1981 r. nie oznaczało jakiejś zmiany polityki władz wobec lidera KPN. Jego ponowne aresztowanie było wręcz, na odwrót, pierwszym symptomem tego, że władze szykują się do zmiażdżenia całego wolnościowego karnawału w Polsce, a nie tylko zwalczania Solidarności. Na tle zmiażdżenia legalnego ruchu Solidarności po 13 grudnia skazanie Moczulskiego 8 października 1982 r. na siedem lat więzienia nie wyróżniało się z ogólnej skali represji, którą stosowała wobec opozycji ekipa Jaruzelskiego.

Lata 80. to kolejne zwolnienia i kolejne areszty Moczulskiego, które wreszcie zakończyły się zgodą władz na wyjazd lidera KPN na Zachód w celu leczenia wyniszczonego długotrwałym więzieniem zdrowia. I wtedy też przyszedł moment największej chwały polskiego historyka, którego 27 kwietnia 1987 r. przyjął w Białym Domu wiceprezydent USA George Bush.

Jednak w sensie politycznym był to też koniec jego wpływu na wielką politykę. Zarówno władze PRL, jak i mocarstwa zachodnie od jesieni 1988 r. zaczęły dbać, aby do rozmów Okrągłego Stołu dopuszczone zostały tylko tzw. nurty odpowiedzialnej opozycji. Odpowiedzią Moczulskiego, który w tym czasie wrócił do kraju, było pryncypialne odrzucenie rozmów Okrągłego Stołu, do których zresztą nikt by go nie zapraszał.

OD KONTESTACJI DO KOOPTACJI

Sam dobrze pamiętam start KPN w wyborach kontraktowych, w których wystawił swoich kandydatów w więk-

eprasa.pl 9265260d78

szości okręgów. Moczulski korzystał wtedy z wyłonienia się z całej generacji młodszych działaczy, takich jak Krzysztof Król z Warszawy, Dariusz Wójcik z Lublina czy Adam Słomka z Katowic, dla których Moczulski był bohaterem, na którego kulcie wychowali się w okresie głębokiej konspiry. To oni chłonęli jego tasiemcowe wykłady o rychłym rozpadzie ZSRS i przejmowali od niego też sceptycyzm wobec polityki Wałęsy i Komitetu Obywatelskiego „Solidarność", który coraz głębiej wchodził w negocjacje z PZPR. Bezpieka rozbijała siłowo wiece KPN, czego z wiecami Komitetu Obywatelskiego „Solidarność" już nie robiła. KPN znów na krótko zdobyła rząd dusz w obozie przeciwników Okrągłego Stołu – w lipcu 1989 r., kiedy zorganizował protesty pod Sejmem przeciw wyborowi gen. Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta.

Zimnym prysznicem dla konfederatów w 1990 r. był start Moczulskiego w pierwszych demokratycznych wyborach prezydenckich. Lider KPN był przekonany, że zdobędzie głosy wszystkich tych, którzy byli rozczarowani Magdalenką i rozmowami Okrągłego Stołu. W swojej kampanii brał też w obronę wszystkich tych, których dotykały reformy Leszka Balcerowicza – robotników zlikwidowanych wielkich PRL-owskich fabryk czy ludzi na wsiach zlikwidowanych PGR-ów. Tymczasem niezadowolonych sprzątnął mu sprzed nosa nieoczekiwany beneficjent pierwszej tury, przybysz z Peru – Stanisław Tymiński. Dla działaczy KPN był to prawdziwy szok. Moczulski zajął ostatnie szóste miejsce, uzyskując wynik 2,5 proc.

Konfederacja po raz pierwszy wprowadziła swoich kandydatów do Sejmu w wyborach w październiku 1991 r., zdobywając 7,5 proc. głosów. Nie weszli jednak do rządu Jana Olszewskiego. Moczulski zaczął wtedy lansować teorię „czekania na władzę". W jej myśl po kompromitacji komunistów należało czekać na polityczne zużycie się elit postsolidarnościowych. Jako antidotum na rosnący chaos władzę miała zdobyć Konfederacja. Była to naiwna kalkulacja.

W słynną noc teczek, 4 czerwca 1982 r., nazwisko Moczulskiego znalazło się na liście ministra Antoniego Macierewicza. Ówczesny szef MSW nie mógł nie umieścić go na liście, gdyż oskarżono by go o krycie polityków z prawej strony, kosztem polityków Unii Demokratycznej. Macierewicz ogłosił, że ma powstać specjalna komisja pod przewodnictwem sędziego Adama Strzembosza, przed którą miały być wyjaśniane sporne przypadki – m.in. takie jak lidera KPN.

Moczulski zareagował na ujawnienie listy jak na formalny frontalny atak na swoją partię. Był jednym z bardziej aktywnych uczestników narady w sejmowym w gabinecie Wałęsy, gdzie przeforsowano Waldemara Pawlaka na premiera i uradzono natychmiastowe zajęcie MSW w celu zatrzymania procesu lustracji. Ten polityczny udział KPN w obalaniu rządu Olszewskiego z perspektywy czasu można uznać za początek politycznego końca Konfederacji. Co prawda, KPN udało się dostać jeszcze do Sejmu II kadencji w 1993 r., jako jednemu z dwóch ugrupowań prawicowych (obok prowałęsowskiego BBWR), ale partia zdobyła tym razem tylko 22 mandaty. Moczulski szybko stanął wobec wewnętrznych frond. W 1994 r. odeszła grupa działaczy frakcji reformatorskiej KPN, która miała dosyć zamordyzmu Moczulskiego w kierowaniu partią. Kryzys pogłębił się w latach 1996–1997, kiedy wbrew wezwaniom Leszka Moczulskiego grupa ważnych działaczy jego partii z młodego pokolenia wystartowała z list Akcji Wyborczej „Solidarność".

W wyborach parlamentarnych w 2001 r. działacze KPN startujący z list AWS zdobyli jedynie 10 294 głosy. Dwa lata później Sąd Okręgowy w Warszawie wykreślił KPN z listy partii politycznych.

Sam Leszek Moczulski skupił się w tych latach na sądowej walce o uznanie go za osobę, która nie była tajnym współpracownikiem SB. W tej samotnej walce poparło go wielu weteranów KPN, którzy nie chcieli wdawać się w debaty nad dyskusyjnymi aspektami kontaktów Moczulskiego z bezpieką w latach 70. Przegrał jednak tę batalię.

Bardzo często ta osobista walka o obronę dobrego imienia Moczulskiego łączyła się z głęboką niechęcią do Jarosława Kaczyńskiego jako polityka, „który ukradł prawicę".

Sam Moczulski z czasem zaczął coraz życzliwiej patrzeć na obóz III RP. W 2005 r. Aleksander Kwaśniewski zaprosił byłego lidera KPN na uroczystość z okazji ogłoszenia akcesji Polski do Unii Europejskiej. W 2014 r. Moczulski otwierał obok Aleksandra Halla i prezydenta Bronisława Komorowskiego marsz „Razem dla niepodległości", mający uczcić święto 11 listopada. Po wyborach 15 października 2023 r. nowy szef Urzędu do spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych zaczął otwarcie wskazywać na wprowadzenie zmian prawnych pozwalających uznać takie osoby jak Lech Wałęsa lub Leszek Moczulski za osoby represjonowane, mimo dokumentów pokazujących ich współpracę z SB bądź – jak w wypadku Moczulskiego – prawomocnych wyroków sądowych uznających taką współpracę.

NIEŁATWA OCENA

Z perspektywy czasu można uznać, że najdonioślejszym okresem w życiu Moczulskiego były lata 1977–1979, kiedy to odważnie sformułował on hasło walki o odzyskanie niepodległości przez Polskę. Było to rzucenie wyzwania lewicy KOR-owskiej, która w najbardziej śmiałych rozważaniach za limit możliwości uważała proces uzyskania pewnego marginesu suwerenności przez Polskę na wzór ówczesnej Finlandii. Faktem pozostaje też, że między 1980 a 1986 r. Leszek Moczulski w większości przebywał w więzieniu. Paradoksalnie jednak wejście do poważnej polityki po 1991 r. okazało się dla lidera KPN zbyt dużym wyzwaniem. Przeceniał swoje możliwości, przesadzał z jednoosobowym trybem rządów partią i na zasadzie dość taniego makiawelizmu wierzył, że służąc prezydentowi Lechowi Wałęsie w fazie, gdy jego prezydentura już wyraźnie stawała się bezideowym trwaniem u władzy, uzyska w ten sposób szanse na stanięcie na czele całej prawicy.

Rachuby te okazały się dość naiwne, ale prawdziwą katastrofą dla politycznych planów KPN stało się odwrócenie od tej partii większości jej byłych wyborców. Moczulski dokonał wtedy politycznego zwrotu i przekleił się do szeroko rozumianego establishmentu III RP. To dzięki temu politycznemu zwrotowi po jego niedawnej śmierci z uznaniem wspominają go tacy politycy jak Radosław Sikorski czy Rafał Trzaskowski. Ale oprócz nich ciepłe słowa o autorze „Wojny polskiej 1939" pisali ci wszyscy, którzy otarli się o żywą i dynamiczną KPN z lat 1979–1991.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9265260d78

Budda na zakręcie

Łukasz Zboralski

Nagrywał filmiki o jeździe autami wartymi miliony. Śledziły go miliony w sieci. Teraz prokuratura zarzuca mu, że był szefem grupy piorącej brudne miliony. Czy to koniec youtubera Buddy?

Kamil L., który na YouTube miał pseudonim Budda, w kilka lat wyrósł na najpotężniejszego polskiego twórcę w tym serwisie. Jego kanał subskrybowało aż 2,5 mln osób.

Skąd wziął się ten fenomen? To chyba – jak przy wielu innych influencerach – zadanie do rozpoznania przez psychologów i socjologów. Bo Budda w internetowych filmikach w rzeczywistości nie pokazywał niczego nadzwyczajnego. Prezentował po prostu szalone przejażdżki drogimi samochodami. Miliony, zapewne głównie nastolatków, chciały to jednak oglądać. Budda pozwalał wierzyć, że oni są tego wszystkiego częścią, że to wszystko współtworzą i że mogą w życiu osiągnąć dokładnie to samo.

Pomagał w tym obraz, który sam Kamil L. wykreował. Prześledziłem media, które od lat o nim wspominały. We wszystkich historia Buddy była ta sama. Multimilioner, który wcześniej był biednym chłopakiem z Krakowa. Jego ojciec miał być alkoholikiem i zapić się w końcu na śmierć na jednej z ławek w parku. Zanim dokonał żywota, miał narazić małego Kamila na oglądanie libacji, śmierci kobiety, która z pianą na ustach leżała nieżywa, czy skoku jakiejś osoby przez okno. A i to nie koniec trudnej drogi. Po ukończeniu 18. roku życia Kamil miał zostać wyrzucony przez matkę z mieszkania i zacząć radzić sobie sam.

Jest tylko jeden problem. Żaden dziennikarz, który pisał o jego trudnym dzieciństwie, nigdy nie zweryfikował tych opowieści. Wszyscy powtarzali więc wyłącznie opowieść samego Buddy. Tę historię powtarzał w wywiadach, a także w filmie o nim samym, który w tym roku wszedł do kin. Dokument ten przycią-

FOT. BUDDA. TV/YOUTUBE

eprasa.pl 9265260d78

gnął ponad 350 tys. widzów przed duży ekran, co – jak podkreślały serwisy filmowe – „jest wynikiem nieosiągniętym do tej pory przez żadną inną polską produkcję dokumentalną".

Jest więc Budda legendą – którą sam wykreował w mediach – a także pewnym fenomenem. Przed pisaniem tego tekstu zmuszony byłem bowiem obejrzeć film „Budda. Dzieciak '98". Jest to niesłychany gniot. Właściwie przez ponad godzinę youtuber i jego ekipa opowiadają o tym, że nagrywają jeżdżące samochody. Kręcenie filmików o aucie kręcącym się w kółko na placu w ich opowieściach urasta do rangi sztuki, ale wyraźnie widać, że nic więcej za tym się nie kryje, że to jest monstrualna pustka.

Jak więc taki gniot mógł zapełnić kinowe sale? Odpowiedź na to pytanie zawarta jest już w zasadzie na początku tej produkcji. Kamil L. siedzi w pustym kinie w Warszawskich Złotych Tarasach, w smartfonie zamieszcza rolkę na Instagramie, w której zaprasza na seans w jego obecności. Jest limit – wejdzie tylko 777 osób. Choć jest to sobotni poranek – wówczas w sieci ludzie mniej są aktywni – to w godzinę przed Złotymi Tarasami ustawia się gigantyczna kolejka.

WYGRAJ SOBIE AUTO

Budda do swojego wizerunku dodawał też charytatywny rys. A to zrobił skrzynię ze słodyczami, dołożył do niej 100 tys. zł i podrzucił pod drzwi domu dziecka (potem się przyznał publicznie, że to zrobił właśnie on sam, i oczywiście pokazał filmik z tej akcji – miał ponad 3 mln odsłon); a to w przebraniu staruszka wrzucił 100 tys. zł do puszki Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy (oczywiście nagrywając to i publikując w sieci); a to pozwolił ludziom tankować na jego koszt na stacji, przeznaczywszy na to 60 tys. zł (oczywiście też to nagrał i pokazał). Na koniec ruszył na południe kraju i podarował kilka szkieletowych domów powodzianom. No i jak można było go nie kochać?

W tym samym nurcie były osadzone też loterie, które Budda zaczął organizować – z losowaniami na żywo podczas internetowej transmisji. „Polski youtuber rozdaje samochody. Do wzięcia siedem aut!" – emocjonował się taką akcją w ubiegłym roku portal Interia Motoryzacja. Czy naprawdę je „rozdawał"? Oczywiście, że nie. Żeby móc wylosować samochód, trzeba było kupić e-book od Buddy. W ostatniej loterii jeden e-book, dzięki któremu miało się jeden los w loterii, kosztował 39 zł. Za elektroniczną książkę w cenie 199 zł miało się już losów 10.

RYSY NA WIZERUNKU

Od pewnego czasu Budda zaczął mieć jednak wizerunkowe kłopoty. Kilku internautów, m.in. z serwisu Wykop, zaczęło badać jego działania. Pokazali m.in., że wiele samochodów, które prezentował na kanale Kamil L. i wobec których widzowie mogli mieć wrażenie, że są jego własnością, w rzeczywistości do niego nie należało.

Wielu zaczęło wówczas wątpić w amerykański sen biednego polskiego chłopaka – pytali, czy rzeczywiście, wyjeżdżając do Anglii na zmywak, mógł wrócić z fortuną pozwalającą mu na otwarcie wypożyczalni z luksusowymi samochodami.

Wiadomo też, że brał udział w interesach firmy związanej z odnawialnymi źródłami energii. Youtuberzy dowodzili, że przedsięwzięcie to przyniosło milionowe straty. Budda w jednym z filmów sam przyznał, że musiał spłacać 2,2 mln zł.

Gdy wokół jego biznesów i historii narosło tyle pytań, Budda zaczął się żalić na hejt. Twierdził też, że jest szantażowany (sprawę zgłosił organom ścigania), i groził pozwami hejterom. Ostatecznie – mimo tak wspaniałej kariery – nagle zapowiedział jej zakończenie. Finałem miała być ostatnia loteria.

URZĄD SIĘ ZGADZA, PAŃSTWO ZATRZYMUJE

14 października uzbrojeni funkcjonariusze CBŚP we wspólnej akcji z Prokuraturą Krajową i Krajową Administracją Skarbową wkroczyli do hotelu w stolicy, w którym przebywał Kamil L. Został zatrzymany. Dołączyli do niego jego życiowa partnerka i osiem innych osób. Służby zabezpieczyły w sumie 51 aut wartych blisko 40 mln zł oraz inne mienie i pieniądze o łącznej wartości ok. 90 mln zł.

Prokuratura Buddzie i dziewięciu innym osobom przedstawiła zarzuty „dotyczące kierowania i udziału w zorganizowanej grupie przestępczej, której celem było popełnienie przestępstw karnoskarbowych związanych z organizowaniem uczestnictwa w grach losowych, wystawianie nierzetelnych, poświadczających nieprawdę faktur VAT oraz pranie brudnych pieniędzy". W dodatku sam Kamil L. oraz Tomasz C. usłyszeli też zarzut kierowania grupą przestępczą. Zarzuty dotyczą „działalności grupy" od października 2021 r. do października 2024 r.

Czy zatrzymanie ma związek z interwencją posłów? Nie wiadomo. Wiadomo jednak, że 24 września poseł Michał Woś interpelował do ministra finansów „w sprawie loterii omijających prawo". W swojej interpelacji wskazywał: „Mechanizm działania takich loterii opiera się na sprzedaży produktów, które w rzeczywistości nie mają żadnej rynkowej wartości, np. e-booków, do których dołączane są losy uprawniające do udziału w loterii. Wszystko to odbywa się zgodnie z regulacjami dotyczącymi loterii promocyjnych, co pozwala na omijanie monopolu państwa na organizowanie loterii pieniężnych. Przykładem takiej loterii jest akcja promowana przez osobę znaną na YouTube pod pseudonimem Budda, a przykład obecnie prowadzonej na tym kanale loterii nosi nazwę »7 AUT 2 i DOM X BUDDA«".

Youtuber oraz pozostali zatrzymani nie przyznali się do winy po postawieniu im zarzutów. Sąd zgodził się na tymczasowy areszt na trzy miesiące dla Buddy i trzech innych osób.

Radca prawny Mateusz Mickiewicz, który reprezentuje Kamila. L., powiedział mediom, że jego klient nie przyznaje się do winy i że dysponuje obszernym materiałem dowodowym, który to potwierdza.

Prawniczka nadzorująca loterie Buddy – Beata Wentura-Dudek – wskazała, że była na nią formalna zgoda. „Na loterię »7 AUT 2 i DOM X BUDDA« zgodę wydała Izba Administracji Skarbowej w Krakowie. Organizator zgodnie z przepisami uregulował opłatę do Urzędu Skarbowego w Nowym Targu za wydane zezwolenie, opłata w wysokości 10 proc. łącznej wartości puli nagród" – oświadczyła w sieci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9265260d78

Piotr Gociek

Literacka Nagroda Nobla dla Han Kang to ukoronowanie trwającej od trzech dekad intensywnej promocji koreańskiej kultury w świecie

Opisując imponujące zmiany gospodarcze w Korei Południowej, Michael J. Seth doceniał wielki wysiłek włożony w cyfryzację kraju, eksport technologii, osiągniecia przemysłu, ale jednocześnie zastanawiał się nad tym, na ile koreański cud jest sukcesem imitacji. „Żaden koreański naukowiec nie otrzymał dotąd Nagrody Nobla" – wskazywał i martwił się, że artyści, architekci i pisarze – poza kilkoma wyjątkami – pozostają nieznani w świecie. Seth wydał swoją „A History of Korea. From Antiquity to the Present" w 2010 r. W kwestii Nobli dla naukowców nic się nie zmieniło – ale od niedawna Korea Południowa może chwalić się pierwszym Noblem w dziedzinie literatury, bo tegoroczną laureatką została pisarka Han Kang. (Jest to jednocześnie drugi Nobel w historii kraju, bo w roku 2000 Pokojową Nagrodę Nobla otrzymał prezydent Kim Dae-jung).

Nagroda Nobla w dziedzinie literatury dla pisarki z Korei Południowej smakować musi wyjątkowo, bo trudno nie postrzegać jej jako wisienki na torcie, jako wspaniałego ukoronowania trwającej od trzech dekad intensywnej promocji koreańskiej kultury w świecie. Koreańska fala zalała cały świat: K-pop, K-drama, kino (Oscar dla „Parasite"), streaming (światowy fenomen popularności „Squid Game"), moda na kosmetyki, moda na kuchnię. Wszystko to wydarzyło się w ciągu ostatnich 30 lat.

Jednak nic nie dzieje się bez powodu – ta moda została wykreowana, rozpropagowana i wreszcie – wykorzystana do budowy wizerunku kraju. Przemysł rozrywkowy napędza turystykę – nie bez powodu w 1998 r. Ministerstwo Kultury zamieniło się w Ministerstwo Kultury i Turystyki. „Organizacja zaplecza turystyki kulturalnej obejmuje linie lotnicze, agencje turystyczne, hotele, przedsiębiorstwa transportowe, zwiedzane obiekty, specjalne imprezy itp. Cała ta infrastruktura przynosi wymierny zysk gospodarce narodowej. Szacuje się, że przemysł kulturalny zapewnia ponad 500 tys. miejsc pracy. Liczba ta stale rośnie" – pisała Anna Diniejko w roku 2013 („Gdańskie Studia Azji Wschodniej" 2013, nr 3).

KOREAŃSKA FALA

Według sondażu z 2023 r. przeprowadzonego w 26 krajach świata 43 proc. respondentów wskazuje, że koreańskie filmy są bardzo popularne, 28,8 proc. – że raczej popularne (dane za Statista.com). Korea Południowa podbiła Netflix: w roku 2021 „w ciągu niecałego miesiąca »Squid Game« obejrzało ponad 111 mln użytkowników na całym świecie i dzięki temu serial uplasował się na pierwszym miejscu na liście najpopularniejszych produkcji platformy w ponad 90 państwach świata. Popularność »Squid Game« dotarła nawet do państw, w któ-

eprasa.pl 9265260d78

Han Kang (na zdjęciu) to jedna z niewielu laureatek Literackiej Nagrody Nobla, której książki były popularne na świecie jeszcze przed ogłoszeniem werdyktu Szwedzkiej Akademii Nauk FOT. G. KALLESTAD/NTB SCANPIX/PAP

Świat po koreańsku

Według 43 proc. pytanych koreańskie filmy są bardzo popularne, a zdaniem 28,8 proc. raczej popularne

rych Netflix oficjalnie nie jest dostępny, czyli do Korei Północnej i Chin. Warto odnotować, że w pierwszym z wymienionych krajów popularność tej produkcji nie zmalała pomimo groźby kary śmierci" – opisują badacze z Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, Adam Jankowiak i Magdalena Michalak („Dlaczego wszyscy gramy w czerwone światło–zielone światło? Analiza fenomenu »Squid Game«", „Panopticum" nr 28).

Jak oni to robią? Skąd się wzięła koreańska fala? Pisano na ten temat wiele w ostatnim czasie. Ale warto postawić też kolejne pytanie: Co takiego mają do powiedzenia światu koreańscy filmowcy – a biorąc pod uwagę Nobla dla Han Kang i rosnącą liczbę przekładów książek, także pisarze – że świat chce ich słuchać tak chętnie? Promocja to bardzo ważna rzecz, ale kiedy promujesz produkt słaby lub rozmijający się z oczekiwaniami odbiorców, bardzo szybko zostajesz zdemaskowany. Zatem coś w tym wszystkim musi być. Ale co?

Po kolei. Zacznijmy od polityki. Gdy w 2020 r. pisałem o sukcesie oscarowym filmu „Parasite" („Do Rzeczy", sierpień 2020 r.) i koreańskiej polityce kulturalnej, cytowałem książkę Euny Hong „Cool po koreańsku": „Jeśli »Park Jurajski« potrafi w ciągu roku przynieść tyle pieniędzy, co sprzedaż 1,5 mln samochodów marki Hyundai, to Korea Południowa też powinna produkować kinowe hity". Była to rekomendacja koreańskiego Prezydenckiego Komitetu Doradczego do spraw Nauki i Technologii. Potraktowano ją poważnie, w kolejnych latach zbudowano potężną machinę produkcyjno-promocyjną, czyniąc z Korei Południowej potęgę w dziedzinie kultury. Po decyzjach politycznych szybko przyszły odpowiednie pieniądze.

Do polityki i pieniędzy dołożono element prawny – stosowne przepisy nakazywały koreańskim kanałom telewizyjnym i sieciom kinowym pokazywanie przede wszystkim rodzimej produkcji. Nie szczędzono pieniędzy na koprodukcje międzynarodowe. Granty na debiuty, pieniądze na produkcję, osobne dotacje na promocję międzynarodową – wsparcie państwowe odbywa się na wszystkich szczeblach. Co ciekawe, źródłem pieniędzy były nie tylko państwowe programy i dotacje, lecz także finansowe zaangażowanie czeboli, potężnych koncernów. Miky Lee, dziedziczka imperium Samsunga, stoi za potęgą CJ Entertainment produkującej filmy. Także Miky Lee sfinansowała globalną promocję K-pop. Nie jest jedyna. Można by rzec, że w harmonii z polityką rządu działają biznesmeni, którzy uważają, że skoro są Koreańczykami, to mają obowiązki koreańskie.

Światowy sukces „Squid Game" w Netflixie oraz szybkie pojawienie się kolejnych produkcji w streamingu były już efektem, a nie przyczyną zaintere-

eprasa.pl 9265260d78

sowania popkulturą z Korei Południowej. Miarą sukcesu niech będzie to, że w pewnym momencie niektórzy chińscy decydenci zaczęli domagać się ograniczenia emisji koreańskich seriali w Chinach, bo wypierały one produkcję rodzimą. Czy jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, że podobne żądania formułuje rosyjski albo niemiecki polityk, zmartwiony tym, że w Moskwie albo Berlinie przemysł telewizyjny podupada, gdyż wszyscy na potęgę oglądają polskie telenowele? Zresztą to właśnie Chińczycy ukuli pojęcie „koreańskiej fali", opisując pod koniec lat 90. inwazję kulturalną pogardzanego sąsiada. Przyjęło się. Dziś na temat koreańskiej fali powstają opracowania naukowe i popularne książki. Podkreślę jedną rzecz, bo chyba nie wybrzmiała ona odpowiednio mocno: choć koreańscy twórcy fetowani są na ambitnych festiwalach filmowych, trzon koreańskiej fali tworzy popkultura. Nie tylko rozrywka telewizyjna i filmowa oraz muzyczna, lecz także rosnąca w siłę branża gier wideo i e-gaming. Stawiający na innowację Koreańczycy trafili też w doskonały moment, kiedy wielkie przemiany technologiczne umożliwiły promocję w skali globalnej: doskonale wykorzystali do tego Internet i wzrost potęgi mediów społecznościowych. To dzięki nim już nie tylko rządowe agencje i prywatni producenci, lecz także fani stali się forpocztą koreańskiej fali.

NIE TYLKO POPKULTURA

Ta fala zaczęła w pewnym momencie wynosić w świat także pisarzy, ale opisując ten przypadek, trzeba zwrócić uwagę na trzy inne czynniki, które umożliwiły Korei Południowej szybką ekspansję kulturalną. Po pierwsze, oczywiście zainteresowanie literaturą koreańską także po części wyrosło z sukcesu filmów i seriali. W myśl zasady: skoro wszystko inne z Korei cieszy się tak wielką popularnością, to i na książki trzeba zwrócić uwagę. Te rzeczy zaczynają się nawzajem napędzać – nikogo dziś nie dziwi, że jednym z hitów Apple TV jest serial „Pachinko" oparty na powieści Min Jin Lee. Będzie tego więcej, nie mam wątpliwości.

Po drugie, Korea Południowa jako sojusznik USA, państwo frontowe w zimnej wojnie, mogło liczyć na specjalne traktowanie ze strony swojego sojusznika. Żadne inne państwo oprócz Izraela i Wietnamu Południowego (dopóty, dopóki ten ostatni istniał) nie otrzymało po 1945 r. tak wielkiej pomocy finansowej ze strony Ameryki jak Korea Południowa. Od lat 60. nastąpiło też wielkie otwarcie na eksport koreańskich produktów do USA. Ameryka i Wielka Brytania – krótko mówiąc, język angielski – stały się oknem na świat dla koreańskich pisarzy. Według Sarah Shafii, która na stronie internetowej Booker Prizes zamieściła ciekawy tekst „Why fiction from Korea and Japan has become so popular with English-language readers", twórcom literatury koreańskiej przydarzyło się to, co wcześniej było udziałem pisarzy japońskich. Tyle że kilka dekad później. I tak właśnie jest – Japończycy doczekali się swojego laureata Literackiej Nagrody Nobla już w roku 1968 (Yasunari Kawabata), a zainteresowanie japońską literaturą i kulturą rozpoczęło się dużo wcześniej, od momentu, kiedy słynna praca antropolog Ruth Benedict „Chryzantema i miecz" (1946) stała się nie tylko podręcznikiem dla oficerów US Army, lecz także bestsellerem wśród zwykłych czytelników. Zauważmy, że także w przypadku Japonii kino rozbudzało apetyt, a korzystali na tym potem także twórcy literatury. A o modzie na japońską popkulturę pisało się w latach 80. i 90. równie często, jak dziś o światowym efekcie koreańskiej fali.

W ostatnich latach książki koreańskich autorów seryjnie otrzymują nominacje do Man Booker International Prize

Korea Południowa rozpoczęła swój marsz później, ale maszeruje szybciej. W ostatnich latach książki koreańskich autorów seryjnie trafiają na listy nominacji do nagrody Man Booker International Prize. Rok 2022 – Bora Chung, „Przeklęty królik". Rok 2023 – Cheon Myeong-kwan, „Wieloryb". Rok 2024 – Hwang Sok-yong, „Mater 2–10" (ta ostatnia jeszcze nie ukazała się po polsku). Co ciekawe, to właśnie Hwang Sok-yong, znany w Polsce z książek „Chwasty", „O zmierzchu", „Znajomy świat" i „Księżniczka Bari", uważany był w ostatnich latach za najpoważniejszego koreańskiego kandydata do literackiego Nobla. Ostatecznie nagroda trafiła do Han Kang, która International Booker Prize zdobyła za „Wegetariankę" w roku 2016. To dopiero początek. Myślę, że Korea będzie czekała na kolejnego pisarza noblistę krócej niż Japonia – między wyróżnieniem dla Yasunari Kawabaty a Noblem dla Kenzaburō Ōe (1994) minęło 26 lat.

Do tego wszystkiego dodajmy trzeci element, który sprawia, że przed koreańską literaturą drzwi otwierają się coraz szerzej – to prężna diaspora. Wspomniana Min Jin Lee, autorka powieści „Pachinko", urodziła się w Seulu, ale jej rodzice wyemigrowali do USA, gdy miała siedem lat. Lee Isaac Chung, reżyser świetnego filmu „Minari" (2020) – sześć nominacji do Oscara – urodził się co prawda w Denver, ale jego rodzina przybyła do USA niedługo przed jego narodzinami. Oboje są przykładem twórców, w których dorobku doświadczenie koreańskie jest kluczowe. Jednocześnie są pełnoprawnymi członkami wielonurtowej kultury amerykańskiej i ambasadorami kultury koreańskiej. Takich postaci jest wiele, ich dorobek i sukcesy sprawiają, że i na innych twórców z Korei patrzy się w świecie z wielkim zaciekawieniem.

BEZCENNE DZIEDZICTWO

Skoro już wiemy „jak", to zastanówmy się „co" – wróćmy zatem do pytania, co właściwie światu mają do powiedzenia koreańscy pisarze. Tu znów dygresja historyczno-polityczna, bo bez tego nie zrozumiemy tamtejszej specyfiki. Cofnąć się trzeba aż do czasów prezydenta Park Chung Hee, który objął władzę w 1961 r. w wyniku wojskowego zamachu stanu, a potem trzykrotnie wybierany był na prezydenta kraju. Park Chung Hee był ojcem szybkiego rozwoju ekonomicznego Korei. Co ciekawe, początkowo uważał, że wielka narodowa zmiana na lepsze musi dokonać się przez odrzucenie tego, co tradycyjne, tego, co koreańskie.

W 1963 r., w książce „Droga naszego narodu", wyliczał cechy „tkwiącego w nędzy narodu koreańskiego". A były to „niskie morale, indolencja, marazm, brak przedsiębiorczości, pociąg do łatwych pieniędzy, złośliwy egoizm, brak racjo-

eprasa.pl 9265260d78

nalnej oceny sytuacji" [cytuję za książką Marty Kightley „Polityka i reformy Park Chung Hee jako źródło gospodarczego skoku Korei Południowej" – przyp. P.G.]. Pod koniec życia zmienił zdanie. Jak pisze Marty Kightley, w 1979 r. prezydent przekonywał, że „stworzenie nowej kultury narodowej musi iść w parze z podtrzymywaniem wartości historycznych. Jest to bowiem bezcenne dziedzictwo dla tworzenia dobrobytu narodowego. Odrodzeniu narodowemu miały służyć nowa polityka edukacyjna oraz odbudowa ważnych historycznie budynków, odtwarzanie mitów i symboli narodowych, przywracanie pamięci o bohaterach".

Park Chung Hee – generał, prezydent, polityk tłumiący brutalnie aktywność opozycji – pozostaje postacią kontrowersyjną, ale dał swemu krajowi impuls rozwojowy, dał fundamenty, na których od lat 90. jego następcy budowali koreański cud gospodarczy. A potem ofensywę kulturalną. Czy oznacza to, że promowana w ramach koreańskiej fali kultura to dzieło prorządowych lizusów zajmujących się wychwalaniem swych dobroczyńców? Otóż nie. Bardzo silny jest w popkulturze Korei antyamerykanizm – co nie przeszkadza temu, że USA pozostają sojusznikiem i gwarantem wolności kraju. Bardzo ostro debatuje się na temat polityki wobec Korei Północnej, wytykając władzy błędy dawne i obecne. Ale nie oznacza to, że mieszkańcy Seulu chcieliby żyć pod jarzmem Pjongjangu.

Rośnie rozwarstwienie społeczne, z czego koreańscy filmowcy szydzą bezlitośnie (wspomnijcie i „Parasite", i „Squid Game"). Fatalne skutki modernizacji dla więzi społecznych i tradycji to jeden z wielkich tematów koreańskiej literatury. Rozpad rodziny i los ludzi zadłużonych po uszy w czasach turbokapitalizmu – te tematy bardzo mocno rezonują wśród obiorców na całym świecie, od Filipin do Europy. A jednocześnie bardzo silny jest też nurt literatury historycznej, rozważań nad koreańskim losem z czasów japońskiej okupacji, kiedy to w szkołach dzieci uczono po japońsku i samo pisanie w języku koreańskim było aktem buntu. Bić się czy nie bić? – zastanawiali się w tamtej epoce koreańscy twórcy. Jacy wyszliśmy z tej próby? Jacy wyjdziemy ze zderzenia z nowoczesnością – zastanawiają się dziś. Czy nasza tradycja to obciążenie czy zaleta? Bardzo polskie to dylematy, nieprawdaż?

Wrócę na koniec do książki Michaela J. Setha „A History of Korea. From Antiquity to the Present". Poświęcił w niej oczywiście sporo miejsca kwestiom kultury i walce Koreańczyków o zachowanie swojej wyjątkowości. „Koreańczycy mogą pomóc w znalezieniu odpowiedzi na pytanie zadawane przez historyków w kwestii, która bardzo niepokoi wielu mieszkańców świata poza granicami Zachodu: Czy modernizacja oznacza westernizację? Koreańczycy stworzyli współczesne społeczeństwo, nie tracąc więzi ze swoim kulturowym dziedzictwem i nie zamieniając się w obywateli Zachodu". Być może to jest – poza wszystkimi zabiegami polityczno-finansowo-promocyjnymi – główna przyczyna, dla której koreańska kultura jest tak ciekawa i ważna zarówno dla Koreańczyków, jak i mieszkańców innych krajów.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl 9265260d78

Z Małgorzatą Czyńską, dziennikarką, pisarką i historyk sztuki
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Z platerami do sławy

Przedmioty zaprojektowane przez Julię Keilową FOT. NAC

TOMASZ Z. ZAPERT: Dlaczego Julia Keilowa, której biografię zrekonstruowała pani w książce pt. „Metaloplastyczka na nowe czasy", zniknęła w pomroce dziejów?

MAŁGORZATA CZYŃSKA: Podzieliła los wielu artystek i projektantek, które zniknęły na długo. Herstoria to stosunkowo młody nurt w historii sztuki oraz biografistyce. W przypadku Keilowej po drugiej wojnie światowej okolicznością niesprzyjającą było jej żydowskie pochodzenie, a zwłaszcza to, że jej dzieła zdobiły salony Drugiej Rzeczypospolitej. Dopiero na początku XXI stulecia – na fali mody na polskie art déco – zaczęliśmy powoli odkrywać prace plastyczki.

Z jakiego środowiska pochodziła? Co wiemy o jej młodości?

Julia Ringlówna wywodziła się z zamożnej, zasymilowanej rodziny żydowskiej. Z dużą dozą prawdopodobieństwa można uznać, że jej członkowie należeli do haskali, nurtu żydowskiego oświecenia stojącego w opozycji do ortodoksji. Zarówno po stronie ojca, przedsiębiorcy budowlanego i naftowego, jak i matki – z domu Wallerstein – miała wielu światłych przodków: uczonych, działaczy społecznych, a także ludzi interesu czy dzierżawców ziemskich. Szczególnie wyróżnił się brat stryjeczny Julii, Michał Ringel, adwokat i publicysta, czołowy działacz syjonistyczny w Galicji, uczestnik kilku Światowych Kongresów Syjonistycznych. W 1922 r. wybrano go do Senatu II RP. Julia dorastała w domu szeroko otwartym na nowoczesność i pełnym książek, w którym kładziono nacisk na emancypację dziewcząt.

Sztuka plastyczna nie była jej pierwszym wyborem?

Maturę uzyskała w 1920 r. i wzorem starszej siostry, Celiny, wybrała krystalografię – dziedzinę zajmującą się badaniem kryształów oraz struktur im pokrewnych – na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. O ile jednak Celina Ringel otrzymała doktorat z chemii, o tyle Julia nie odnalazła się na tym kierunku studiów i wkrótce go porzuciła, zarazem rozpoczynając naukę rzeźby w Państwowej Szkole Przemysłowej. A od roku 1925 kontynuowała edukację rzeźbiarską w warszawskiej Szkole Sztuk Pięknych.

Jak zdołała pogodzić obowiązki matki, żony i studentki?

Zyskała wsparcie rodziców, a potem również małżonka. Ślub Julii Ringel i Ignacego Keila odbył się w 1922 r., kilkanaście miesięcy później przyszedł na świat ich jedyny syn, Marceli. Po jego narodzinach kontynuowała studia. Macierzyństwo nie przeszkodziło jej w działalności artystycznej i rozwoju. Ignacy był prawnikiem i wielkim bibliofilem. Porzucił adwokaturę dla pracy w renomowanych domach wydawniczych. Stworzyli związek rzadko widywany w tym środowisku. Nawet ich przyjaciele szeroko komentowali to, że u Keilów to mąż prowadzi dom i nawet gotuje, a żona… rzeźbi.

Miała jakieś wzorce artystyczne?

Na pewno istotni byli jej profesorowie – Tadeusz Breyer czy Karol Stryjeński. Równie ważne, a nawet ważniejsze mogły być przykłady ze świata. Keilowa dużo podróżowała. Podczas studiów wyjeżdżała na długie, nawet półroczne pobyty do Austrii, Niemiec, Włoch i Francji. Zapewne był to rodzaj stażu, praktyk, może stypendiów artystycznych. Doskonale orientowała się w światowych trendach wzornictwa i nurtach sztuki współczesnej. Miała okazję przyglądać się z bliska pracy innych metaloplastyczek – jak choćby Emmy Roth w Niemczech – oraz ich działaniom, używając dzisiejszej terminologii, marketingowym. Roth miała w Berlinie pracownię i showroom, wykonywała zlecenia dla przemysłu, tworzyła unikaty. Julia Keilowa funkcjonowała podobnie. Z pełną świadomością budowała własną markę.

Stryj, Lwów, Wiedeń, Chorzów, Warszawa – z czego wynikały jej tak częste przeprowadzki?

Urodziła się w Stryju w roku 1902. Być może przenosiny do Lwowa były podyktowane interesami ojca. Do Wiednia Ringlowie trafili z falą uchodźców po wybuchu pierwszej wojny światowej. Do grodu nad Pełtwią wrócili po trzech latach. Z kolei do Chorzowa młodzi małżonkowie pojechali, ponieważ na Ignacego czekała tam posada prokurenta bankowego. Aż w końcu – w roku 1924 – zakotwiczyli w Warszawie.

Radykalna poprawa bytu, znaczona zamieszkaniem w eleganckiej willi, wynikała z projektów sztuki użytkowej?

eprasa.pl 9265260d78

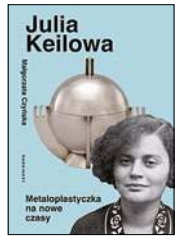

MAGDALENA CZYŃSKA „JULIA KEILOWA" MARGINESY 2024

Keilowa była uznaną rzeźbiarką i wziętą projektantką dla największych producentów platerów w Polsce (fabryki braci Henneberg, Józefa Frageta czy Norblin i S-ka). Jej spektakularna kariera trwała jakichś siedem–osiem lat. W ciągu niespełna dekady osiągnęła bardzo wiele. Cukiernice, salaterki, sosjerki, patery, misy, popielniczki i tym podobne atrybuty przez nią zaprojektowane gościły na stołach międzywojennej elity. Natomiast zastawy stołowe trafiły na nasze transatlantyki – „Piłsudskiego" i „Batorego". Za uznaniem artystycznym mógł więc podążyć sukces finansowy. Własny dom na Saskiej Kępie był tego jaskrawym odzwierciedleniem.

Zaznała zarówno okupacji sowieckiej, jak i niemieckiej...

Wrzesień 1939 r. położył kres jej karierze. Keilowie zdecydowali wówczas uciec do Lwowa, gdzie przecież mieszkali ich najbliżsi krewni. Artystka z energią zorganizowała tam pracownię ceramiczną. Po agresji sowieckiej na Polskę senator Michał Ringel został aresztowany przez NKWD. Podczas krwawego czerwca 1941 r. padł ofiarą masakry urządzonej w lokalnych więzieniach przez NKWD. Niebawem Julia stała się świadkiem pogromu ludności żydowskiej w mieście, zorganizowanego przez Niemców i Ukraińców. Z końcem roku 1941 Keilowie postanowili wrócić do Warszawy. Ukrywali się po aryjskiej stronie. Osobno. Ignacy i Marceli ocaleli. Ten drugi, pod okupacyjnymi personaliami Stefan Skrobiszewski, pracował w Polsce Ludowej jako dziennikarz, m.in. w redakcji „Expressu Wieczornego".

Uda się jeszcze doprecyzować okoliczności oraz datę śmierci bohaterki książki?

Dzisiaj, przy tak znikomej liczbie dokumentów, szczątkowej i niepewnej pamięci zachowanej w rodzinie wydaje się to raczej niemożliwe. Jednakże doświadczenie badaczki sugeruje mi, że wszystko może się jeszcze zdarzyć. Toteż niewykluczone, że kiedyś wypłyną jakieś dotąd nieznane archiwalia, rzucające snop światła na życiorys Julii Keilowej.

A co stało się z jej spuścizną twórczą?

Częściowo uległa zniszczeniu, częściowo rozproszeniu. Wystarczy wspomnieć, że w 1939 r. rzeźby i platery artystki prezentowano w Pawilonie Polski na Wystawie Światowej w Nowym Jorku, skąd już nie powróciły do kraju. Staraniem kolekcjonerów i badaczy zakres wiedzy nad dorobkiem plastyczki stale się poszerza. Niedawna wystawa w Muzeum Warszawy zgromadziła duży zespół prac projektantki, niemniej temat wciąż pozostaje otwarty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Małgorzata Czyńska – dziennikarka, pisarka, historyk sztuki, kuratorka wystaw. Autorka książek, m.in.: „Kobro. Skok w przestrzeń", „Berezowska. Nagość dla wszystkich", „Witkacy i kobiety", „Kobiety z obrazów" (dwie części) oraz najnowszej – „Julia Keilowa. Metaloplastyczka na nowe czasy".

REKLAMA

Projekt współfinansowany przez Polski Instytut Sztuki Filmowej

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

eprasa.pl 9265260d78

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Równy bogom

★★★★☆☆

REŻ. DEV PATEL
„MONKEY MAN"
KANADA/USA
2024

wyst. Dev Patel, Sharlto Copley, Makarand Deshpande

Wymarzony projekt aktora Deva Patela („Slumdog. Milioner z ulicy"), który sam zabrał się do reżyserii. Opowieść o Indiach, która jest zakazana w Indiach, kinowe mordobicie czerpiące garściami z „Wejścia smoka" czy „Johna Wicka", a jednocześnie – uwaga! – religijne kino akcji. Nie chodzi jednak o żadną z religii Zachodu.

Patel wysnuł swój scenariusz z fascynacji Hanumanem, jednym z bogów hinduizmu, królem małp, symbolem siły i lojalności, bohaterem walk z demonami. Tytułowy „Monkey Man" znany tylko jako Kid (gra go sam Patel) zarabia na życie w nielegalnych walkach. Tak naprawdę jednak szuka pomsty za śmierć matki. Prosta historia obudowana jest w symbolikę nie tylko dlatego, że Kid występuje na ringu w masce małpy.

Kim są wrogowie Kida? Patel nie zostawia suchej nitki na rządzącej obecnie Indiami Partii Ludowej (w filmie to Partia Suwerenności), którą oskarża o zachęcanie do pogromów, budowanie narodowej tożsamości na wykluczeniu (wykluczeni są wszyscy niehinduiści). Najbardziej odrażającą postacią jest zaś guru Baba Shakti, który mówi pięknie, ale jest wspólnikiem skorumpowanych polityków i policjantów. Ten wątek zamienia „Monkey Mana" w indyjską wersję „Lewiatana" Zwiagincewa.

Patel nie bierze jeńców, maluje obraz współczesnych Indii jako piekła na ziemi, gdzie nie ma ani wolności, ani sprawiedliwości, atakuje też ostro system kastowy. I tu dochodzimy do wątku, który najbardziej podzieli widzów – duchowe wsparcie oraz lekcje walki jak z „Rocky'ego" czy „Kill Billa" otrzyma od hijra – pogardzanych przedstawicieli „trzeciej płci" (zachodni termin „transseksualizm" nie oddaje specyfiki hijra). Nie sądzę, by Patel sięgnął po ten motyw, by uradować postępowe media i/lub rozwścieczyć konserwatystów. Znów chodzi o symbol: filmowy Kid zstępuje między poniżanych, którzy jako jedyni go przyjmują. Wypełni swą misję dopiero, gdy zacznie walczyć nie o siebie, ale w imieniu wszystkich ofiar. Wówczas stanie się równy bogu Hanumanowi. „Monkey Man" jest opowieścią fascynującą (przez większość czasu) i irytującą (gdy jest naiwnie łopatologiczny), pod koniec nieintencjonalnie śmieszny – ale z pewnością jeszcze nigdy w życiu czegoś takiego nie widzieliście. ©℗

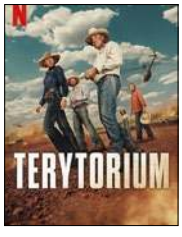

NOWE SERIALE: „TERYTORIUM"

„Yellowstone" i „Sukcesja" w wersji australijskiej – rodzina Lawsonów musi rozstrzygnąć, kto ma odziedziczyć największą na kontynencie farmę hodującą bydło. Do gardła Lawsonom rzucają się zarówno konkurenci z mięsnego biznesu, jak i gangsterzy, Aborygeni oraz magnaci górnictwa, których ziemia interesuje z całkiem innego powodu. ©℗

Piotr Gociek

- ***sezon 1 „Terytorium" („Territory"), Australia 2024***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- *sezon 2* ***„Diabelska godzina" („The Devils Hour"),*** *Wielka Brytania 2024* prime video
- *sezon 2* ***„Terapia bez trzymanki" („Shrinking"),*** *USA 2024* atv+
- *reż. Jonathan Glazer* ***„Strefa interesów" („The Zone Of Interest")*** max

eprasa.pl 9265260d78

Nic śmiesznego

sky SHOWTIME

Kultura, w tradycyjnym tego słowa znaczeniu, odchodzi do lamusa. Szerzy się za to, jak pożar na stepie, cancel culture. Od wyroku opinii publicznej, wyrażającej się w internetowych samosądach, nie ma odwołania. Jesteś skończony, nawet jeśli dostałeś Oscara, a twoje filmy przez wiele lat wprawiały widzów i recenzentów w ekstazę. Nie trzeba wcale być bydlęciem jak Weinstein, wystarczy posądzenie o rasizm lub mizoginię. Komik może podać rękę saperowi: obaj mylą się tylko raz. Historia prezentera, który na prywatnej imprezie wypił za dużo i palnął żenujący dowcip, mogący wykoleić jego karierę, jest więc jak najbardziej na czasie. Douglas twierdzi, że nie pamięta, co rzekł, ale oskarżycielski tweet wzbudza popłoch w redakcji. Agent ciamajda, córka aktywistka, żona choleryczka, cwany producent i telewizyjna partnerka stoją za gwiazdorem murem. Czy jednak nie zmienią zdania? Serial długo wydaje się satyrą na hipokryzję tudzież zbiorem branżowych anegdot. Z czasem atmosfera tężeje i fabuła raźno zmierza do banalnych konkluzji. Wszyscy faceci to seksiści, a kobiety – manipulatorki. Publika nie zasługuje na prawdę i chce być okłamywana, a największą szansę przetrwania na świeczniku mają ludzie nijacy. Nawet jeśli to wszystko prawda, to po cóż łamać krzesła? ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★☆☆☆

TWÓRCA: STEVEN MOFFAT
„DOUGLAS IS CANCELED"
WIELKA BRYTANIA 2024

wyst. Hugh Bonneville, Karen Gillan, Alex Kingston

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ŁEMKO Z MANHATTANU

KINO

Można się było tego spodziewać. Ukradliśmy Słowakom Janosika, więc musieli sobie znaleźć innego bohatera. Andrij Warhola, bardziej znany jako Andy Warhol, był właściwie Rusinem, ale część rodziny, która nie wyemigrowała do Ameryki, ma o nim jak najlepsze zdanie. Okazuje się, że oprócz MM, Elvisa, Mao i Lenina Andy portretował też Jezusa. Syn prostego robotnika zawojował świat sztuki nie tyle talentem, ile znajomością branży reklamowej. Pojawił się we właściwym miejscu we właściwym czasie. Abstrakcjonizm doszedł do ściany i snobistyczne towarzystwo z Nowego Jorku zakochało się w pop-arcie, przystępnym i uszminkowanym potomku dadaizmu. Czy nieśmiałe dziecię imigrantów przywiązane do wiary i tradycji tudzież atencjusz i skandalista, który otoczył się dworem złożonym z freaków oraz ćpunów, to jedna i ta sama osoba? Temat, trzeba przyznać, pasjonujący, lecz wciąż czeka na bezkompromisowego autora. ©℗

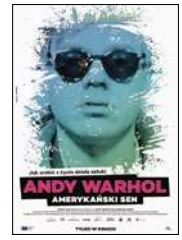

★★★☆☆☆

REŻ. LUBOMIR SLIVKA
„ANDY WARHOL. AMERYKAŃSKI SEN" („ANDY WARHOL. AMERICKÝ SEN")
SŁOWACJA 2023

KRZYKI Z AMERYKI

FILMCLASSIC

Radio nadaje tylko złe wiadomości, na wiejskim cmentarzu ktoś dokonuje amatorskich ekshumacji, autostopowicz wyciąga brzytwę. Witajcie w Teksasie! Od premiery jednego z najczęściej naśladowanych (i cenzurowanych) filmów w dziejach kina minęło pół wieku. Publiczność oswoiła się z sadyzmem. Twórcy współczesnych slasherów eksterminację niefrasobliwej młodzieży zaczynają już przed napisami początkowymi. U Hoopera na tytułową piłę czeka się ponad 40 minut. Brak kasy sprawił, że reżyser debiutant częściej niż szczegóły masakry pokazywał panikę ofiar. Marilyn Burns została pierwszą królową krzyku w historii gatunku. Krytycy, gdy ochłonęli z oburzenia, zaczęli szukać ukrytych sensów. Moim zdaniem fabuła stawiająca znak równości między szlachtowaniem krów i ludzi ma jedno przesłanie: wegetariańskie. Morał? Jeśli jedziesz, gdzie licho nie śpi, to tankuj do pełna. ©℗

Wiesław Chełminiak

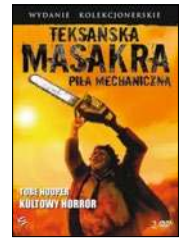

★★★★☆☆

REŻ. TOBE HOOPER
„TEKSAŃSKA MASAKRA PIŁĄ MECHANICZNĄ"
USA 1974

wyst. Marilyn Burns, Paul A. Partain, Edwin Neal

GRA TYGODNIA: „EA SPORTS FC 25"

★★★★★☆

Spora liczba błędów i problemów m.in. z działaniem serwerów na starcie nie popsuły mi zabawy. „FC 25" jest tą edycją, w którą bawię się najlepiej od lat. Duża w tym zasługa nowego, zintegrowanego z Ultimate Team trybu Rush. To mecze pięciu na pięciu (zawodników z pola kontrolują gracze) na odpowiednio pomniejszonych boiskach. Bardzo grywalny tryb i oprócz frajdy dający profity w UT, więc jest w ciągłym użyciu. Zmian jest więcej, choćby w warstwie taktycznej. To nie jest – jak często marudzą antyfani – „ta sama gra co przed rokiem". ©℗

Radosław Wojtas

- ***Gatunek:*** *sportowa*
- ***Platforma:*** *PS5, PS4, XSX, XONE, NS, PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *EA Sports; Electronic Arts*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 9265260d78

MOJA PÓŁKA

Wańkowicz w niepolskiej szkole

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Rok Wańkowiczowski ustanowiony przez Sejm RP w 50. rocznicę śmierci autora „Bitwy o Monte Cassino" uhonorowany został przez obecne władze oświatowe wyrugowaniem utworów tego arcypolskiego pisarza z listy lektur szkolnych. Całkowicie usunięto „Tędy i owędy" (w dobrym towarzystwie, bo m.in. „Śmierci Pułkownika" Adama Mickiewicza), a ocalałe z pogromu dokonanego przez rodzimych hunwejbinów fragmenty „Ziela na kraterze" i „Bitwy o Monte Cassino" przeniesiono do lektur uzupełniających, co w praktyce oznacza, że dzieła te zdecydowanej większości naszej młodzieży pozostaną nieznane.

A przecież, co podkreśla w wydanej właśnie książce „Melchior Wańkowicz – przypominany", niestrudzona badaczka twórczości tego świetnego prozaika i jej popularyzatorka – Aleksandra Ziółkowska-Boehm: „Nie ma piękniejszej książki o Kresach niż »Szczenięce lata«. Bohaterstwa żołnierza polskiego nic nie przedstawia lepiej od »Hubalczyków« i »Bitwy o Monte Cassino« i nie ma bardziej wzruszającej książki o domu, o rodzinie – niż »Ziele na kraterze«". Tak właśnie jest, nie inaczej, czego jednak pańcie mianowane ministrami są nieświadome. Ktoś kiedyż wykoncypował taki znaczący tytuł: Kur wie lepiej.

„Melchior Wańkowicz – przypominany" to znakomity przewodnik po wszystkich (!) książkach pisarza. Ale oczywiście – jak czytamy – „artystę, twórcę, ocenia się za najlepsze dzieło, pisarza za najlepszą książkę. Wańkowicz pozostanie autorem doskonałych »Ziela na kraterze«, »Szczenięcych lat«, »Na tropach Smętka«, »Dzieje rodziny Korzeniewskich«, »Bitwy o Monte Cassino«, »Tędy i owędy«. Jego książki stanowią swoistą barwnie podbarwioną biografię pisarza". I właśnie ustępy wymienionych dzieł (plus „Drogą do Urzędowa") tworzą niewielką Wańkowiczowską antologię będącą, obok biograficznego zarysu, integralną częścią nowej książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, sekretarki pisarza – przypomnę, której zapisał swoje archiwum.

FOT. ANDRZEJ RYBCZYŃSKI/PAP

Czytelnik znajdzie też tutaj opinie krytyków o poszczególnych dziełach Wańkowicza, jak również wypowiedzi na temat „Bitwy o Monte Cassino", które ukazały się w tym roku w angielskojęzycznej wersji książki w Stanach Zjednoczonych. Wśród nich zwracają uwagę słowa prof. Andrzeja Nowaka: „Jeden z rozdziałów swej wstrząsającej realizmem narracji zatytułował »Katharsis wśród fetoru«. Bo taka bitwa to fetor, krew, ropiejące rany, pot. Ale autor uchwycił także coś jeszcze: znaczenie tej bitwy – katharsis, oczyszczenie, jakie przynosi najwyższą ofiarą odniesione zwycięstwo. Dla polskich żołnierzy, którzy od pierwszego dnia wojny w 1939 roku stawiali opór Hitlerowi, a potem ugodzeni w plecy najazdem Stalina od wschodu i zesłani na Sybir, przez Monte Cassino prowadziła droga powrotna do godności zwycięzców w walce o słuszną sprawę".

Omówienia dzieł Melchiora Wańkowicza współgrają z jego pisarskim życiorysem. Ten wyjątkowy autor wtopił się w bieg narodowej historii nie tylko swoimi arcydzielnymi książkami, lecz także swoją życiową postawą, niezależnością, którą wykazywał i w trudnych latach wojennych, i na emigracji, i w komunistycznej Polsce, gdy po Liście 34 rządzący postawili go przed sądem, skazali, ale nie mieli odwagi zamknąć go w więzieniu. Małgorzata Gawin akcentowała, że po powrocie do kraju – co na emigracji spotkało się z krytyką – „nie splamił się reżimowymi utworami, współpracą z bezpieką, nie paradował w górniczej czapce, nie podlizywał się władzy". To dlatego, gdy zmarł pół wieku temu, w ostatnią drogę na cmentarz Powązkowski odprowadzała go cała Warszawa.

Napisałem kiedyś o autorze „Ziela na kraterze": „Jego książki to kwintesencja polskości. Zanurzone całe w naszej historii i tradycji, jednocześnie żywo reagowały na wszystko, co niosła współczesność. Ale też zawsze pierwszorzędne było dla Wańkowicza pytanie, co z przedstawionego przezeń faktu wynika dla Polski. I wbrew dość rozpowszechnionemu mniemaniu, że był urodzonym optymistą, wcale nie udzielał łatwych, tylko pozornie krzepiących odpowiedzi". Dziś mogę tylko powtórzyć ten sąd, namawiając łaskawych czytelników do lektury książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm. I dopilnowania, by nasze wnuki poznały pisarstwo Melchiora Wańkowicza, skoro nie uczyni tego szkoła, choć – zdawałoby się – powinien to być jej obowiązek. ©℗

★★★★★☆

ALEKSANDRA ZIÓŁKOWSKA-BOEHM „MELCHIOR WAŃKOWICZ – PRZYPOMINANY" WYDAWNICTWO NAUKOWE UNIWERSYTETU MIKOŁAJA KOPERNIKA, TORUŃ 2024

eprasa.pl 9265260d78

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Ostatnia sprawa

C.J. Sansom zamyka swój cykl powieści o Matthew Shardlake'u tak samo, jak rozpoczynał: każąc mu przeżywać rozczarowanie światem. Pożegnanie z bohaterem jest nagłe i wymuszone – Sansom zmarł w kwietniu 2024 r. i nie napisze już kolejnych tomów. A miał zamiar.

Wiele wydarzyło się w Anglii pomiędzy rokiem 1537 a 1549, brytyjski pisarz opowiedział o tym w siedmiu powieściach (pierwsza zamieniła się w serial, siódma i ostatnia właśnie ukazała się po polsku). Gdy poznawaliśmy Shardlake'a, prawnika i detektywa („Komisarz"), był on człowiekiem Thomasa Cromwella. Teraz cieszy się zaufaniem młodej lady Elżbiety (przyszłej królowej Anglii) i dla niej właśnie ma rozwiązać zagadkę śmierci w rodzinie. Czy za zniknięcie Edith Boleyn odpowiada jej były mąż?

Reklamowane jako kryminały historyczne książki Sansoma są w istocie po prostu świetnie obmyślonymi i opartymi na drobiazgowo przebadanym materiale powieściami historycznymi. Nie znaczy to, że autor lekceważy kryminalną intrygę; po prostu jest ona tylko jedną z kunsztownie splecionych nici w tym gobelinie. Fikcyjni bohaterowie obracają się wśród postaci historycznych, jedni i drudzy stają się pod piórem Sansoma zaskakująco żywi i prawdziwi. A czasy, które pisarz ukochał i wybrał na swoje wielkie teatrum ludzkiego losu, są tyleż fascynujące, co burzliwe: rządy Henryka VIII. Twórcy popkultury zwykle wyliczają mu żony i przypominają ich los, Sansom uwagę poświęca przede wszystkim społecznym i politycznym skutkom angielskiej reformacji, z wywłaszczaniem i burzeniem klasztorów oraz religijnymi prześladowaniami na czele.

W powieści „Serce Anglii" Shardlake trafia w sam środek powstania Ketta – w Norwich chłopi buntują się przeciw grodzeniu pól. Bogaci hodowcy owiec zagarniają dla siebie wielkie pastwiska, bo wełna właśnie staje się głównym towarem eksportowym Anglii. Dwór propaguje wersję, że to rewolta przebiegłych katolików, intryga Francuzów albo rewolta radykałów zafascynowanych tezami Müntzera. Shardlake pozna jednak prawdę. W pierwszej powieści głęboko rozczarowany był owocami reformacji („Nie taki świat pragnęliśmy zbudować my, młodzi reformatorzy"), w ostatniej tym, że możni nie mają sprawiedliwości dla ubogich, a i między sobą sprawy załatwiają wedle prawa silniejszego. ©℗

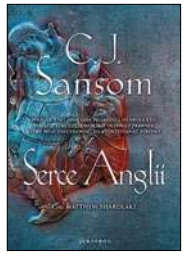

★★★★☆☆
C.J. SANSOM
„SERCE ANGLII"
ALBATROS 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Od Homera do Becketta, a pomiędzy nimi Kawafis, Elit, Rilke, wybrane fragmenty z Szekspira czy Sofoklesa. Obszerny zbiór przekładów poetyckich Libery, przez niego samego wskazanych (140 wierszy 33 autorów).

ANTONI LIBERA
„BĄDŹ WIERNY SOBIE"
PIW

Ciąg dalszy Hemingwaya w nowych przekładach – tym razem do dzieła zabrał się Rafał Lisowski. Głośna powieść czytana po latach okazuje się nierówna, to raczej zbiór epizodów, czasem świetnych, czasem tylko manierycznych.

ERNEST HEMINGWAY
„KOMU BIJE DZWON"
MARGINESY

Potężny cios w wywody tych, którzy twierdzą, że im mniej ludzi na świecie, tym lepiej, i że cywilizacja skończy się wraz z ropą. Nie surowce, lecz ludzka wiedza, innowacyjność i kreatywność są prawdziwym bogactwem planety.

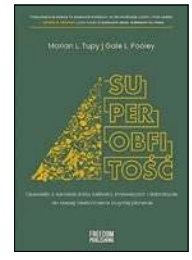

MARIAN L. TUPY, GALE L. POOLEY
„SUPEROBFITOŚĆ"
FREEDOM PUBLISHING

Najlepsza powieść w dorobku młodej ukraińskiej autorki, dystopia fantasy inspirowana dziejami Krymu. Polityczne aluzje są czytelne, ale najważniejsza jest imponująca literacka kreacja. Do nabycia tylko u wydawcy: Esef.com.pl

recenzuje Piotr Gociek

SWITŁANA TARATORINA
„DOM SOLI"
STALKER BOOKS

KOMIKS TYGODNIA: „LOW MOON"

Pięć nieco surrealistycznych przypowieści o ludzkim losie. Jest tu m.in. egzystencjalny western, którego kulminacją jest pojedynek szachowy, jest ubrana w kostium SF historia o błędnych życiowych wyborach czy kpina z kryminału noir. Pod pseudonimem Jason kryje się norweski rysownik John Arne Sæterøy, trzykrotny laureat Nagrody Eisnera dla najlepszego komiksu zagranicznego wydanego w USA.

Piotr Gociek

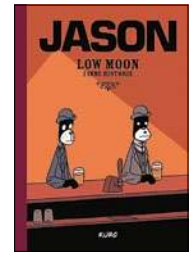

JASON
„LOW MOON"
KURC 2024

eprasa.pl 9265260d78

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Warszawa od kuchni

Podróż przez osiem wieków historii żywienia w Warszawie. Gotowanie i spożywanie posiłków w domu oraz gastronomia miejska. Odkrycia archeologiczne, przedmioty codziennego użytku, archiwalia, fotografie, dzieła sztuki ilustrują tę jakże ważną dziedzinę życia i jej przemiany od średniowiecza do współczesności, sposoby przygotowywania i przechowywania potraw, najchętniej spożywane dania, wreszcie innowacje kuchenne.

Ale to nie tylko podróż przez historię, bo „zobaczymy, jak ważną częścią kultury jest to, co jemy. To, jak podawane są potrawy, jest wyrazem tożsamości". Ostatnia część wystawy jest poświęcona jedzeniu ulicznemu. „Początki modnego dziś street foodu sięgają średniowiecza, a na wystawie można dowiedzieć się, jak zmieniały się dania serwowane pod chmurką, a także czym były handelki i bawarie oraz jak rozwijało się zbiorowe żywienie. Kawiarniane ogródki i dzielenie się smakołykami na piknikach nad Wisłą też mają długą tradycję" – piszą organizatorzy. ©℗

FOT. MUZEUM WARSZAWY

GDZIE? *Muzeum Warszawy*
KIEDY? *do 17 kwietnia 2025 r.*

FOT. MUZEUM ZUP KRAKOWSKICH WIELICZKA

WYDOBYWCY

Jeszcze tylko przez kilka dni potrwa wystawa fotograficzna poświęcona pracy górników przed laty. Składa się na nią 31 wielkoformatowych fotografii wykonanych w 30 kopalniach w Europie, Ameryce Północnej i Australii. Najstarsze ze zdjęć ma ok. 160 lat. Uwieczniono na nim górników przed wejściem do sztolni kopalni kobaltu w Norwegii. Najmłodszy z kadrów ma 70 lat. Uzupełnieniem fotografii są rozszerzone galerie (dostępne po zeskanowaniu kodów QR) oraz dawne narzędzia górnicze. ©℗

GDZIE? *Wieliczka, Zamek Żupny*
KIEDY? *do 24 października*

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Czas grzybobrania

Wrocławski kwartet Błoto, który tworzą muzycy utytułowanego, jazzowego EABS, w ciągu pierwszych miesięcy istnienia wydał aż trzy albumy. Na czwarty czekaliśmy natomiast ponad trzy lata.

Nazwa Błoto ma odzwierciedlać charakter muzyki zespołu, która jest brudna, hiphopowa i grząska. Tytuły albumów są manifestami, do których muzycy umiejętnie dopisują ideologie. Dopiero znając ich zamysł, odnajdujemy w instrumentalnych utworach poszczególne smaki, zapachy i obrazy, okładki płyt stanowią bowiem wartość dodaną. Inspiracją dla utworów jest natura, a także ludzkie zachowania. Tytuł poprzedniej płyty, „Kwasy i zasady", odnosił się do cech ludzkich, które nie pozwalają na zgodę. Album „Grzybnia" wedle Błota „stawia na element współpracy, jako nadrzędną umiejętność, która może przynieść różne rezultaty (owoce, grzyby) – dobre i złe".

Siłą kwartetu jest łatwość, z którą łączy elementy różnych współczesnych stylistyk muzycznych, tworząc barwną hybrydę. Kompozycje są zarówno intrygująco nieprzewidywalne, jak i pociągająco „przystępne" przez uwypukloną rytmikę. Płyta może zainteresować zarazem wyrafinowanych koneserów jazzu, klubowych freaków oraz smakoszy łysiczki lancetowatej. Notabene utwór „Łysiczka" otwiera album, a wieńczy go kompozycja „Zasłonak" – najliczniejszy na naszym terenie rodzaj grzybów. ©℗

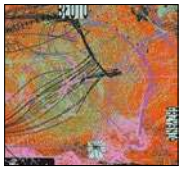

★★★★★★
BŁOTO
„GRZYBNIA"
ASTIGMATIC

★★★★★★
WOJCIECH MAZOLEWSKI QUINTET
„BEAUTIFUL PEOPLE"
WMQ/!K7

Kwintet w nowym składzie wkracza w rejony uduchowionych dźwięków i nowych brzmień. Kontemplacyjny charakter utworów odzwierciedlają ich pozytywne tytuły. Muzyka płynie na falach modern jazzu napędzanych energią fanów, którym album jest poświęcony.

★★★★★★
THE SMILE
„CUTOUTS"
XL

To już drugi album tria w tym roku. Więcej na nim elektroniki i eksperymentów dźwiękowych. Thom Yorke ostrzega m.in. przed nuklearnym zniszczeniem i wyśmiewa „klikające małpy". Niby to ciekawe, ale jednocześnie szalenie monotonne.

eprasa.pl 9265260d78

Ile w nas zdumienia jeszcze

Krzysztof Masłoń

W swoim nazwisku podwoił literę „l" i tak stał się Bellonem. Pisał teksty, komponował, grał, śpiewał o zwykłych, a jakże pięknych ludziach i sprawach, o zachwycającej urodzie świata i o marzeniach skrojonych na naszą człowieczą miarę. Jak w „Sielance o domu":

A jeśli dom będę miał,
to będzie bukowy koniecznie,
pachnący i słoneczny.
Wieczorem usiądę, wiatr gra,
a zegar na ścianie gwarzy.
Dobrze się idzie panie zegarze
Tik tak, tik tak, tik tak.

Szukam, szukania mi trzeba,
Domu gitarą i piórem.
A góry nade mną jak niebo,
A niebo nade mną jak góry.

Swoje piosenki prezentować zacznie już w latach licealnych, w Busku-Zdroju, gdzie dziś stoi jego ławeczka z brązu, a miejscowy dom kultury nosi jego imię. W 1971 r., występując ze swą szkolną koleżanką Grażyną Kulawik, zdobędzie nagrodę na Giełdzie Piosenki Turystycznej w Szklarskiej Porębie. Następnie, już z zespołem, wyróżniany będzie na wielu przeglądach piosenki, m.in. gdańskiej „Bazunie". Wysoką rangę twórczości młodego artysty poświadczyły nagroda specjalna jury i nagroda ZAKR-u na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie w roku 1974. Obok Belona uhonorowano wtedy Elę Wojnowską i Henryka Albera, kabaret Pod Budą i Krzysztofa Piaseckiego.

Bardowi niespieszno było jednak do zawodowej estrady. Żył ze śpiewania, ale znacznie ważniejsze było dla niego obcowanie z bliskimi mu ludźmi, pielęgnowanie starych przyjaźni i nawiązywanie nowych, radość z bycia razem, a to łączyło się z biesiadowaniem, co w jego wypadku, ze względu na chorobę alkoholową, było groźne. Uwielbiał improwizowane z dnia na dzień podróże, wyprawy, w trakcie których zawsze był gotów sięgnąć po gitarę i muzykować, czy to w sali klubowej, czy w prywatnym mieszkaniu, a także przy ognisku.

Leszek Marciniec tak pisał o nim: „Jego wędrówki prowadziły od świętokrzyskich lasów, przez Powidzie, do śnieżnych szczytów Tatr. Fascynowało go piękno Powidzia, szczególnie tereny wokół Wiślicy, gdzie Nida wije się meandrami – jak życie człowieka, które nie wybiera prostej wstęgi szos, ale napotyka na różne zakręty losu, tworząc urodę życia. Był zakochany w pięknie polskich Tatr, a także Bieszczad. Przez całe życie szukał mitycznej krainy szczęśliwości, Arkadii, a symbolem tych poszukiwań i marzeń była wyśniona i wyimaginowana Bukowina". Stąd wzięła się nazwa jego zespołu – Wolna Grupa Bukowina:

W Bukowinie zrośnięte echem lasy
W Bukowinie liść zieleni się i złoci
Śpiewa czasem banior ciepłym basem
I nie mogę znaleźć Bukowiny
I nie mogę znaleźć
Choć już szukam godzin krocie i dni krocie.

Z innej jego ballady wziął się cały nurt twórczości nazywanej a to poezją śpiewaną, a to piosenką studencką czy turystyczną, a bywało, że także autorską. Pamiętają państwo z lat 90. cykl telewizyjnych programów Piotra Bałtroczyka „Kraina łagodności" i serię płyt Pomatonu? A przecież były i festiwale opatrywane tą nazwą właśnie, która wzięła się z „Pieśni łagodnych" Belona:

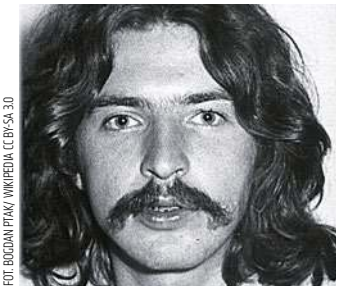

FOT. BOGDAN PTAK/ WIKIPEDIA CC BY-SA 3.0

Ile światłem prowadzeni
Dróg powietrza przejść zdołamy?
W ilu rzekach zanurzymy stopy?
Ile w nas zdumienia jeszcze?
Ile złudzeń niestraconych?
Światów ile nieodkrytych wokół?
Zadajemy te pytania głosem ptasim
Niech prowadzą nas bez odpowiedzi nawet
Niech się wznoszą, niech się wznoszą
Aż zabłysną tęczą do krainy łagodności bramą.

Mimo zdobytej popularności PRL-owska fonografia nie kwapiła się z utrwalaniem takich artystów jak Wojciech Belon i Wolna Grupa Bukowina. Ich piosenki znalazły się tylko na kasecie Wifonu, i to na jednej stronie, bo na drugiej zmieszczono utwory Jana Wołka. Była jeszcze płytka Tonpressu, i to w zasadzie wszystko. A jednak „Majstra Biedę", który „nad rowem siadał, wyjmował chleb,/ serem przekładał i dzielił się z psem", śpiewano jak Polska długa i szeroka. No, może jednak nie wszędzie i nie wszyscy.

Stan wojenny odmienił życie Belona, utrzymującego się do tej pory z występów, które z dnia na dzień zostały zakazane. To wtedy, gdy brakowało innych możliwości zarobkowania, roznosił mleko. Kiedy zawieszono stan wojenny i zezwolono na koncerty, artysta związał się z Wałami Jagiellońskimi, realizując projekt pod nazwą „Grupa Adres – Bukowina, ulica Wały Jagiellońskie". Nie trwało to długo, zespół Rudiego Schubertha, już na własną rękę, odniósł sukces komercyjny, a Belon, cóż, nadal koncertował samodzielnie oraz z gitarzystami Wolnej Grupy Bukowina, która od stanu wojennego praktycznie zawiesiła działalność, by wznowić ją później, już po śmierci swego założyciela.

Ten „Wieczny Wędrowiec Boży", jak nazwał go współpracujący z nim poeta Adam Ziemianin, zmarł 3 maja 1985 r. Miał zaledwie 33 lata. Do kliniki w Krakowie, obecnie Szpitala Uniwersyteckiego, przewieziono go z Zakładu Psychiatrycznego w Kobierzynie, dokąd trafił na detoks i gdzie leczono go potem farmakologicznie. A jemu potrzebne było dializowanie nerek… Podobno zresztą za przyczynę śmierci pacjenta uznano zator płuc. Pięć dni po śmierci pochowany został na cmentarzu w Busku-Zdroju. A „na Ponidziu" – jak śpiewał w „Nucie z Ponidzia" – wciąż jest tak samo pięknie:

Rozłożyła wiosna spódnicę zieloną
Przykryła błota bury błam
Pachnie ziemia ciałem młodym
Póki wiosny, póki trwa
Na Ponidziu wiosna trwa. ©℗

eprasa.pl 9265260d78

Lech Mażewski

Nowa

W projektach konstytucji PiS idzie o wzmocnienie pozycji prezydenta w systemie organów państwa, co miałoby prowadzić do zniesienia dotychczasowego dualizmu władzy wykonawczej na jego rzecz. Ale czy jest to możliwe bez przejścia do systemu prezydenckiego?

Niedawno prezes Prawa i Sprawiedliwości udzielił wywiadu tygodnikowi „Sieci" (nr 41/2024). Jeśli chodzi o aktualną sytuację ustrojową Polski, to Jarosław Kaczyński w jednej sprawie ma z pewnością rację: „W istocie zawalił się cały ustrój państwa, w którym żyjemy od 1989 r. Mają rację ci, którzy mówią, że III Rzeczpospolita się skończyła. Zniszczyli ją nie ci, którzy ją krytykowali, ale ci, którzy ją opiewali". Dodaje jednocześnie: „W żadnym wypadku nie żałuję, że nie zastosowaliśmy takich metod".

Rzeczywiście, mamy do czynienia z upadkiem ustroju demoliberalnego stworzonego w Polsce w połowie lat 90. zeszłego wieku przez elity liberalno-lewicowe. Prawnym wcieleniem tego ustroju było uchwalenie 2 kwietnia 1997 r. Konstytucji RP, do czego doszło bez udziału nieobecnej wtedy w Sejmie centroprawicy. Co w miejsce porządku demoliberalnego miałoby powstać?

PRZYCZYNY UPADKU III RZECZYPOSPOLITEJ

W przywołanym wywiadzie Kaczyński obszernie mówi o przyczynach upadku III Rzeczypospolitej, wskazując głównie na słabości Konstytucji RP z 1997 r. Wymienia jej brak logiki, a przede wszystkim bezradność wobec poczynań rządu Donalda Tuska. Chodzi o przemoc w stosunku do przeciwników politycznych, demolowanie praworządności w rozumieniu rządów ustaw, niszczenie instytucji mających za zadanie kontrolę władzy politycznej czy dewastację instytucji kultury. Szeroko zostało to przedstawione przez prezesa PiS na VI kongresie jego partii, który odbył się 12 października w Przysusze.

To wszystko prawda, ale zabrakło podkreślenia, że ten progresywny autorytaryzm nie byłby możliwy bez wsparcia, którego liderowi Platformy Obywatelskiej udzielają liberalno-lewicowe elity całego Zachodu, a przede wszystkim instytucje Unii Europejskiej. Związane jest to z naciskiem wywieranym przez struktury UE na państwa członkowskie, szczególnie Europy Środkowej, w przededniu próby dalszego ograniczenia ich kompetencji, aż do zamienienia państw narodowych w rodzaj unijnych protektoratów na wzór Protektoratu Czech i Moraw, utworzonego w marcu 1939 r. przez hitlerowskie Niemcy po upadku Czecho-Słowacji. Trzeba jasno powiedzieć, że temu zewnętrznemu naciskowi nie byłaby w stanie oprzeć się żadna, nawet najlepsza konstytucja.

> **Od początku nie jest jasne, do kogo należy prawo do rządzenia w Polsce. Czy do prezydenta, pochodzącego z wyborów powszechnych, czy do cieszącej się zaufaniem większości sejmowej Rady Ministrów z premierem?**

Ponadto powodem słabości Konstytucji RP z 1997 r. jest niszczący ją od samego początku dualizm władzy wykonawczej, na co wyraźnie Kaczyński także nie wskazuje. Od samego początku nie jest bowiem jasne, do kogo należy prawo do rządzenia w Polsce. Czy do prezydenta RP, pochodzącego z wyborów powszechnych, czy do cieszącej się zaufaniem większości sejmowej Rady Ministrów z premierem na czele? Z konfliktami na tym tle mamy do czynienia bez względu na to, czy oba człony władzy wykonawczej reprezentują ten sam obóz polityczny, jak było choćby w latach 2015–2023, czy zachodzi cohabitation, co występuje obecnie albo kilkakrotnie miało miejsce w latach poprzednich.

NOWA KONSTYTUCJA?

Prezes PiS uważa, że „potrzebny jest nowy akt zasadniczy, być może zastępczy, uchwalony w oczekiwaniu na większość dwóch trzecich". Ale tu pojawia się istotny problem. Konstytucja RP mówi jedynie w rozdziale XII o zmianie, a nie uchwaleniu nowej, a więc najpierw trzeba by uregulować tę sprawę. Poza tym na jej gruncie nie może pojawić się jakiś tymczasowy akt ustrojowy, znany w polskiej tradycji ustrojowej pod nazwą „małej konstytucji", choćby z tego powodu, że w systemie źródeł prawa w art. 87 ust. 1 Konstytucji RP nie jest wymieniona ustawa konstytucyjna.

Inna kwestia sprowadzałaby się do tego, po co należałoby uchwalić nową konstytucję, skoro wyraźnie mówi się: „Nikt nie ma zamiaru zmieniać rozdziału dotyczącego praw obywatelskich. Ale już np. procedurę zmiany konstytucji należałoby zweryfikować". W tym przypadku ma rację, gdyż weto bezwzględne, które przysługuje Senatowi w trakcie zmiany konstytucji (art. 235 ust. 4 Konstytucji RP), jest nie do utrzymania. Czy dla dokonania tej zmiany konieczne jest uchwalenie nowej ustawy zasadniczej? Przecież to zupełna pomyłka.

W wypowiedzi Kaczyńskiego zwraca uwagę, że rzeczywiste źródła słabości Konstytucji RP zostały całkowicie pominięte. Zamiast konieczności zniesienia dualizmu władzy wykonawczej czy

eprasa.pl 9265260d78

konstytucja?

prawnej obrony resztek suwerenności państwa polskiego wobec federalizacyjnych uroszczeń instytucji UE otrzymujemy propozycję powołania zagadkowej Rady Stany. Miałaby ona dysponować jakąś nieokreśloną siłą, działać na zasadzie kooptacji i stać na straży konstytucji. W jakimś sensie nawiązywałoby to do propozycji rozwiązania prawnego, z którym mieliśmy do czynienia na gruncie projektu konstytucji PiS z 2005 r. Dawano tam głowie państwa możliwość odmowy powołania prezesa Rady Ministrów lub ministra, gdy istnieją uzasadnione podejrzenia, że nie będzie on przestrzegał prawa albo przeciwko powołaniu przemawiają względy bezpieczeństwa państwa. Propozycja ta wywodzi się z ducha sanacyjnego autorytaryzmu, za którym stała rzeczywista siła, której PiS nie ma.

Propozycja ustanowienia Rady Stanu, jako rodzaj autorytarnego bezpiecznika, na tle działań Tuska, który bez żenady sięga po instrumentarium z zakresu progresywnego autorytaryzmu, trąci rzeczywistym anachronizmem ustrojowym. Szkoda, że na niedawno odbytym kongresie PiS Kaczyński nie odniósł się do tej sprawy. Spójrzmy zatem choć pobieżnie na wcześniejsze

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 9265260d78

projekty konstytucyjne PiS, żebyśmy mogli się zorientować, czego możemy się spodziewać w sprawach ustroju Polski.

PROJEKTY KONSTYTUCJI PIS

Formacja Kaczyńskiego stworzyła dwa projekty konstytucji: w latach 2005 i 2010. W wielu szczegółowych rozwiązaniach różnią się one między sobą, ale łączy je nacisk kładziony na instytucję prezydenta jako oś nowego rozwiązania konstytucyjnego. Jest tu odwołanie do tradycji sanacyjnej ustawy konstytucyjnej z 23 kwietnia 1935 r. i nawiązanie do konstytucji V Republiki Francuskiej z 1958 r. Projekty konstytucyjne PiS w szczególny sposób nie zajmowały się kwestią obrony polskiej suwerenności wobec UE. Jednak proces federalizacji struktur unijnych musi być powstrzymany albo przynajmniej Polska winna być z niego wyłączona, jeśli mamy w ogóle poważnie rozmawiać o kwestiach prawnokonstytucyjnych. Jasne jest, że nie dokona się tego na gruncie samej ustawy zasadniczej, potrzeba stosownych decyzji politycznych.

Autorzy obu projektów konstytucji PiS starają się w taki sposób określić regulacje dotyczące prezydenta, aby jego kompetencje uległy rozszerzeniu w zakresie wytyczania strategicznych celów polityki państwa. Widoczne jest to w sprawach obronności, w tym zwierzchnictwa nad armią, oraz uczynieniu go zwierzchnikiem służby cywilnej. Osłabieniu uległa możliwość występowania głowy państwa z wetem poprzez wyraźne ustalenie w konstytucji ewentualnych jego powodów, ale samo weto zostało wzmocnione na skutek zwiększenia do dwóch trzecich większości w Sejmie koniecznej do ponownego uchwalenia ustawy. Prezydent RP uzyskał prawo wydawania rozporządzeń z mocą ustawy, ale – poza stanem wojny i stanem wojennym – nie należy to do jego osobistych uprawnień. Rozszerzeniu uległy też przyczyny skrócenia kadencji Sejmu przez głowę państwa. Do już istniejących dodano możliwość skrócenia kadencji, gdy Sejm po raz czwarty w ciągu kadencji uchwali wotum nieufności dla rządu oraz możliwość skrócenia kadencji Sejmu w pierwszych sześciu miesiącach kadencji prezydenta, pod warunkiem że Sejm przynajmniej przez rok sprawuje swoje funkcje. Widać tu wyraźne dążenie do eliminowania ewentualnego konfliktu nowego prezydenta z wcześniej wybranym Sejmem przez odwołanie się do wyborców.

W projektach konstytucji PiS nie idzie tylko o jakąś racjonalizację dotychczasowego modelu sprawowania władzy, doprecyzowanie, na czym miałby polegać udział głowy państwa w kształtowaniu polityki zagranicznej i obronnej państwa, ale o generalne wzmocnienie pozycji prezydenta w systemie organów państwa, co miałoby prowadzić do zniesienia dotychczasowego dualizmu władzy wykonawczej na jego rzecz. Ale czy jest to możliwe bez przejścia do systemu prezydenckiego? Autorom powyższych projektów wydaje się, że nie byłoby to konieczne, gdyż remedium na polskie problemy ustrojowe miałby być zwrot w kierunku semiprezydencjalizmu, a nie odwołanie się do wzoru USA. Brakowi formalnej odpowiedzialności politycznej rządu przed prezydentem towarzyszyłoby zatem dodanie olbrzymiej liczby nowych kompetencji głowie państwa, czyniących z niej oś nowego systemu rządzenia państwem.

Skupienie władzy wykonawczej w urzędzie szefa rządu na kształt rządów premierowskich miałoby mniej konfliktogenny charakter niż semiprezydencjalizm z projektów konstytucji PiS

Jednak co stałoby się w sytuacji, gdyby nowy prezydent skorzystał ze swego prawa i rozwiązał Sejm, a wyborcy odnowiliby mandat większości parlamentarnej, której chciała właśnie pozbyć się głowa państwa? Nie jest to sytuacja ustrojowo-polityczna aż tak bardzo wydumana, bo mamy z nią do czynienia choćby dziś we Francji. Wtedy istniejący konflikt między tymi organami jedynie by się zaostrzył. Innymi słowy, z obu projektów konstytucji PiS nie udało się usunąć tego potencjalnego źródła konfliktu, utrudniającego funkcjonowanie całego aparatu państwa. Nawet dość radykalne zwiększenie uprawnień prezydenta RP nie rozwiązuje tej sytuacji. Dopiero ustanowienie jednego z dwóch niekonfliktowych systemów rządzenia, czyli systemu prezydenckiego lub parlamentarno-gabinetowego, najlepiej w wersji premierowskiej, nawiązującej do systemu kanclerskiego znanego z RFN, dawałoby szansę zbudowania w miarę bezkonfliktowego modelu sprawowania władzy.

W KIERUNKU USTROJU PREMIEROWSKIEGO

Z trafnej konstatacji Kaczyńskiego o upadku III Rzeczypospolitej nie wynika żadna wizja porządku postdemoliberalnego, a on sam chyba uważa się za ostatniego demoliberała w Polsce, choć nostalgicznie wracającego do rozwiązań ustrojowych z 1935 r. Zatem potrzeba uchwalenia nowej konstytucji nie miałaby żadnego uzasadnienia, ponieważ brakuje pomysłu, co miałaby ona zawierać nowego w stosunku do Konstytucji RP z 1997 r.

Z pewnością skupienie władzy wykonawczej w urzędzie szefa rządu na kształt rządów premierowskich byłoby korzyścią dla Polski, mając znacznie mniej konfliktogenny charakter niż semiprezydencjalizm z projektów konstytucji PiS. Tego typu rozwiązanie można osiągnąć bez konieczności uchwalania nowej konstytucji, wystarczyłaby nowelizacja istniejącej ustawy zasadniczej. Wymaganą większość konstytucyjną mogłoby dać, inaczej niż w 1997 r., porozumienie centroprawicy z jakąś częścią obozu liberalno-lewicowego, nawet wbrew zwolennikom progresywnego autorytaryzmu.

To chyba maksimum tego, co po upadku III Rzeczypospolitej – i w ogóle kompromitacji demoliberalizmu – możemy obecnie osiągnąć w zakresie kształtu władzy publicznej w Polsce. Alternatywą byłoby oczekiwanie na pojawienie się niczym deus ex machina samodzielnej większości konstytucyjnej w rękach PiS, ale i tak nie wiadomo, w jaki sposób Kaczyński miałby z tego skorzystać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest ustrojoznawcą.

eprasa.pl 9265260d78

Najgorszy zakup polskiej armii

Piotr Gontarczyk

Kupujemy 96 amerykańskich apache'ów za ponad 10 mld dol. To ponoć najlepsze śmigłowce bojowe na świecie. Potrzebne Polsce jak rybie ręcznik

Stare porzekadło mówi, że generałowie zwykle przygotowują nas do poprzedniej wojny, a na jego zasadność można podać wiele przykładów. W 1940 r. silna przecież Francja przegrała wojnę z Niemcami przez słabą organizację armii, złe koncepcje jej użycia i nieadekwatne uzbrojenie. Elity Paryża nie wyszły jeszcze z okopów wielkiej wojny i umysłowo utknęły na Linii Maginota. „Historia magistra vitae est", więc Polska winna odrabiać lekcje historii na bieżąco. Takie jak tę pt. „Wojna na Ukrainie".

Tu łatwo wskazać wielkiego przegranego. Jest nim rosyjska Flota Czarnomorska. Bezużyteczna, skompromitowana wieloma stratami z okrętem flagowym (krążownik „Moskwa") na czele. Dumę Rosji pokonał kraj, który de facto nie ma marynarki, a zwyciężył dronami i rakietami. Jakie wnioski wyciągnęła z tego Polska? Dalej realizujemy za grube miliardy projekt „Miecznik", którego efektem mają być coraz większe (na papierze) okręty o wyporności już ponoć 7–8 tys. ton. Wymarzony cel dla małego zestawu rosyjskich dronów i rakiet. Nadto okręty te będą zbieraniną systemów i technologii z różnych źródeł, nie ma więc gwarancji, że da się szybko cokolwiek naprawić w wypadku nawet błahych uszkodzeń i awarii. To powtórka z II RP, kiedy zbudowaliśmy bezużyteczną flotę niszczycieli, zamiast wydać pieniądze na sprzęt przeciwpancerny, czołgi czy nowoczesne myśliwce.

Na Ukrainie jest też drugi wielki przegrany. To śmigłowce wszelkich typów. Ukraińskie zostały już chyba zniszczone przy niepowetowanych stratach pilotów, kadry oficerskiej i żołnierzy sił specjalnych. Ponadto każdy już wie, że polskie pioruny i inne proste środki przeciwlotnicze (a nawet przeciwpancerne) zestrzeliwują najnowsze rosyjskie śmigłowce bojowe. Rosja bez widocznych sukcesów straciła ok. 30 proc. posiadanych śmigłowców wartych grubo ponad 1 mld dol.

Znakomitą decyzją Polski była rezygnacja z nikomu niepotrzebnych caracali. Ale teraz apache'e to opcja dużo gorsza. Niebywale droga od początku, trudna do udźwignięcia od strony technologicznej, kosztów zaplecza i utrzymania zdolności bojowej. Dodatkowo po jej realizacji (o wojnie nie ma co mówić) ze względu na zakup od monopolisty będzie tylko przecieranie oczu, jak to wszystko było od początku niedoszacowane przy okazji konieczności zakupu żarówki, bezpiecznika czy łańcucha...

Entuzjaści apache'ów wskazują na ich niezwykłą ponoć skuteczność na polu walki. Ale na którym? Wojna z muzeum Saddama Husajna czy ściganie po górach afgańskich mudżahedinów to dziś książki o historii, a nie choćby wskazówka, jak ten sprzęt sprawdzi się w wojnie z Rosją. Tu i przeciwnik jest inny, i inna jest epoka. Dziś bezzałogowce widzą na polu walki wszystko i to głównie one przejęły wiele zadań śmigłowców bojowych. Ten proces będzie tylko przyspieszał: nowoczesne pojazdy latające, jeżdżące i kroczące różnego typu ze względu na niskie koszty produkcji, wyłączenie kosztownego i niedoskonałego czynnika ludzkiego będą stale uzupełniać, a z czasem zastępować samoloty, czołgi i okręty, także podwodne. Niedługo ich pięta achillesowa w postaci możliwości zagłuszania sygnału sterującego zostanie wyeliminowana poprzez autonomię działania na bazie sztucznej inteligencji. Ale już dziś rachunek wojenny i ekonomiczny jest prosty: apache wart na polu walki kilkadziesiąt milionów dolarów może łatwo przegrać z nieletnim fanem elektroniki, uzbrojonym w komputer, google, joystick i zestaw dronów o wartości kilkudziesięciu tysięcy dolarów.

JAK NIE UCZYĆ SIĘ Z HISTORII

Sprzęt z USA to dobra opcja, ale trzeba wyzbyć się ideologicznych złudzeń i lekceważenia praw ekonomii. Czołgi Abrams miały być najlepsze na świecie. Po krótkim czasie ich użycia w wojnie na Ukrainie straty doszły do 50 proc. stanów posiadania. Owe cuda techniki wycofano z pola walki i są dopancerzane przez Ukraińców tak, żeby się jeszcze do czegoś przydały. O niemieckich leopardach, do których Rosjanie strzelają jak do przysłowiowych kaczek, szkoda nawet pisać. Brytyjski challenger też miał być niezniszczalny. Potem w Internecie ukazał się film, jak eksplodował i rozpadł

eprasa.pl 9265260d78

się na kawałki po trafieniu rosyjskim dronem Lancet wartym ok. 30 tys. dol. Podstawą polskiej artylerii rakietowej stają się dziś wyrzutnie HIMARS, które zrobiły furorę na Ukrainie. Ale to było dawno. Dziś systemy walki elektronicznej przeciwnika zagłuszają zachodni sprzęt na tyle, że celność HIMARS-ów spadła do 10 proc. Tak samo wyeliminowano z pola walki niegdyś siejące postrach kierowane pociski artyleryjskie Excalibur. Dziś też mało użyteczne.

Wojna zawsze była motorem postępu, w pierwszej kolejności w dziedzinie sposobu walki i uzbrojenia. Więc Rosjanie uczą się, improwizują, szukają środków zaradczych. Najpierw swój sprzęt zaczęli wyposażać w dodatkowe ekrany i siatki, by trudniej go było niszczyć z górnej i tylnej półsfery, która jest piętą achillesową współczesnych pojazdów bojowych. Rechot w polskich mediach o „głupich ruskich" i ich „gołębnikach" trwał tygodniami. Chyba do momentu, kiedy takie wyposażenie stało się standardem u Ukraińców, a potem pojawiło się na izraelskich pojazdach w Gazie. Później były medialne hece, że „głupie Ruski" kładą opony na swoich samolotach bojowych na lotnisku. Ucichło, kiedy jakiś specjalista wyjaśnił, że ten prosty zabieg oszukuje zachodnie systemy poszukiwania celów i naprowadzania rakiet, które mają wpisane w pamięci sygnatury rosyjskich samolotów. Po rzuceniu na skrzydła opon sygnatura samolotu zmienia się, więc atak jest mocno utrudniony.

Co z tych nawet podstawowych, wartych śledzenia doświadczeń z wojny na Ukrainie zrozumieli decydenci z Wojska Polskiego? 15 sierpnia 2024 r. odbyła się parada WP. Żaden czołg, transporter czy inny rodzaj sprzętu nie posiadał niezbędnego dziś dopancerzenia czy nawet najprostszych paneli i siatek, które, zmniejszając skuteczność ataku dronów, są dziś standardem na Ukrainie. Przecież dziś to oczywistość, abramsy, K-2, leopardy, kraby, raki i inne rosomaki nie odpowiadają współczesnemu polu walki, ponieważ w czasach, kiedy je projektowano, nie była jeszcze znana ich widoczna dziś słabość w postaci możliwości zniszczenia za pomocą dronów atakujących głównie z tylnej i górnej półsfery.

Rzymianie, życząc komuś sukcesu, mawiali: „Obyś uczył się na cudzych błędach". Po tej paradzie widać, że niczego się nie nauczyliśmy. Wbrew intencjom organizatorów tego widowiska, propagandowej blagi, w której był sprzęt, którego (jak apache'e i F-35) nie posiadamy, pokazano zerową zdolność wojska do szybkiej i niezbędnej adaptacji.

FOT. ADOBE STOCK

NA CO WYDAĆ PIENIĄDZE?

Trudno zrozumieć, dlaczego w kwestii niemądrego zakupu apache'ów milczą znani wybitni generałowie, a także różne specjalistyczne pisma i portale zajmujące się uzbrojeniem i obronnością. W komentarzach przeważają ogólniki i banały na temat „unowocześniania", „zwiększania technologicznej kompatybilności" polskiej armii i inne miazmaty znane z czasów „podwyższania poziomu gospodarki socjalistycznej". Tylko czasem można tu doszukać się delikatnych znaków zapytania, czy to naprawdę najważniejszy zakup, czy racjonalny i czy Polska w ogóle go podźwignie. Pytanie, czy owych generałów stać charakterologicznie na sprzeciw wobec tak złych zakupów i czy te pisma oraz portale specjalistyczne biorą pod uwagę przyszłość polskiej armii czy wyłącznie lobbing i odpłatne kreowanie zakupowych potrzeb. Bo sytuacja z apache'ami wydaje się prosta: mamy do czynienia z największym i proporcjonalnie najgorszym zakupem w historii polskiego wojska. Za pieniądze na 96 śmigłowców Apache (nikt na świecie nie ma ich tyle, poza USA, a większość użytkowników kupiła ich nie więcej niż kilkanaście) można by zaspokoić bardziej palące problemy polskiego wojska: zakup dwóch–trzech nowoczesnych okrętów

eprasa.pl 9265260d78

Znakomitą decyzją Polski była rezygnacja z nikomu niepotrzebnych caracali. Ale teraz apache'e to opcja dużo gorsza

podwodnych wyposażonych w rakiety balistyczne (potencjalne możliwe do uzbrojenia także w broń jądrową) czy zakup systemów aktywnej obrony przeciwpancernej („hard-kill"), który jest w stanie zniszczyć część lecących w kierunku czołgu pocisków przeciwpancernych, a także dronów. Takie (lub zbliżone) systemy są standardem w izraelskich merkavach i tamtejszych bwp, już uzbraja się w nie najnowsze abramsy. W Europie są dziś powoli wprowadzane, a niedługo mogą być one w powszechnym użyciu w sprzęcie rosyjskim (Arena), a jeszcze szybciej w chińskim. Izraelski system tego typu (Trophy) kosztuje ok. pół miliona dolarów. To ułamek ceny samego czołgu i niepoliczalnej wartości życia załogi, a zwiększa szanse przetrwania na polu walki. Lista pilnych wydatków jest długa i obejmuje nawet rzeczy tak banalne jak amunicja do czołgów, amunicja artyleryjska kal. 155 mm i kamizelki kuloodporne chroniące szyję oraz podbrzusze.

Tak to już w historii jest, że tylko kraje kierowane przez głupców lekceważą Rosję i płacą za to wysoką cenę. Dziś to kraj funkcjonujący w trybie wojennym, systematycznie rozbudowujący możliwości przemysłu wojennego, niejako sformatowany do militarnej agresji na Europę. Ostatnio Moskwa zapowiedziała budowę nowych fabryk, w których chce produkować – uwaga! – ponad milion dronów bojowych rocznie. Sankcje i blokady na dostawy nowoczesnych technologii, tak z racji współczesnej łatwości rozprzestrzeniania informacji, jak błyskawicznego rozwoju technologicznego Chin będą nieskuteczne. Rosja uczy się, rozbudowuje przemysł wojenny, przyswaja nowe środki walki i technologie. W perspektywie krótkiego czasu każdego dnia będzie tylko groźniejsza.

DOKĄD ZMIERZA POLSKA?

Jak w wypadku potencjalnego konfliktu z Rosją poradzi sobie polskie wojsko? Za kilka lat czołgi potencjalnego agresora mogą być wyposażone we wspomniane nowoczesne systemy obronne, tym samym odporne na proste systemy przeciwpancerne i ataki dronów. Ponadto do polskich leopardów, K-2, abramsów, haubic czy samodzielnych moździerzy kołowych Rosjanie będą strzelać lancetami mniej więcej tak skutecznie, jak dziś na niektóre z nich polują na Ukrainie. Polskie Wojsko wyraźnie nie zrobiło nic, jak już pisałem, by tę niezwykle niebezpieczną sytuację próbować choćby prostymi środkami zmienić. A słyszał ktoś u nas o konieczności rozpoczęcia produkcji sprzętu pozoracyjnego, który mógłby imitować polski sprzęt na polu walki, powodując marnotrawienie środków ataku i dezorientację przeciwnika?

Z Brześcia do Warszawy nie jest daleko. Zderzenie nawet obecnej rosyjskiej armii z polskimi możliwościami obronnymi może nie zasłużyć nawet na miano „wojny sześciodniowej".

Postęp technologiczny goni w trybie geometrycznym. Roboty, pojazdy bezzałogowe, roje dronów i rozwój sztucznej inteligencji szybko zrewolucjonizują pole walki. Jeśli ktoś nie wierzy, to niech obejrzy na razie testowe ćwiczenia armii chińskiej, w których pojedynczy żołnierze mają do dyspozycji walczące (za nich) maszyny kroczące, drony czy też inne zdalne aparaty podejmujące walkę z piechurami przeciwnika w stosunku 1:1. Cywilizacja 1,5 mld kontrolowanych przez państwo termitów testuje rodzaje broni i koncepcje walki, które Zachód słabo zna albo których nie posiada. Polska w tym kontekście wygląda jeszcze gorzej. Nie sposób odnieść wrażenia, że politycy i generałowie kierujący rozwojem polskiej armii to trochę sytuacja Francji z 1940 r. Tamte „leśne dziadki" też pewnie kupiłyby dziś Polsce apache'e. Historia nie lubi wybaczać aż tak oczywistych błędów. A jakby co, to zostaniemy z tak budowanym wojskiem jak przysłowiowy Himilsbach z angielskim i apache'em w nocniku.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9265260d78

Papież Franciszek zaproponował całemu Kościołowi nową listę grzechów FOT. GRZEGORZ GAŁĄZKA/EAST NEWS

Kościół katolicki przeprasza

Paweł Chmielewski

Kościół katolicki bije się w piersi. Za niewolnictwo, za krucjaty, za inkwizycję, za antysemityzm – do tego jesteśmy już przyzwyczajeni. Do listy „katolickich" grzechów należy dodać teraz sprzeciw wobec imigrantów czy niechęć do „synodalności"

Założę, że prawie wszyscy czytelnicy „Do Rzeczy" byli przynajmniej raz w życiu u spowiedzi, większość może zresztą całkiem niedawno. Wątpię jednak, by ktokolwiek spowiadał się naprawdę „właściwie" – to znaczy zgodnie ze zaktualizowaną właśnie listą „win". Bo czy przepraszali kiedyś państwo za grzechy przeciwko ludności rdzennej? Albo też za grzechy wobec imigrantów? A za grzech używania doktryny katolickiej jak kamienia, którym można uderzyć drugiego? Jeżeli nie – to najwyższy czas się dokształcić. Witamy w katolicyzmie XXI w. Czytelnik wybaczy mi nieco zgryźliwy ton, są jednak takie wydarzenia kościelne, kiedy nic innego zdaje się nie opisywać adekwatnie rzeczywistości.

WIELKI POKUTNY AKT

Teraz mamy z tym właśnie do czynienia: papież Franciszek zaproponował całemu Kościołowi nową listę grzechów. Nawet więcej – nie tylko zaproponował, lecz także zmusił wielu czołowych kardynałów, biskupów i teologów świata, żeby bili się za te grzechy w piersi – i to nawet, jeżeli sami ich w ogóle nigdy nie popełnili.

2 października rozpoczął się w Rzymie „Synod o synodalności", który ma przekształcić funkcjonowanie Kościoła. Całe to wielkie przedsięwzięcie rozpoczęło się jednak już dzień wcześniej od absolutnie bezprecedensowego aktu. W bazylice św. Piotra odbyło się nabożeństwo pokutne pod przewodnictwem samego papieża. Zaproszeni do udziału w nim byli zwłaszcza ludzie młodzi z całego świata, a ponadto uczestnicy synodu, kardynałowie, biskupi i świeccy. Organizatorzy nabożeństwa w specjalnym komunikacie poprzedzającym ceremonię ogłosili, że wzywają do „uznania się za część tych, którzy przez zaniedbanie lub działanie stali się przyczyną cierpienia lub ponoszą odpowiedzialność za zło. Pokutnicy powinni prosić o przebaczenie „w imieniu wszystkich ochrzczonych". Oznacza to, że my wszyscy – pan, pani, autor tego tekstu – zostaliśmy przez Stolicę Apostolską, nolens volens, wciągnięci w ten wielki pokutny akt.

Warto dowiedzieć się, za jakie nasze grzechy bito się w Rzymie w synodalne piersi. Przepraszano zatem za następujące winy: przeciwko pokojowi; przeciwko stworzeniu; przeciwko ludności rdzennej; przeciwko migrantom; za nadużycia seksualne; za grzechy przeciwko kobietom, rodzinie, młodzieży; za winę używania doktryny Kościoła jak kamieni, którymi się ciska; za grzech przeciwko biedzie… i na koniec za grzech przeciwko „synodalności", czyli za „brak słuchania, wspólnoty i uczestnictwa wszystkich".

Czytelnik pamięta może, jak w 2019 r. papież ogłosił, że chce „wprowadzić" do Kościoła nowy rodzaj grzechu, to znaczy

eprasa.pl 9265260d78

„grzech ekologiczny". Towarzyszyła temu bardzo obszerna dyskusja, a sprawę opisywały nawet największe media świeckie. Wówczas to jeszcze dziwiło, dziś nowa, długa lista „grzechów" przechodzi bez większej uwagi, a przecież grzech ekologiczny („przeciwko stworzeniu") jest tylko jej drobnym w sumie elementem.

„WYCHOWAWCZE PRZEPRASZANIE"

Dlaczego papież wprowadza w ogóle tego rodzaju nowe „grzechy"? Narzucenie ich wyznania wszystkim uczestnikom synodu i zachęta do bicia się w piersi przez ludzi młodych nie jest oczywiście żadnym instrumentem oficjalnej zmiany teologii moralnej Kościoła; to raczej akt propagandowy o dużej sile rażenia. W intencji Franciszka i jego zaplecza w Kurii Rzymskiej Kościół katolicki najbliższych dziesięcioleci winien kształtować się niejako w opozycji do tych „grzechów". Innymi słowy, dobrym katolikiem byłby ten, kto ich nie popełnia. Każdy zgodzi się, że przy użyciu pewnej dozy ekwilibrystyki interpretacyjnej dałoby się odczytać powyższą listę zgodnie z tradycyjną nauką Kościoła. Grzechów przeciwko rodzinie niewątpliwie w świecie nie brakuje. Można też wyobrazić sobie różne okrutne formy traktowania migrantów, np. gdyby jakaś wspólnota polityczna zamknęła granicę na ludność sąsiedniego kraju dotkniętego wojną, mimo że miałaby wszelkie narzędzia do tego, by jej sprawiedliwie pomóc. Nie łudźmy się jednak: nie o to w tym wszystkim chodzi. Istotny jest kontekst – a kontekst ten stanowi brutalna walka lewicowej ideologii z tradycyjnym katolicyzmem. Na synodzie rozmawia się np. o rzekomym wykluczeniu kobiet z Kościoła – postuluje się więc wprowadzanie kobiet na wszystkie funkcje kierownicze, dopuszczenie ich do diakonatu, a nawet do kapłaństwa… Tylko w tym kontekście można odczytać „grzech przeciwko kobietom". Podobnie debata synodalna i cały w ogóle pontyfikat Franciszka są pełne piętnowania tych krajów, które nie chcą zgadzać się na lansowaną przez światową lewicę ideę pełnej otwartości granic na napływ obcych kulturowo przybyszów. Nie da się odczytywać „grzechu przeciwko imigrantom" inaczej jak poprzez apel o przyjmowanie każdego i bez żadnych limitów. Czym jest wreszcie „grzech przeciwko pokojowi"? Czy chodzi tu tylko o tych, którzy wywołują wojny? Chyba nie, bo papież Franciszek i wielu wpływowych kardynałów – np. Victor Manuel Fernández czy Robert McElroy – lansują od dłuższego czasu pomysł, zgodnie z którym nie ma w ogóle czegoś takiego jak wojna sprawiedliwa i każdy wysiłek wojskowy należałoby napiętnować jako niegodziwy, nawet jeżeli podejmowany celem odzyskania zagrabionego terytorium. O „grzechu przeciwko synodalności", który polegałby na braku zgody na „uczestnictwo wszystkich", nie będę już nawet pisać; proces synodalny zakłada przecież wsłuchiwanie się nawet w głos zatwardziałych grzeszników i ateistów, jeżeli tylko są ochrzczeni… W sumie można zasadnie podejrzewać, że mamy do czynienia ze swoistym praniem mózgów: próbą przekonania katolickiej społeczności, że jeżeli ktoś broni tożsamości narodowej własnego państwa, stara się ściśle zachowywać katolicką doktrynę czy wierzy mocno w hierarchiczną strukturę Kościoła, to nie jest dobrym katolikiem.

Pomysł „wychowawczego przepraszania" nie jest oczywiście nowy. Kościół katolicki celuje w tym od dobrych kilkudziesięciu lat, nawet jeżeli formy tej dziwnej pedagogiki wstydu są coraz bardziej skrajne. Wszystko zaczęło się od 1960 r., kiedy św. Jan XXIII zmienił modlitwę wielkopiątkową, usuwając w niej wezwanie „za wiarołomnych żydów" – tak, jakby to wspólnota katolicka była winna Holokaustu przeprowadzonego przez pogańskie państwo niemieckie wyrosłe na gruncie rzeczywiście skrajnie antysemickiej teologii, tyle że – protestanckiej. Później było tylko gorzej. Ot, w 1965 r. św. Paweł VI wykonał całkowicie absurdalny gest wobec świata islamu, zwracając władzom Turcji chorągiew bitewną, którą chrześcijanie zabrali z okrętu podczas bitwy pod Lepanto w 1571 r. Za pontyfikatu św. Jana Pawła II gestów korzenia się za „winy Kościoła" była cała masa, wobec wszystkich dookoła: żydów, protestantów, muzułmanów, prawosławnych, ludzkości w ogóle. Kulminowało to w wielkiej „mea culpa" Kościoła wygłoszonej przez papieża i kardynałów 12 marca 2000 r. Jedynie Benedykt XVI nie kontynuował tej „tradycji" z jakąś szczególną pieczołowitością, choć i on przepraszał: głównie za grzechy wykorzystywania seksualnego nieletnich w Kościele, a w tym wypadku można to zrozumieć, bo kajał się za dość ewidentne błędy, do których doszło zresztą za życia jego pokolenia, a nie w zamierzchłej przeszłości. I on pchał jednak naprzód pokutną linię Kościoła posoborowego wobec żydów – i to pomimo tego, że pochodził z tego środowiska w Niemczech, które zdecydowanie sprzeciwiało się polityce NSDAP. Franciszek z kolei w czasie swojego pontyfikatu przepraszał m.in. rdzenną ludność Kanady podczas swojej podróży do tego kraju w 2022 r., choć dobrze wiadomo, że wielka kampania propagandowa obrzucająca Kościół winą za śmierć dzieci w szkołach dla autochtonów była w dużej mierze oparta na zwykłych kłamstwach.

Od Jana XXIII aż do Franciszka mamy w gruncie rzeczy do czynienia z tym samym zjawiskiem: próbą takiego samoponiżenia Kościoła, by stał się akceptowalny dla świata porewolucyjnego. Skoro wolteriańska z ducha krytyka katolicyzmu zarzuca mu krwiożerczość inkwizycji, to przeprośmy. Śmieją się z postawy Kościoła w sprawie Galileusza – uderzmy się w piersi. Oskarżają katolicyzm o immanentny antysemityzm – kajajmy się. Obwiniają Kościół o wspieranie nacjonalizmu – przepraszajmy imigrantów. Mają za złe Rzymowi nieegalitarną hierarchiczność – wyznajmy winy wobec synodalności… Ta wieloletnia już praktyka ponawianej „mea culpa", nakierowanej na zyskanie akceptacji świata, przynosi rzeczywiście konkretne rezultaty: liberalny świat traktuje Kościół z coraz większą pobłażliwością. Dlaczego koryfeusze państwowego ateizmu mieliby tracić siły na zwalczanie wspólnoty, która nieustannie podważa swoją przeszłość i dąży do głębokich zmian podkopujących jej tożsamość? Szkoda wysiłku. Kościół sam się rozbraja i sprawia, że w kategoriach politycznych przestaje być jakimkolwiek godnym zauważenia przeciwnikiem. Nowością pontyfikatu Franciszka jest tylko to, że stara się wszystkich wciągnąć w poczucie winy za nieznane wcześniej kategorie „grzechów". Trudno mieć jednak do papieża Bergoglia szczególne pretensje. W kwestii kajania się za wydumane błędy jest doprawdy wiernym kontynuatorem kilku swoich ostatnich poprzedników.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl 9265260d78

Marcin Skalski

Objawienia w Gietrzwałdzie to cud nie tylko w kategoriach nadprzyrodzonych, lecz także w doczesnej sferze tożsamości narodowej Polaków

Matka Boża mówi do Polaków

Nad niewielkim podolsztyńskim Gietrzwałdem góruje, jak przystało na katolicką Warmię – na „świętą Warmię" – ceglana neogotycka bazylika. Strzelista wieża świątyni wiedzie wzrok wysoko ku górze. Główne wejście do usytuowanego na wzniesieniu kościoła sytuuje się naprzeciwko historycznego budynku założonej w 1878 r. przez Andrzeja Samulowskiego księgarni, pierwszej tego typu polskiej instytucji na Warmii. W połowie wysokości schodów wiodących stamtąd do bazyliki znajduje się zaś miejsce, gdzie w roku 1877 objawiła się Najświętsza Maryja Panna – Królowa Korony Polskiej, Matka Boża.

Objawienie uznane przez Kościół katolicki miało jednak wymiar nie tylko duchowy, lecz także militarny i polityczny. Jest to także główna teza najnowszego filmu Grzegorza Brauna i Włodzimierza Skalika „Gietrzwałd 1877. Wojna światów".

ZMIERZCH POLSKIEJ WARMII

Wiek XIX to okres, w którym polskość tli się jeszcze na południowej Warmii, w tym w Olsztynie. Jak podają źródła niemieckojęzyczne, w roku 1830 radni miejscy nie rozumieli języka niemieckiego. Z kolei, gdy w roku 1866 na okoliczność epidemii cholery w mieście wzniesiono w celach przebłagalnych krzyż, umieszczono na nim polski napis: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas, Panie". „W połowie XIX wieku były to istotnie czysto polskie strony" – pisał prof. Andrzej Wakar. W latach 1836–1865 burmistrzem Olsztyna był Polak Jakub Rarkowski, fundator wspomnianego i do dziś zachowanego krzyża. Nazwisko jego następcy brzmi dla nas nie mniej swojsko – Robert Zakrzewski zawiadywał miastem w latach 1865–1875.

O ile więc północna część Warmii z takimi miastami jak Frombork czy Lidzbark Warmiński jest wówczas etnicznie niemiecka, o tyle południowa część tej leżącej nieco na uboczu wielkich procesów krainy wciąż jest jeszcze przynajmniej częściowo polska. Dotyczy to prowincjonalnych ówcześnie miast: Olsztyna, Barczewa i Biskupca, a w szczególności ok. 300 południowo-warmińskich wsi, gdzie wierni modlą się i wysłuchują po polsku głoszonych z ambony kazań. Swoistemu zakonserwowaniu lokalnej polskości sprzyja pozostawanie – jak pisał prof. Wakar – „niemal w całkowitej izolacji wielkich przemian gospodarczych i społecznych, które przekształcały Europę". Utrzymaniu miejscowej specyfiki, w tym również zachowaniu polskiej mowy, sprzyja fatalny stan lokalnych dróg, dzięki któremu region ten jest praktycznie impregnowany na wpływy zewnętrzne. Kolejne zarządzenia germanizacyjne z lat 1804, 1832 i 1865 nie przyniosły istotnego uszczerbku liczebności polskich Warmiaków ani obszarowi, który zamieszkiwali. Polskość ta jest jednak specyficznie warmińska, nie wiąże się z poczuciem przynależności do narodu polskiego jako większej całości.

Wszystko się zmienia, po pierwsze, wraz z wybuchem wojny prusko-francuskiej w 1870 r. Powoływani do pruskiej armii Warmiacy nagle znajdują się w samym sercu spraw wagi państwowej – w ogniu wojny, w wyniku której pod przewodnictwem Prus udaje się Bismarckowi zjednoczyć Niemcy, w czym – jak twierdzą

eprasa.pl 9265260d78

Figura Maryi w miejscu objawień w Gietrzwałdzie
FOT. ADOBE STOCK

krytycy zrywu – niemałą „zasługę” miało wcześniej polskie powstanie styczniowe. Tymczasem wracający z frontu członkowie lokalnych społeczności włączają ogół swoich rodzin i sąsiadów w bieg spraw, o które bili się w pruskim mundurze i o których opowiadają teraz pozostałym mieszkańcom swych miejsc zamieszkania. Konflikt z Francją to także „ich”, Warmiaków, wojna.

Drugim kamieniem milowym jest gwałtowny rozwój kolei żelaznych w Prusach Wschodnich w latach 70. XIX w. Prowincjonalny Olsztyn staje się częścią wielkiego wszechniemieckiego krwiobiegu, docierają tu przedstawiciele niemieckiej biurokracji oraz urzędnicy kolejowi, a później także zasilający lokalny garnizon żołnierze – a więc grupy będące emanacją zjednoczonego krwią i żelazem Cesarstwa Niemieckiego. Sam Olsztyn staje się ważnym węzłem kolejowym. Awans społeczny coraz ściślej wiąże się z germanizacją, a język niemiecki wypiera polszczyznę z jednej strony w wyniku emigracji ludności niemieckiej do miast dotychczas polskiej Warmii, a z drugiej – dzięki szkolnictwu powszechnemu w tym języku. Odpowiada to także przyszłym potrzebom miejscowej administracji, która od tego czasu podlega odpolszczaniu.

Niemiecki jest też coraz intensywniej wprowadzany do katolickich świątyń jako język kazań. W procesie edukacji szkolnej polszczyzna odgrywa z kolei rolę języka wykładowego jedynie w nauce religii i to właśnie zamach na katechezę po polsku powoduje mobilizację Warmiaków. Wiece w obronie religii wykładanej w mowie ojczystej organizowane są m.in. w Olsztynie czy też w miejscu urodzenia kompozytora Feliksa Nowowiejskiego – w Barczewie. Mimo tego los miejscowej polskości wydaje się przesądzony.

MATKA BOŻA PRZEMAWIA PO POLSKU

„Do Gietrzwałdu zaczęły ciągnąć corocznie tysiące pielgrzymów katolickich, głównie – rzecz oczywista – ze stron polskich. Pielgrzymi ci byli bezwiednie emisariuszami polskimi na Warmii, uprzytamniali jej mieszkańcom, że są szczepem wielomilionowego ludu, mówiącymi tym samym co oni językiem” – czytamy w monografii legendarnej „Gazety Olsztyńskiej” (autorzy: prof. Andrzej Wakar, prof. Wojciech Wrzesiński), ukazującego się w latach 1886–1939 czasopisma dla katolickiej polskiej ludności Warmii.

Tymczasem to właśnie wydawanie polskiej gazety było ukoronowaniem dotychczasowych procesów emancypacyjnych, które rozpoczęły się wraz z obroną katechez wykładanych w szkołach po polsku.

Już w premierowym numerze „Gazety Olsztyńskiej” objawienia w Gietrzwałdzie zostały natomiast uznane za kamień węgielny procesu obrony polszczyzny, którą na łamach pisma nazwano „językiem, którym Najświętsza Panna raczyła przemawiać w warmińskim Gietrzwałdzie”. Od pewnego momentu winietę gazety zdobi dewiza: „Ojców mowy, ojców wiary brońmy zgodnie: młody, stary”. Cud w Gietrzwałdzie staje się nie do przecenienia dla rozwoju polskiej świadomości narodowej na Warmii.

Co było treścią objawień? – Na polecenie proboszcza Szafryńska zapytała Najświętszą Pannę: „Czego żądasz Matko Boża?” i otrzymała odpowiedź: „Życzę sobie, abyście codziennie odmawiali Różaniec” – relacjonował w stulecie objawień bp Jan Obłąk. Istotnie jednym z głównych przesłań Matki Zbawiciela było wezwanie wiernych do modlitwy. – Jeśli ludzie gorliwie będą się modlić, wówczas Kościół nie będzie prześladowany, a osierocone parafie otrzymają kapłanów – mówi z kolei Maryja podczas jednej z kolejnych ekstaz doświadczanych przez Justynę Szafryńską i Barbarę Samulowską, które dowiadują się też, że Kościół w Polsce zostanie uwolniony od prześladowań.

Wizjonerki słyszą także wezwanie skierowane do pary wiernych, która chce się dowiedzieć za pośrednictwem dziewcząt, jak zachować dobre zdrowie. W odpowiedzi słyszy, że ma się modlić i zaprzestać picia wódki. To wezwanie biorą sobie do serca także inni wierni. „Wszyscy wyrzekają się tu wódki i przyrzekają zawsze modlić się na różańcu” – pisze później ówczesny proboszcz w Gietrzwałdzie, ks. Augustin Weichsel. Niemieckie pochodzenie kapłana nie przeszkadza mu sumiennie wypełniać obowiązków duszpasterza, za co później będzie represjonowany przez władze, które zarzucają mu przyczynianie się do rozkwitu polskości. Do rangi symbolu zdaje się urastać to, że nazwisko księdza to niemiecka nazwa królowej polskich rzek – jakby Niebo chciało dać do zrozumienia, że to katolicyzm może pogodzić Polaków i Niemców, wyposażając niemieckiego opiekuna objawień w symboliczny pierwiastek polskości.

Łącznie Maryja ukazuje się w Gietrzwałdzie ponad 160 razy, niemal codziennie od 27 czerwca do 16 września, a od 24 lipca trzy razy dziennie. Objawienia Matki Bożej, która przemawia wszak po polsku, organizują przy tym zbiorową wyobraźnię Warmiaków tak bardzo, że rozpowszechnia się też wiara w wolę „Pięknej Pani” zachowania tej ziemi polską. Co więcej, grzeszyć ma ten, który polskiej mowy się wyrzeka. „I kiedy się pomyśli, że Matka Boska, jako królowa nasza, pojawiła się w tym zakątku ziemi polskiej, gdzie już nikt polskości się nie domyślał, jakby sama oznaczyć chciała granice tego państwa swojego” – pisał o objawieniach ks. Walerian Kalinka.

Tymczasem napływ pielgrzymów z różnych ziem polskich uświadomił Warmiakom, że są częścią dużego, zamieszkującego różne strony zaborczych kordonów narodu. Zdali sobie sprawę, że język,

eprasa.pl 9265260d78

którym się na co dzień posługują, w którym się modlą i słuchają kazań, to także mowa ojczysta dużej i ponadlokalnej społeczności. Jak pisał prof. Janusz Jasiński: „Warmiacy mogli się naocznie zorientować w geograficznym rozmieszczeniu polskiej ludności, co dla ich rodzącej się świadomości narodowej stanowiło istotny element. Spotkania w Świętej Lipce zostały uzupełnione znacznie szerszymi, obejmującymi całość ziem polskich, manifestacjami religijnymi i w coraz większym zakresie patriotycznymi”. Na łamach „Kuriera Poznańskiego” w 1895 r. Ignacy Danielewski pisze z kolei: „To dało Warmiakom sposobność do przekonania się, iż Polacy należą do wielkiego na szerokim kawale licznie rozsiadłego narodu”.

W istocie na Warmii toczy się nierówna i dotychczas beznadziejna z polskiej perspektywy „wojna światów” – polskiego i niemieckiego, ten pierwszy nie ma nawet oparcia w państwie macierzystym, bo Polski jako samodzielnego bytu politycznego nie ma od 1795 r. Na samej Warmii nie ma już zaś nawet nikogo, kto pamiętałby przynależność tej krainy do Polski, wszak została ona zagarnięta przez Prusy w roku 1772, już podczas pierwszego rozbioru Rzeczypospolitej. Świat niemiecki dysponuje przy tym całą machiną państwową, by polskość zwalczać. Mimo to w 1877 r. prusko-niemieckie władze wydają się zaskoczone wielotysięcznym ruchem pielgrzymkowym i nie podejmują żadnych działań. Rok później lokalne władze zobowiązują mieszkańców Gietrzwałdu do informowania o zamiarze przenocowania pielgrzyma 24 godziny wcześniej, jednak liczebność napływających do miejsca objawień tłumów uczyniła to zarządzenie martwym. W 1880 r. naczelny prezydent Prus Wschodnich Karol Horn wydaje polecenie lokalnym landratom, by pielgrzymi obowiązkowo byli wyposażeni w paszport wraz z wizą uzyskaną w niemieckiej ambasadzie w Petersburgu. Horn zwraca się do swojego odpowiednika dla Prus Zachodnich, urzędującego w Gdańsku Ernsta Hauera, o podjęcie analogicznej decyzji. Na nic się to jednak zdaje, a ruch pątniczy zostaje zahamowany w niewielkim stopniu.

Miejsce objawień w Gietrzwałdzie
FOT. ADOBE STOCK

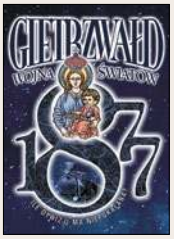

GRZEGORZ BRAUN
„GIETRZWAŁD 1877. WOJNA ŚWIATÓW”
2024

Niemcy są zaniepokojeni peregrynacjami do Gietrzwałdu, obawiając się rozrostu wpływów polskich. Ich obawy nie są bezpodstawne. „Przede wszystkim już fakt, że rozeszła się wiadomość o Matce Boskiej, która rozmawiała z dziećmi polskimi po polsku, miał kolosalną wymowę. Oznaczało to, że językiem polskim nie należy gardzić, skoro posługują się nim moce ponadziemskie. Działało to na uczucie i wyobraźnię […]. Tak więc Warmiacy mieli świadomość, że najwyższy boski autorytet uznaje wartość języka polskiego. Od tego miejsca mały już krok do zrozumienia i utożsamienia się z narodem polskim” – twierdził prof. Janusz Jasiński.

Z kolei według ks. Władysława Chodkowskiego „Warmiacy przekonali się, że polski naród jest bardzo liczny, że nawet miał swoich własnych królów”. Objawienie się Matki Bożej w Gietrzwałdzie to zatem cud nie tylko w kategoriach nadprzyrodzonych, lecz także w doczesnej sferze tożsamości narodowej Polaków.

MARYJA RATUJE POLAKÓW

Tymczasem jednak koleje żelazne, które – jak wcześniej wspomniano – stały się na Warmii jednym z impulsów germanizacji, zapoczątkowują inny, tym razem zbawienny w skutkach proces, którego zaczynem jest oczywiście cud w Gietrzwałdzie.

Wątek ten wieńczy najnowszy film Grzegorza Brauna i Włodzimierza Skalika, który ma konstrukcję opowiadanej dwutorowo narracji. Jedna z nich, druga obok samych objawień, dotyczy potencjalnego teatru wojennego w Europie, w tym planów wojennych Niemiec w burzliwym 1877 r. Ich dojście do skutku, jak głosi teza filmowego dzieła, miałoby dla sprawy polskiej skutek nie mniej zgubny niż wcześniejsza prowokacja w postaci powstania styczniowego. Jakie były to plany i dlaczego właśnie ówczesne Prusy Wschodnie wraz z Warmią odgrywały w nich kluczową rolę, szczegółowo wyjaśniają w swoim filmie Braun ze Skalikiem.

Gietrzwałdzki cud był więc nie tylko pojawieniem się przemawiającej po polsku Matki Bożej w życiu wiejskiej społeczności Gietrzwałdu, lecz także miał uratować cały polski naród przed poddaniem się kolejnej ruchawce na życzenie zagranicznych potęg. Zamiast tego doszło do moralnej odnowy narodu, powstania bractw trzeźwości, Polacy chwycili za różaniec, który miał okazać się bronią silniejszą od armat i karabinów. Popowstańczy marazm po roku 1864 został przezwyciężony także demografią, Polaków zaczęło wyraźnie przybywać. Braun i Skalik nie mają wątpliwości – gietrzwałdzka ingerencja Matki Bożej w dzieje Polski odniosła skutek w postaci oszczędzenia naszemu narodowi poniesienia bezsensownej ofiary. Cud w postaci objawienia „Pięknej Pani” miał więc wymiar wielopłaszczyznowy.

Stojąc u progu dawnej gietrzwałdzkiej księgarni Andrzeja Samulowskiego, ruszamy więc schodami ku drzwiom wejściowym miejscowej bazyliki. Pnąc się ku górze, mijamy po drodze kapliczkę w miejscu ukazania się Matki Bożej. Trudno oprzeć się przekonaniu, że droga Polaków ku najwyższym celom wciąż wiedzie przez Maryję.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9265260d78

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Żenująca kapitulacja

Po całkowitej klęsce powstania warszawskiego, 2 października 1944 r. wieczorem, doszło do całkowitej kapitulacji. To sprawa ogólnie znana, natomiast warto zapoznać się z notatką z rozmowy przeprowadzonej dwa dni później przez gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora" i płk. dypl. Kazimierza Osmeckiego „Iranka" z gen. Erichem von dem Bachem. Rozmowę zaprotokołował kpt. Alfred Korczyński „Sas" jako tłumacz polskiej delegacji. Uwagę zwraca uniżony ton gen. „Bora" (potwierdzeniem tego jest również zdjęcie „Bora", który przesadnie kłania się von dem Bachowi).

Wtedy być może zrozumiałe, ale dziś rażące słowa „Bora" do Niemca: „Oświadczyłem v. dem Bachowi, że przyjechałem podziękować mu za sposób, w jaki zostały przeprowadzone pertraktacje […], i postawę, jaką zajął w stosunku do AK – a w szczególności zaś za przychylne potraktowanie ludności cywilnej…". A przecież wiadomo było, że Niemcy do ostatniej chwili rozstrzeliwali jeńców powstańców i jak postępowali z ludnością cywilną. Była ona palona żywcem, pędzona przed niemieckimi kolumnami pacyfikacyjnymi jako „żywe tarcze". Generał „Bór" tego w ogóle nie podniósł, jak również nie wystąpił z postulatem ochrony jeńców i cywilów!

Von dem Bach chciał uzyskać obietnicę, że AK będzie od tej pory bardziej uległa wobec Niemców. Takiego zobowiązania „Bór" nie złożył, ale stwierdził, że „władze wojskowe niemieckie" nie będą miały ze strony AK specjalnie dużo trudności […]".

Najważniejsze zaś z dzisiejszego punktu widzenia jest pytanie von dem Bacha, jaki był cel powstania. Stwierdził on, że rozumie samą wolę walki z Niemcami, ale dziwił się, dlaczego wybuchło ono w takiej właśnie chwili – z jego punktu widzenia korzystnej dla bolszewików. Uznał, że było to dla Polaków wojskowe samobójstwo. I stwierdził, że jednak rozumie naszą sytuację, z której nie było korzystnego wyjścia.

Generał „Bór" odpowiedział, że był przygotowany ze swymi żołnierzami na śmierć na polu bitwy (choć przecież żadnego udziału w walkach nie brał). „Jeśli stało się inaczej, to zasługę tego ponosi v. dem Bach"… Dziś brzmi to bardzo patetycznie, ale też świadczy o mentalności dowódcy AK, który przecież powinien w tej sytuacji zachować się i wypowiadać zupełnie inaczej. Miał przecież naprzeciwko siebie zbrodniarza wojennego – ludobójcę z formacji Waffen-SS, a nie np. Wehrmachtu. Był on też inicjatorem (już jesienią 1939 r.) założenia obozu koncentracyjnego w Auschwitz. Przypisuje mu się śmierć ponad 200 tys. ludzi.

W rozmowie pokapitulacyjnej z von dem Bachem nie powinno być żadnej kurtuazji. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Bitwa pod Kiesią

Za najbardziej łotewskie z miast uchodzi Cēsis, które do polskiej historii przeszło pod bardziej swojskim mianem Kieś. Obecnie liczy nieco ponad 18 tys. mieszkańców i zachwyca swoim położeniem. Znajduje się bowiem na terenie Parku Narodowego Gauaja, a rzeka przepływa pomiędzy wysokimi wzgórzami przypominającymi miejscami klify. Jadąc do Kiesi, miałem wrażenie, że tutejsze lasy nie zmieniły się od stuleci i nadal aktualna jest opinia Gustawa Manteuffla sprzed ponad wieku, który zachwycał się „kolorytem krajobrazu jasnym i dziwnie łagodnym", a do tego „powietrzem przesyconym wonią sianożęcia i borów".

Najważniejszym powodem przywiązania Łotyszy do miasta jest to, że to właśnie stąd mają pochodzić barwy narodowe kraju: czerwono-biało-czerwone. Podobno jest to pamiątka po bohaterskim królu (czy raczej naczelniku plemiennym) Liwów czy Łatgalów, który zaciekle bronił się przed Zakonem Kawalerów Mieczowych. Ranny wykrwawił się na białe płótno, a jego poddani mieli ponieść dalej tę zaimprowizowaną chorągiew, która z czasem stała się flagą narodową. Ile jest w tym prawdy, nie wiadomo, ale Łotysze są bardzo przywiązani do swoich barw i chętnie je eksponują.

To właśnie pod tym miastem 21 października 1578 r. polska husaria w przymierzu ze szwedzką piechotą rozbiła siły rosyjskie. To rzadki przypadek współdziałania, który niebawem poszedł w niepamięć, a kulminacją wojen polsko-szwedzkich był tragiczny potop w połowie XVII w.

Najważniejszym zabytkiem miasta są zabezpieczone ruiny zamku, który pamięta czasy zakonu inflanckiego. Będąc w mieście, warto zajrzeć również do gotyckiego kościoła św. Jana służącego obecnie luteranom. To najstarsza zachowana budowla w Kiesi, która kiedyś była siedzibą biskupa inflanckiego, którego diecezja istniała do 1798 r. W jej wnętrzu zachowały się interesujące polonika świadczące o przynależności miasta do Rzeczypospolitej. Jednym z jest epitafium bp. Ottona Schenkinga, który otrzymał inwestyturę z rąk Zygmunta III Wazy, natomiast drugim jest nagrobek jego poprzednika, Andrzeja Nideckiego. Trudno nie oprzeć się refleksji, że chociaż miasto położone jest o ponad 700 km od Warszawy, to jednak kiedyś znajdowało się w granicach państwa polsko-litewskiego. Wprawdzie wszyscy pamiętamy, że przed wiekami granice naszego kraju rozciągały się daleko na wschód i północ, ale dopiero gdy staniemy przed nagrobkiem, to w pełni uświadomimy sobie, jak ogromne było państwo naszych przodków. ©℗

eprasa.pl 9265260d78

Mobilizacja czy „łapanka”?

Do końca 2024 r. rząd ukraiński planuje wysłać poborowym (czyli obywatelom objętym obowiązkiem służby wojskowej) 900 tys. wezwań do wojska

FOT. ANASTASIIA SMOLIENKO/UKRINFORM/EAST NEWS

Maciej Pieczyński

Nie wszyscy Ukraińcy chcą ginąć na froncie. Kijów tymczasem potrzebuje coraz więcej żołnierzy do walki z agresorem. Zamiast mobilizacji nad Dnieprem rośnie desperacja. A zarazem frustracja – zarówno obywateli, jak i władz

Niedawno w kijowskim Pałacu Sportu koncertował Okean Elzy – jeden z najpopularniejszych ukraińskich zespołów pop-rockowych. W ten sposób świętował swoje 30-lecie. Wielka gwiazda tamtejszej sceny. Występ ten został zapamiętany bynajmniej nie z artystycznych powodów. Było oczywiste, że posłuchać Światosława Wakarczuka przyjdą setki nie tylko fanek, lecz także fanów. Dlatego pod Pałacem czekało ok. 50 funkcjonariuszy Terytorialnego Centrum Uzupełnień i Pomocy Socjalnej (TCK) oraz policji. TCK to odpowiednik polskiego WKU. Funkcjonariusze legitymowali mężczyzn, część z nich zatrzymano. Sytuację opisali obecni na miejscu ukraińscy dziennikarze z „Ukraińskiej Prawdy” czy telewizji TSN. Nie wszyscy legitymowani reagowali spokojnie. Niektórzy stawiali czynny opór. Andrij Smolij z TSN opublikował na Telegramie nagranie, na którym jeden z zatrzymanych szarpie się z funkcjonariuszami i krzyczy, że został „nielegalnie zatrzymany”, w tle zaś słychać okrzyk: „Hańba policji!”.

Poproszony przez media o komentarz w tej sprawie lider zespołu (a zarazem polityk, założyciel partii Głos), Światosław Wakarczuk, odmówił. Trudno się dziwić. Zajęcie stanowiska w tej sprawie byłoby ryzykowne dla popularnego artysty. Nie wypada mu krytykować władz za starania na rzecz mobilizacji ani bronić uchylantów (tak na Ukrainie nazywa się tych, którzy uchylają się od służby wojskowej). Jednakże coraz więcej ludzi jest zmęczonych wojną, coraz mniej mężczyzn chce umierać na froncie za swój kraj. Dlatego też jednoznaczne potępienie zatrzymanych z pewnością spotkałoby się z oburzeniem wśród fanów gwiazdora.

RAJDY PO KLUBACH I CENTRACH HANDLOWYCH

Pałac Sportu w Kijowie nie był jedynym miejscem, w którym pracownicy TCK przeprowadzili masową kontrolę. Tego samego wieczoru – 11 październi-

eprasa.pl 9265260d78

ka – przeprowadzono „rajd po klubach nocnych w różnych miastach". To mocne sformułowanie nie zostało zaczerpnięte z kremlowskiej propagandy. Bynajmniej. O „rajdach" pisze Ołena Kuźmycz, dziennikarka telewizji TSN. TCK skontrolowało restauracje w Charkowie i Kijowie, kluby nocne i inne miejsca wieczornej rozrywki w Chmielnickim, Dnieprze czy Białej Cerkwi. Z kolei w serwisie OLX młodzi Ukraińcy zaczęli masowo wyprzedawać bilety na kolejne koncerty Okeanu Elzy.

„Rajdy" odbywały się również w centrach handlowych, barach czy siłowniach. We Lwowie – jak informuje Radio Swoboda – patrol TCK w poszukiwaniu poborowych zawitał nawet na wesele. Nie obyło się bez przepychanek i zatrzymań. Oddział TCK w obwodzie kijowskim w oficjalnym komentarzu przypomniał, że podobnego rodzaju kontrole przeprowadzane są od momentu wejścia w życie nowej ustawy mobilizacyjnej.

Do końca 2024 r. rząd ukraiński planuje wysłać poborowym (czyli obywatelom objętym obowiązkiem służby wojskowej) 900 tys. wezwań do wojska. Jeśli listonosz nie zastanie adresata, to zostawi awizo. Czas na odbiór wezwania z najbliższej poczty to zaledwie trzy dni. Jeśli wezwanie nie zostanie skutecznie doręczone, to adresat ma być ukarany mandatem w wysokości od 17 do 25,5 tys. hrywien. O jego nałożeniu decydować będzie TCK. W razie niespłacenia grzywny zasądzona kwota będzie ściągana z rachunków bankowych. Każdy mężczyzna w wieku poborowym jest zobowiązany poinformować lokalne TCK o swoim miejscu przebywania, a także podać aktualne dane kontaktowe. To jednak nie oznacza automatycznego wezwania do wojska. Do zaktualizowania danych została uruchomiona specjalna aplikacja Reserve+. Wojsko za jej pomocą zbiera aktualne informacje o tym, ilu jest mężczyzn w wieku poborowym i gdzie w danym momencie przebywają. Podczas „rajdów" funkcjonariusze TCK spisywali mężczyzn i sprawdzali, czy są zarejestrowani we wspomnianej aplikacji. Niemniej sama kontrola wywoływała popłoch – wśród legitymowanych znaleźli się i uchylanci.

Głośny był również przypadek pewnego znanego ukraińskiego przedsiębiorcy. Dyrektor generalny producenta okien, firmy Steko z Dniepra, Serhij Położaj, podczas „obławy" został wylegitymowany w parku. Do mediów społecznościowych trafiło wideo, na którym widać, jak Położaj awanturuje się z funkcjonariuszami TCK. „Jestem dyrektorem w firmie, w której pracuje 1760 osób, a ty jesteś żołnierzem. Wypier….j!" – oburzał się Położaj. Później ostro skrytykował funkcjonariuszy w mediach społecznościowych. Przekonywał, że próbowali go zatrzymać, choć ma odroczenie od służby wojskowej ważne do 1 listopada. TCK wydało z kolei oświadczenie o „haniebnym i bezprawnym zachowaniu" przedsiębiorcy.

OŻYWIONA DEBATA

O ile w pierwszym okresie wojny ukraińska opinia publiczna jednoznacznie potępiała „uchylantów", o tyle obecnie sytuacja znacząco się zmienia. Deputowany do Rady Najwyższej z ramienia opozycyjnej partii Solidarność Europejska Mykoła Kniażycki uważa, że kontrole TCK są „zagrożeniem dla ukraińskiej kultury". „Rozumiem, kiedy TCK sprawdza dokumenty przed drogimi restauracjami i sklepami. Popieram to. Musi być w społeczeństwie sprawiedliwość i równość" – napisał na Facebooku współpracownik Petra Poroszenki. Dodał jednak: „Ale masowe obławy na koncertach ukraińskich wykonawców to świństwo, ukierunkowane zarówno przeciwko ukraińskiej kulturze, jak i przeciwko ukraińskiej armii. Nie dziwcie się potem, że słychać rosyjską popsę [rosyjska muzyka popularna – przyp. red.] i język na ulicach Kijowa, nie dziwcie się pojawieniu się zdrajców i kolaborantów oraz zwiększeniu liczby uciekinierów przez Cisę" (chodzi o górską rzekę w Karpatach na granicy Ukrainy z Rumunią i Węgrami, przez którą Ukraińcy uciekają do Unii Europejskiej).

Innego zdania jest deputowany do Rady Najwyższej z prezydenckiej partii Sługa Narodu Mykyta Poturajew. W jego opinii takie kontrole nie są zagrożeniem ani dla kultury, ani dla gospodarki. „Co więcej, uważam, że takie kontrole powinny być bardzo dokładne i częste" – stwierdził.

Na Ukrainie trwa ożywiona debata na temat „łapanek". Wiadomo, że jest to temat bardzo delikatny i kontrowersyjny. Z jednej strony, Ukraina potrzebuje żołnierzy. Z drugiej strony, nie potrzebuje wzrostu niezadowolenia społecznego ani fali uciekinierów, ukrywających się na Zachodzie przed mobilizacją. Media również mają z tym problem. Jak wyważyć proporcje między cenzurą wojenną a prawdą? Nie sposób milczeć na temat problemu, który żywo jest komentowany w mediach społecznościowych i budzi ogromne emocje. Irina Sieriebriakowa, dramaturg z Kijowa, napisała w tym roku sztukę dokumentalną „Mężczyźni w świetle dnia". Tekst można było usłyszeć podczas festiwalu rosyjskojęzycznej dramaturgii niezależnej Echo Lubimowki w Warszawie na początku października. Sztuka jest zapisem realnych wypowiedzi Ukraińców, którzy unikają mobilizacji. Są przerażeni perspektywą pójścia na front. Wśród bohaterów jest homoseksualista – na tyle zdesperowany, że przespałby się z kobietą czy nawet ożeniłby się, byle to pomogło mu uciec z kraju. Podczas dyskusji wokół tej sztuki w ramach festiwalu reżyser czitki (czitka to publiczne czytanie tekstu – rodzaj spektaklu), Ukrainka zresztą, przyznała, że choć temat strachu przed mobilizacją jest w jej kraju powszechnie omawiany i że choć chciałaby, żeby sztuka została wystawiona również na Ukrainie, to w tej chwili trudno to sobie wyobrazić.

Z obawy o to, w jaki sposób media będą opisywać „łapankę", głos zabrała ukraińska Radia Radiofonii i Telewizji. Wezwała mianowicie dziennikarzy do „poprawnego i profesjonalnego przedstawiania tematyki mobilizacji oraz działalności TCK na tle propagandy rosyjskiej". „Ważne, aby (ukraińskie) media odróżniały prawdziwą informację od rosyjskich wrzutek oraz podawały informacje pochodzące wyłącznie z oficjalnych i wiarygodnych źródeł. Jest to ważny aspekt obrony bezpieczeństwa narodowego" – czytamy w oświadczeniu Rady. Chodzi o to, że Rosja próbuje sformułować w społeczeństwie ukraińskim „negatywny stosunek do procesu mobilizacji", próbuje „demonizować TCK i jej pracowników". Rada zaapelowała również, by powstrzymywać się od emocji przy opisywaniu „jakiejś budzącej kontrowersje sytuacji". Ponadto pouczono dziennikarzy, że „większość informacji o nieprzyjemnych faktach pochodzi z mediów społecznościowych, gdzie

eprasa.pl 9265260d78

trudno zweryfikować nie tylko sam fakt, lecz także, a nawet tym bardziej okoliczności wydarzenia, szczególnie biorąc pod uwagę aktywność wroga".

CISA NICZYM RUBIKON

Wspomniana przez Kniażyckiego rzeka Cisa po wybuchu wojny stała się newralgicznym punktem na mapie nie tylko kraju, lecz także mentalności jego obywateli. To wręcz symbol, niczym Styks albo Rubikon. Wielu Ukraińców ryzykowało utratę życia, płynąc wpław przez tę rzekę, byle uciec z kraju i uniknąć ryzyka utraty życia na froncie. Niedawno dziennikarze polskiego portalu PostPravda nakręcili reportaż z tego miejsca. Ukraińscy pogranicznicy pokazali im miejsce, w którym często „uchylanci" próbują uciec z kraju. Rzeka ma tam ok. 40–50 m szerokości. Jesienią głęboka jest na 2 m, latem płytsza. Nurt jest jednak dość szybki, a dno – pokryte ostrymi kamieniami. Od początku pełnoskalowej inwazji Rosji w wodach Cisy utonęło ponad 40 osób. Do wypadków śmiertelnych najczęściej dochodzi w nocy, gdy mężczyźni nie widzą ostrych kamieni na dnie rzeki. Pogranicznik Andrij w rozmowie z PostPravda.info opowiada przypadek uciekiniera, który próbował przekroczyć granicę w miejscu, gdzie znajdują się wysokie, strome klify. Na widok funkcjonariuszy Państwowej Służby Granicznej zaczął biec w stronę rzeki. Nie zauważył stromego urwiska i upadł z dużej wysokości.

Uciekinierzy nie zawsze działają w pojedynkę. „Wycieczki" do Rumunii organizują często przemytnicy. Za pomoc w przekroczeniu granicy biorą po kilka tysięcy dolarów. To o tyle kuszące, że przecież po przekroczeniu granicy Ukrainiec praktycznie z miejsca staje się uchodźcą wojennym. Uciekinierzy wykazują się nie tylko desperacją, lecz także pomysłowością. Niedawno głośny był przypadek spawacza, który remontował most na przejściu granicznym nad Cisą. Po kryjomu zrobił dziurę w konstrukcji, przez którą przez nikogo niezauważony przeszedł na Węgry.

Nie tylko forsowanie Cisy wymaga pomysłowości. W ubiegłym tygodniu Państwowa Służba Graniczna zatrzymała grupę mężczyzn, którzy próbowali przekroczyć granicę z Węgrami w dość niecodzienny sposób – za pomocą

„Rajdy" funkcjonariuszy w poszukiwaniu tzw. uchylantów odbywają się m.in. w centrach handlowych, barach czy siłowniach FOT. HROMADSKE TV

dywanu. A dokładniej: chcieli pomóc jednemu z nich, który akurat jest w wieku poborowym i grozi mu mobilizacja, uciec z kraju. Planowali narzucić dywan na drut kolczasty i w ten sposób zabezpieczyć zainteresowanemu przejście na drugą stronę. Pogranicznicy zatrzymali na gorącym uczynku „narzędzie zbrodni" – dywan – oraz cztery osoby, w tym niedoszłego uciekiniera, dwóch jego kolegów oraz przemytnika. Ten ostatni skasował 6 tys. dol. za pomoc w ucieczce.

Sytuacja Ukrainy staje się coraz trudniejsza. Latem tamtejsze Ministerstwo Obrony informowało, że odroczony został pobór do wojska aż 615 tys. osób. Najczęściej dotyczy to branży energetycznej. 9 października Rada Najwyższa zwolniła z mobilizacji mężczyzn między 18. a 25. rokiem życia, podlegających obowiązkowi służby wojskowej. „W końcu to zrobiliśmy! Długo się o to starałem, mobilizowanie dzieci to hańba" – skomentował w mediach społecznościowych Ołeksij Honczarenko, parlamentarzysta Solidarności Europejskiej. Tej ustawie sprzeciwiały się ukraińskie Ministerstwo Obrony oraz Sztab Generalny. Wojskowi argumentowali, że ograniczenie mobilizacji zmniejsza zdolności obronne kraju. Jednak władza musi się liczyć z nastrojami społecznymi. A te są coraz bardziej niechętne przymusowej mobilizacji. Na froncie nie widać znaczących zmian na korzyść Kijowa. Atak na obwód kurski nie stał się przełomowym momentem tej wojny, nie spowodował odciążenia Donbasu, gdzie rosyjska ofensywa odnosi kolejne sukcesy. Z jednej strony, Ukraińcy coraz bardziej zdają sobie sprawę z tego, że wojnę trudno będzie wygrać, odzyskując wszystkie okupowane tereny. Są też coraz bardziej zmęczeni wojną. W tej sytuacji nieszczególnie rwą się w kamasze. Z drugiej strony, żołnierze na froncie są potrzebni. Stąd intensyfikacja „łapanek".

Ukraińskie media jeszcze nie nawołują do rozmów pokojowych. Ale coraz śmielej krytykują sposób prowadzenia wojny. „Obława na koncercie zespołu Okean Elzy była następstwem klęski mobilizacji oraz postawy niemałej części ludności, która nie chce bronić swojego kraju" – gorzko konstatuje działacz społeczny Borysław Bereza na swoim koncie na Telegramie. Rostysław Pawlenko z Solidarności Europejskiej oskarża władze, że „rajdami" TCK na koncerty próbują odwrócić uwagę od zdobycia przez Rosjan Wuhłedaru. Tego typu zarzut pojawiał się już zresztą w ukraińskich mediach opozycyjnych wielokrotnie. Ekipa Zełenskiego winę za niepowodzenia na froncie już od dawna próbuje zrzucić, na kogo tylko się da. Albo na zachodnich (w tym polskich) sojuszników, którzy niewystarczająco pomagają, albo – i to bardzo często – na uchylantów, zdrajców, kolaborantów, dezerterów. „Mobilizacja przez busyfikację nie działa" – pisze wprost aktor, wolontariusz oraz żołnierz Sił Zbrojnych Ukrainy Myrosław Haj. „Busyfikacją" Ukraińcy nazywają „łapankę" na ulicach, polegającą na tym, że pracownicy TCK łapią mężczyzn w wieku poborowych i wsadzają do busa czy samochodu. Haj wprost daje jako przykład Rosjan, którzy znaleźli lepiej lub gorzej działający wabik na chętnych do wojska – czyli pieniądze. Jego zdaniem ukraińska władza musi zapewnić atrakcyjne finansowo warunki służby, a także wprowadzić ulgi dla weteranów i rodzin żołnierzy, wreszcie – zmienić prawo tak, aby służba w wojsku była warunkiem koniecznym późniejszej – intratnej przecież – służby w administracji państwowej. „Albo logicznie podejdziemy do decyzji, które pozwolą nam uzupełnić Siły Zbrojne Ukrainy, albo przegramy" – stwierdza Myrosław Haj.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9265260d78

Wszystkie błędy Europy

Teresa Stylińska

W czasach PRL zwykło się mawiać, że socjalizm zajmuje się rozwiązywaniem problemów, które sam stworzył. To powiedzenie jak ulał pasuje również do tego, co w Europie Zachodniej dzieje się w sprawie napływu imigrantów. Europa stara się rozwiązać problem, który sama stworzyła. I bierze się do tego równie nieudolnie, jak niegdysiejsze władze PRL

Osobliwym leitmotivem walki z imigracją – nielegalną, choć problem wcale się do tego nie sprowadza – jest konieczność powstrzymania gangów przemytników, którzy za swoje usługi biorą wielkie pieniądze, wzbogacając się na biedzie i aspiracjach tysięcy ludzi z Trzeciego Świata. Wszystkiemu, w myśl takiej narracji, winni są ci, którzy organizują przerzucanie ludzi, najróżniejszymi drogami: przez Morze Śródziemne do Włoch i Morze Egejskie do Grecji, przez Atlantyk na hiszpańskie Wyspy Kanaryjskie, przez kanał La Manche do Wielkiej Brytanii, wreszcie drogami lądowymi na Bałkany i przez Białoruś do Polski.

Pomysłowość i organizatorów przemytu i samych imigrantów w wynajdywaniu coraz to nowych dróg jest rzeczywiście ogromna i być może pewnego dnia dowiemy się, że droga z Afryki do Europy może prowadzić przez Arktykę. Wszystko to jednak nie zmienia fundamentalnego faktu: winę za problemy, które rodzi niepowstrzymany napływ mas ludzi, ponosi sama Europa. Składają się na to jej własna krótkowzroczność czy wręcz ślepota, chciwość świata biznesu, naiwność obrońców praw człowieka, demagogia władz i – last but not least – brak odwagi społeczeństw. Choć to ostatnie wreszcie zaczyna się zmieniać.

SIEĆ PEŁNA NIESZCZELNOŚCI

Łączenie rodzin. Hojne wsparcie dla imigrantów, poczynając od zasiłków socjalnych. Pomieszanie pojęć – kto jest uchodźcą, mającym prawo do ochrony i ubiegania się o azyl, a kto jedynie imigrantem ekonomicznym. Przyjmowanie ludzi bez dokumentów – znakomite pole do oszustw. Sądy blokujące sensowne rozwiązania pod hasłem obrony praw ludzkich; na wyróżnienie zasługuje tu zwłaszcza Europejski Trybunał Praw Człowieka. Skuteczny paralizator działań, którym jest zarzut rasizmu. Oddawanie ośrodków dla imigrantów w ręce prywatne – interes dochodowy i pewny, bo płaci państwo. Lekceważenie znaczenia różnic kulturowych. Z gruntu błędne przeświadczenie, że Europa nie może zamykać się przed ludźmi, którzy tłoczą się u jej bram, i że nawet tak oczywiste środki, jak zamknięcie portów czy strzały ostrzegawcze na granicy, są niedopuszczalne.

Przez ponad pół wieku państwa europejskie popełniły na tym polu wszelkie możliwe błędy, od formalnych, takich jak wspomniane patrzenie przez palce na brak dokumentów (wyjaśnienia w rodzaju: „musieliśmy uciekać", „nie było czasu na szukanie papierów" są nie do zweryfikowania), przez system zachęt, który stanowią de facto zasiłki przyznawane już na wstępie, do stworzenia punktów zaczepienia, które mogą posłużyć jako argument nie do odparcia przy staraniach o pozostanie w Europie – w tej roli doskonale sprawdza się homoseksualizm, bo w wielu krajach Afryki i Azji grozi zań surowa kara, a także podawanie niższego wieku, bo dzieciom, nawet podejrzanie wyrośniętym, należy się ochrona. Sieć jest na tyle nieszczelna, że nie wychwytuje ludzi, przed którymi Europa powinna mieć się na baczności, z terrorystami włącznie.

Po drugiej zaś stronie mamy opinię publiczną sterroryzowaną przez tych, którzy chętnie stroją się w szaty obrońców. Każdy człowiek, dowodzą, ma prawo szukać dla siebie lepszego miejsca do życia. Może i tak, pod jednym wszakże warunkiem: ci, którzy to lepsze życie mają im zapewnić, muszą móc powiedzieć: nie. Oni też mają swoje prawa. Dlaczego właściwie mieliby akceptować wymuszoną, często bardzo uciążliwą obecność ludzi innych kultur, którzy wnoszą obce obyczaje i niekoniecznie chcą dostosowywać się do miejscowych? Dowodzenie, że kultury są różne, wszystkie jednak są sobie równe, to w tej sytuacji czysta demagogia. Terror poprawności powoduje jednak, że nie każdy ma odwagę głośno to powiedzieć.

Tego rodzaju argumenty ponad wszelką miarę wyeksploatowali polscy obrońcy imigrantów napierających na naszą granicę z Białorusią. Litość rzecz piękna, nie wtedy jednak, gdy staje się narzędziem w bardzo wątpliwej grze. Owi obrońcy nie bardzo chyba pojmują, że dla państwa granica to więcej niż znaki rozmieszczone w terenie i linia na mapie oraz że próby jej sforsowania zawsze stanowią przestępstwo. Ten sposób rozumowania nieobcy jest również

eprasa.pl 9265260d78

rzecznikom sprawy imigrantów w krajach Europy Zachodniej.

Z DALA OD NASZYCH GRANIC

Błędów, które sprawiły, że Europa jest dziś zalana przez imigrantów i w dodatku zupełnie nie daje sobie z tym rady, popełniono mnóstwo. Gdyby jednak szukać błędów kardynalnych, najbardziej brzemiennych w skutki, palmę pierwszeństwa powinny dzierżyć dwa. Pierwszy to zasada łączenia rodzin. Drugi to przyjmowanie wniosków o azyl na miejscu, w Europie, gdy kandydaci na jej mieszkańców już do Europy dotarli.

W tej ostatniej kwestii istnieje gotowe, sprawdzone rozwiązanie, po które jednak nikt w Europie nie miał odwagi sięgnąć. Metoda australijska w swoim czasie budziła gorące zastrzeżenia, a jednak została wprowadzona w życie, z dobrym skutkiem, bo dzięki niej opanowano najazd imigrantów z Azji. Jak to osiągnięto? Wymyślono, by wnioski o azyl bądź prawo pobytu rozpatrywać poza Australią, w specjalnych ośrodkach na wyspie Nauru i w Papui-Nowej Gwinei. Tam też kierowani są potencjalni imigranci. Odrzuceni muszą wrócić do swych krajów.

Skorzystanie z tej drogi oszczędziłoby państwom Europy wielu problemów. Bo w Europie ci, których nie przyjęto, mogą zniknąć z pola widzenia i żyć dalej w ukryciu. Skoro już stanęli na europejskiej ziemi, to nie widzą powodu, by dać się deportować. Nie po to przebyli długą, pełną niebezpieczeństw drogę, nie po to płacili gangom przemytników ludzi. To jednak powoduje, że liczba imigrantów rośnie lawinowo, poza wszelką kontrolą, mimo deklaracji kolejnych rządów, zapowiadających, że walka z nielegalną imigracją będzie ich absolutnym priorytetem.

W ślady Australii próbowali pójść brytyjscy konserwatyści. Zgodnie z koncepcją Borisa Johnsona, podtrzymaną przez Rishiego Sunaka, imigranci mieli czekać na decyzję w ośrodkach na terenie Rwandy. Realizację planu uniemożliwił jednak najpierw Europejski Trybunał Praw Człowieka, a później sądy brytyjskie. Przez ponad dwa lata plan był odraczany i blokowany, rząd zaś szukał sposobu, by przeszkody ominąć, bo nielegalna imigracja, wobec napływu „small boats", stała się na wyspach problemem palącym. Wszystkie te zabiegi okazały się zbyteczne, bo nowy rząd Keira Starmera plan rwandyjski, nie zwlekając, zamknął. Była to jedna z jego pierwszych decyzji.

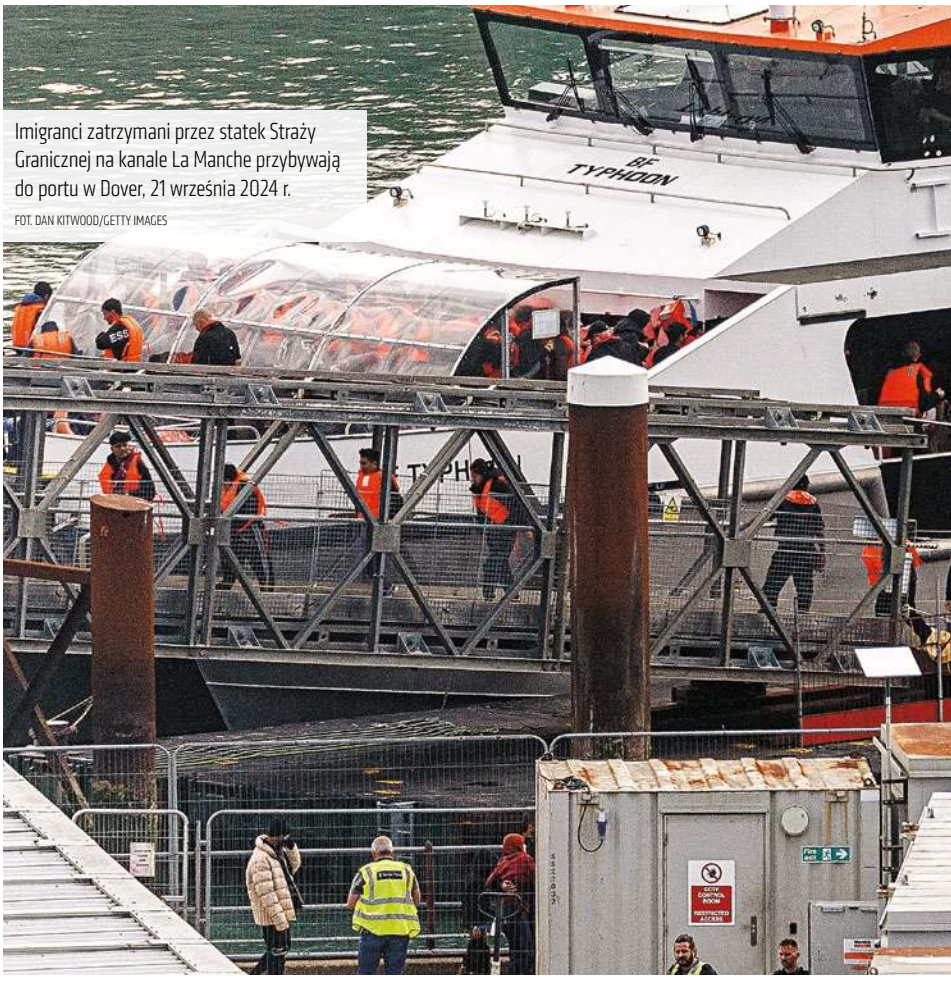

Imigranci zatrzymani przez statek Straży Granicznej na kanale La Manche przybywają do portu w Dover, 21 września 2024 r.

FOT. DAN KITWOOD/GETTY IMAGES

Dobra idea jednak tak łatwo nie umiera. Gorącym zwolennikiem zastosowania jej w skali unijnej jest premier Węgier Viktor Orbán. O wypróbowaniu jej myślą m.in. Austria i Dania. Włochy już przeszły do czynów, zawierając porozumienie z Albanią, która zgodziła się zbudować dwa ośrodki dla 36 tys. ludzi. W tym wypadku droga jest po trosze przetarta, bo przed laty Silvio Berlusconi uzgodnił z Muammarem Kaddafim, że w zamian za włoską pomoc finansową Libia będzie hamować napływ imigrantów do Włoch. Co zresztą pokazuje, jaki błąd – kolejny z wielu – popełniła na swe własne nieszczęście Europa, dopuszczając do upadku państwa libijskiego. W ten sposób bowiem zniszczono zaporę, oddzielającą Europę od afrykańskiego interioru.

Świadomość tego istnieje, skoro Unia Europejska też próbuje pójść tą drogą. Jednak Tunezja, która w zamian za pomoc finansową miała stworzyć ośrodki dla imigrantów, ostatecznie się z tego wycofała.

ROK 2015

Fatalne skutki przyniosła też idea łączenia rodzin, czyli zgoda na to, by imigranci mogli sprowadzić swych współmałżonków i dzieci. Nie dyktowały jej wcale, co ciekawe, względy humanitarne, lecz ekonomiczne. Była to inicjatywa niemieckich przedsiębiorców, którym zależało, by gastarbeiterzy, głównie z Turcji, już przeszkoleni w pracy, chcieli pozostać na miejscu, zamiast wracać do swego kraju. A że w rodzinach imigranckich jest z reguły o wiele więcej dzieci, łączenie rodzin dało impuls rozrastaniu się całej nowej społeczności. Z czasem, na domiar złego, pojawiły się furtki, umożliwiające sprowadzenie drugiej czy trzeciej żony pod pozorem, że jest to siostra żony albo też kuzynka. Tak oto do współczesnej Europy wkroczyła poligamia, ze wszystkimi demograficznymi tego konsekwencjami.

W kategorii błędów jedynych w swoim rodzaju mieszczą się rok 2015

eprasa.pl 9265260d78

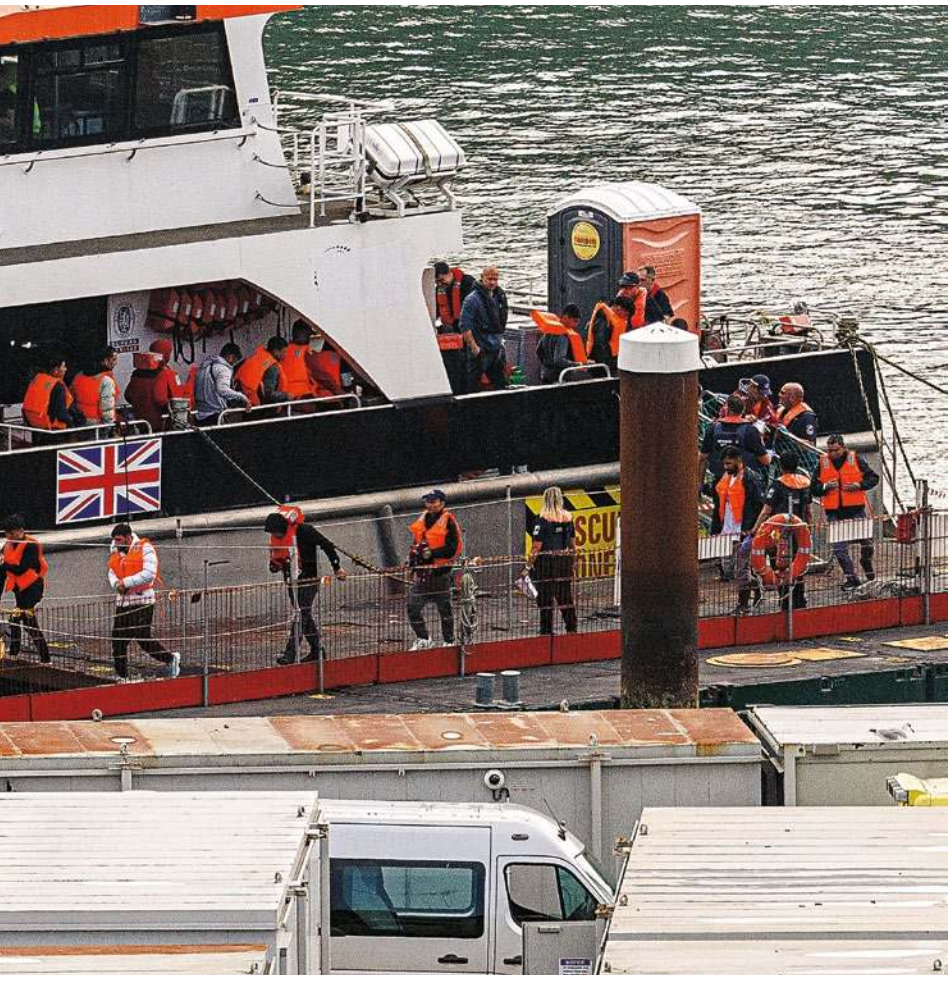

i pamiętne „Damy radę" – deklaracja ówczesnej kanclerz Angeli Merkel. W ciągu paru tygodni starymi i nowymi szlakami przybyło wówczas do Europy półtora miliona ludzi. To, co dzieje się obecnie, owe tysiące łodzi, pontonów i stateczków dzień w dzień wiozących imigrantów do Włoch, Grecji czy Wielkiej Brytanii, to w dużym stopniu pokłosie owej nieszczęsnej wypowiedzi.

Wezbranej fali nie udało się zatrzymać. Porozumienie z Turcją, przewidujące hamowanie napływu ludzi za odpowiednią rekompensatę, sprawdziło się tylko częściowo. Ci politycy, którzy próbowali zaradzić pogarszaniu się sytuacji, znaleźli się pod pręgierzem. Od czci i wiary odsądzano zwłaszcza Mattea Salviniego, przywódcę włoskiej partii Liga, który parę lat temu, gdy był ministrem spraw wewnętrznych, podjął rozsądną decyzję o zamknięciu włoskich portów dla statków wiozących nielegalnych przybyszów z Afryki. Pytanie, dlaczego patronujące transportom imigrantów niemieckie czy holenderskie NGO-sy nie wiozą ich do portów swych krajów, pozostało oczywiście bez odpowiedzi.

FURTKA NIE DO ZAMKNIĘCIA

Europa zmaga się z problemem imigracji w sposób, który każe wątpić, że w tej materii cokolwiek może się zmienić na lepsze. Popatrzmy na gwałtowne zamieszki uliczne, które latem ogarnęły Wielką Brytanię. Kto jest im winien? Według nowego laburzystowskiego rządu: prawica w ogóle, a rasiści w szczególności, media społecznościowe, tragedia w Southport, gdzie młody zamachowiec z nożem w ręku napadł na uczennice szkoły tańca, zabijając trzy dziewczynki, wreszcie pewien fake news, który pchnął gniew ludu w niewłaściwym kierunku. Fake news to informacja, że zabójca jest muzułmańskim imigrantem – a przecież, według rozmaitych mędrców, nie może być ani jednym, ani drugim, bo urodził się w Wielkiej Brytanii, w Cardiff, w rodzinie chrześcijańskiej. Nie ma znaczenia, że nazywa się Axel Rudakubana, a jego rodzina przybyła na Wyspy Brytyjskie z Rwandy.

Reakcja władz brytyjskich dobrze pokazuje, jak bardzo rozchodzą się drogi społeczeństw i rządzących. W imię poprawności politycznej można zamknąć oczy na wszystko. Imigrant urodzony w Anglii staje się prawdziwym Anglikiem. A przecież imigranci w drugim pokoleniu są często o wiele bardziej niechętni krajom, w których mieszkają, niż ich rodzice, a ich problemy z asymilacją nierzadko przekładają się na poparcie dla grup ekstremistycznych. Obserwowano to szczególnie podczas wojny w Syrii, gdy młodzi ludzie, urodzeni i wychowani w Europie, wyruszali na wschód, by walczyć po stronie ISIS.

Można zresztą podejrzewać, że nawet jeśli elity polityczne coraz więcej uwagi poświęcają zagrożeniom, które wynikają z obecności tysięcy ludzi innych kultur, to niekoniecznie dlatego, iż nagle zrozumiano powagę sytuacji. Być może daje o sobie znać zwyczajny instynkt samozachowawczy. Cóż mają począć przywódcy, skoro ludzie coraz śmielej głosują na partie antyimigranckie? Trudno zachwalać pożytki płynące z wielokulturowości, gdy wyborcy doświadczają raczej związanych z nią problemów. Zamknięcie oczu na rzeczywistość grozi zaś zepchnięciem na margines.

Wyborcy bowiem nabrali odwagi. Przez całe lata w różnych krajach przedwyborcze sondaże mówiły o dużych szansach partii ostrzegających przed napływem imigrantów – francuskiego Frontu Narodowego, holenderskiej Partii Wolności, Szwedzkich Demokratów czy Prawdziwych Finów. W wyborach jednak nie za bardzo się to potwierdzało. Czy dlatego, że przy urnach wyborcom brakowało odwagi, by postawić kropkę nad i? Teraz zaczęło się to zmieniać. Przełomem stało się ubiegłoroczne zwycięstwo Partii Wolności, choć jej przywódca Geert Wilders nie został dopuszczony na stanowisko premiera.

Co – ciągle jeszcze – nie zmienia tego, że wobec imigracji Europa jest bezradna. Pakt migracyjny niczego nie rozwiązuje, bo niczego nie ma rozwiązać. Jedyne jego zadanie to przerzucenie części ciężarów na barki tych społeczeństw, które nie doświadczyły jeszcze wątpliwych dobrodziejstw wielokulturowego społeczeństwa w nowoczesnym wydaniu. I to one, potencjalne ofiary paktu, powinny pamiętać, że furtki raz uchylonej nie da się już nigdy zamknąć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9265260d78

Niemieckie media: na lewo patrz!

Jan Bogatko z Berlina

Renomowany uniwersytet w Moguncji noszący imię Johannesa Gutenberga zbadał niemieckie media. I oto okazało się, że są one wolne w tym sensie, że są... lewicowe

Dla niemieckich konsumentów radia, prasy i telewizji to niemały szok. Wyniki badań Instytutu Publicystyki mogunckiego uniwersytetu zaskoczyły nie tylko czytelników tabloidu „Bild". Praca pod redakcją prof. dr. Marcusa Maurera przy współpracy Simona Kruschinskiego i Pabla Josta pt. „Czy czegoś tu nie brak? Mnogość perspektyw w publicznych formatach informacyjnych" wykazuje niedostatki w zakresie informacji w niemieckich mediach, zwłaszcza dwóch największych stacji telewizyjnych w Niemczech: ARD i ZDF. Niedostatki, a raczej przekłamania – media te są dzisiaj bardziej instrumentami rządowej propagandy niż źródłami informacji. Z badań wynika, że państwowe stacje telewizyjne i radiowe, finansowane przez społeczeństwo (opłaty są przymusowe i wynoszą miesięcznie18,36 euro; zapowiedziano ich podwyżkę) mają za zadanie poprowadzenie telewidzów i słuchaczy w kierunku prorządowym.

Naukowcy z Moguncji wykazują, że rezygnacja z wyważonej informacji powinna skończyć się zamknięciem państwowych radia i telewizji, ponieważ w obecnym kształcie stanowią one zagrożenie dla demokracji. Tymczasem media państwowe pozytywnie informują zwłaszcza o SPD (mimo postępującej marginalizacji partii kanclerza Olafa Scholza) i współrządzących Zielonych (odpowiednio 33 i 29 proc. informacji w publicznych środkach przekazu). Dla porównania: AfD w tej statystyce osiąga poniżej 5 proc., do tego przekaz jest niemal wyłącznie negatywny.

WSCHÓD I ZACHÓD

Eksperci z Uniwersytetu w Moguncji zbadali 47 mediów, porównując przekazywane przez nie informacje. Wśród nich znalazło się dziewięciu nadawców publicznych, w tym takie programy, jak cieszące się wielką oglądalnością informacyjne formaty telewizyjne „Tagesschau" i „ZDF Heute-Nachrichten". Merytorycznej ocenie poddano 9389 pozycji programowych, nadawanych z jednej strony przez ARD i ZDF oraz wielkie rozgłośnie regionalne, jak Bayerischer Rundfunk (BR), Mitteldeutscher Rundfunk (MDR), Rundfunk Berlin-Brandenburg (RBB) oraz wiadomości Radia Deutschlandfunk (jedyna ogólnoniemiecka rozgłośnia radiowa), a z drugiej takie formaty, jak RTL Aktuell i Newstime (Sat.1) i wreszcie gazety: „Frankfurter Allgemeine Zeitung" (FAZ), niegdyś poważny konserwatywny dziennik, „Süddeutsche

eprasa.pl 9265260d78

Zeitung" (lewicowa gazeta ironicznie zwana przez jej krytyków „Alpejska Prawda"), „Bild", wysokonakładowy tabloid, oraz tygodniki „Spiegel", „Focus" i „Zeit". Ponadto zespół Marcusa Maurera przyjrzał się informacjom zamieszczanym na łamach dużych gazet regionalnych, jak „Münchner Merkur", a nawet komunistycznej gazety „Neues Deutschland".

Wniosek? W audycjach państwowych stacji telewizyjnych ARD i ZDF rzuca się w oczy poważna przewaga ukazywania w pozytywnym świetle partii tworzących rząd nad opozycyjnymi, głównie SPD i Zielonych. FDP, dawna partia konserwatywno-liberalna, jako trzecia noga koalicji rządzącej, wyprzedza pod względem pozytywnych informacji i komentarzy opozycyjne partie CDU i CSU (które w porównywalnych mediach prywatnych zajmują drugie miejsce po SPD, jeśli chodzi o częstotliwość podejmowania tematów bieżącej polityki).

Niemieckie media państwowe nie mają szczęścia do Uniwersytetu Gutenberga w Moguncji. W ubiegłym roku eksperci z tej uczelni poinformowali Niemców o spadku zaufania do telewizji, radia i prasy. Ale nie u wszystkich konsumentów informacji: wyborcy Zielonych nadal obdarzają krajowe media wielkim zaufaniem, być może dlatego, że te mówią o nich dobrze oraz rozprawiają się z ich konkurentem na szczeblu landowym i federalnym, którym jest AfD. Ponadto Niemcy nadal są podzielone: o ile ARD i ZDF cieszą się nadal doskonałą opinią słuchaczy w Niemczech Zachodnich (tego zdania jest 66 proc. konsumentów mediów), o tyle we wschodnich już tylko 41 proc. wystawia im oceny dobre. Niektórzy medioznawcy przypisują to umiejętności czytania między wierszami u tych Niemców, którzy przeszli twardą szkołę komunizmu.

Dwa razy tylu Niemców Wschodnich narzeka głównie na media państwowe, na to, że nie oddają one w należytym stopniu różnorodności poglądów w społeczeństwie. O ile 84 proc. sympatyków Zielonych pod tym względem nie stawia zarzutów mediom, o tyle np. wśród zwolenników AfD takich osób jest już tylko 18 proc. – wynika z ubiegłorocznych badań uniwersytetu w Moguncji dotyczących 2022 r. Jak podaje Barometr Edelman Trust (międzynarodowa agencja do spraw komunikacji), w roku 2023 ok. 48 proc. Niemców na pytanie, czy ufają mediom, odpowiedziało „tak". Tym samym zaufanie do mediów w Niemczech w porównaniu z rokiem poprzednim spadło. Ta sama agencja podaje, że w ubiegłym roku media obdarza zaufaniem połowa konsumentów informacji.

W najnowszych badaniach uniwersytetu mogunckiego pod redakcją Marcusa Maurera medioznawcy wyrażają obawy, że jednostronność przekazu może doprowadzić do braku akceptacji przekazu telewizji, radia czy prasy, ponieważ wielu Niemców wyraża postawy konserwatywne czy prorynkowe. Jeżeli ci konsumenci mediów nie odnajdą w ofercie informacji, które by do nich przemawiały, to utracą zaufanie wobec przekazu. Raport na temat niemieckich mediów uniwersytetu mogunckiego jako światełko w tunelu wymienia dwa formaty informacyjne – „Heute – Nachrichten" w ZDF i wiadomości nadawane przez rozgłośnię radiowo-telewizyjną Bayerischer Rundfunk w Monachium. Zupełnie niewiarygodne są w tym kontekście formaty informacyjne kolońskiej rozgłośni WDR (Westdeutscher Rundfunk) i RBB (Rundfunk Berlin Brandenburg). Kolończycy jako mieszkańcy Nadrenii, którzy mają poczucie humoru i śmieją się nie tylko w karnawale, nazywają WDR „Westdeutscher Rotfunk", co znaczy tyle, co „Zachodnioniemiecka Czerwona Rozgłośnia". Jej przekaz jest oczywisty dla każdego.

Może to jest powodem zalegania wielu Niemców z opłatami za abonament telewizyjno-radiowy. A abonament przynosi niemieckim rozgłośniom państwowym krocie. W 2022 r. do ich kas wpłynęło 8,57 mld euro. Dla porównania: w roku 2005 wpływy były o ponad miliard euro niższe. Największy kawałek tortu w 2022 r. dostała rozgłośnia ZDF – 2,2 mld euro. Ale zaraz za nią plasują się rzeczony Westdeutscher Rundfunk (WDR) i Südwestrundfunk (SWR). Instytucja ściągająca bezpardonowo opłaty radiowo-telewizyjne o nazwie ARD ZDF Deutschlandradio Beitragsservice wdrożyła tylko w roku 2020 ponad 15 mln postępowań przeciwko gospodarstwom domowym zalegającym z opłatami.

Raport medioznawców z Moguncji przyznaje wprawdzie, że dziewięć informacyjnych stacji publicznych porusza szeroki wachlarz tematów, ale zarazem zwraca uwagę na preferowanie partii rządzących kosztem opozycyjnych. Maurer, Kruschinski i Jost podkreślają, że formaty informacyjne wielkich stacji ARD i ZDF są mniej krytyczne wobec partii koalicji rządzącej od porównywanych z nimi przez trzy miesiące mediów prywatnych. Te znalazły jednak miejsce do przedstawienia stanowisk konserwatywnych i liberalno-rynkowych. Porównując informacje medialne dotyczące partii koalicji rządowej i partii opozycyjnych, uprzywilejowanie SPD, Zielonych i FDP rzuca się w oczy. Potem długo, długo nic i wreszcie AfD – przedstawiana przeważnie negatywnie, mimo zauważalnych sukcesów wyborczych i wyników sondaży.

JAK GŁOSUJĄ DZIENNIKARZE

Na lewo patrz. Ale dlaczego? Media są po prostu takie, jacy są pracujący w nich dziennikarze. Wielka szkoda, że ostatnio brak poważnych badań na temat preferencji wyborczych dziennikarzy. Ostatnie z nich przeprowadzono wiosną 2020 r. i obejmowały one dziennikarski narybek. Była to ankieta dotycząca wolontariuszy ARD. W wyborach do Bundestagu 57 proc. z nich głosować będzie na Zielonych. Dalsze 23,4 proc. to wyborcy komunistów (Die Linke, następczyni wschodnioniemieckiej odpowiedniczki PZPR, SED). 11,7 proc. wyraziło wolę głosowania na SPD. Ten nagły zwrot na lewo niemieckiej młodszej generacji zaskoczył starsze pokolenie. „Prasa kłamie" – ten zarzut pojawia się w Niemczech od lat. Ale nie łudźmy się – neutralne dziennikarstwo to rzadkość. Niemieccy dziennikarze mają zupełnie inne preferencje polityczne niż średnia społeczeństwa. Objawia się to zwłaszcza w sytuacjach dramatycznych – jak słynna noc sylwestrowa w Kolonii czy przy okazji antyunijnych protestów rolników i popierających ich grup zawodowych.

Zarzut publikowania tendencyjnych informacji i ich skrzywienie na korzyść pozycji lewicowych i lewicowych „wartości" nie jest nowy. Wieloletni redaktor naczelny tygodnika „Fokus" Helmut Markwort, który z listy FDP wszedł do bawarskiego Landtagu, powiedział w roku 2016, że większość dziennikarzy – jak wynika z ankiet – to wyborcy Zielonych i jest zdania, że to się odbija na wyborze tematów i rankingu informacji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9265260d78

FOT. TME/LUBOSBLAHASMER

POJECHAŁ PRZEPROSIĆ MOSKWĘ

Słowacki europoseł Lubos Blaha (wywodzi się z partii Smer Roberta Ficy) pojechał do Moskwy. Cel swojej wyprawy zrelacjonował w mediach społecznościowych. Ten „lewicowy intelektualista" – jak sam się określa – pojechał do Rosji, by podziękować za wyzwolenie spod niemieckiej okupacji. Jednocześnie przepraszał tam za „rusofobię" Zachodu. Jego wpis na Telegramie ochoczo wykorzystywały rosyjskie media.

STALIN WCIĄŻ ŻYWY

Władze obwodu wołogodzkiego zdecydowały, że w mieście Wołodoga stanie nowy pomnik Józefa Stalina. Gubernator obwodu – Gieorgij Filimonow – w mediach społecznościowych napisał, że decyzja jest „odpowiedzią na apele społeczeństwa". Starał się też wytłumaczyć kult zbrodniarza: „Z całym zrozumieniem dla niejednoznacznej interpretacji roli danej osoby powinniśmy uznawać jej wielkie osiągnięcia, znać historię swojego kraju, oddawać jej szacunek i być z niej dumni".

NIE WOLNO MÓWIĆ O PREZYDENCIE

W Kamerunie 91-letni prezydent Paul Biya od dłuższego czasu nie pokazywał się publicznie. Ludzie zaczęli podejrzewać, że głowa państwa może być poważnie chora. Zareagował na to Paul Atanga Nji, szef MSW. Wysłał list do gubernatorów, w którym napisał, że „wszelka debata w mediach na temat stanu zdrowia prezydenta jest ściśle zakazana". Zaznaczył, że stan zdrowia prezydenta jest kwestią „bezpieczeństwa narodowego".

KAKTUSOWY ZAKAZ

Burmistrz niemieckiego miasta Plettenberg, koło Düsseldorfu, zakazał hodowania kaktusów w budynkach publicznych, takich jak urzędy, szkoły i przedszkola. Powód? Pewien mężczyzna zranił się kaktusem w budynku szkolnym i wymagał pomocy medycznej.

DOPING Z KASZTANEM

W hrabstwie Northamptonshire w Anglii odbyły się międzynarodowe zawody w uderzaniu o siebie kasztanami. Wygrywał ten, którego kasztan rozłupie inny. Po zwycięstwie 82-letniego Davida Jakinsa jego rywal ujawnił, że senior miał w kieszeni kasztan z metalu. Zwycięzca nazwał oskarżenia „stekiem bzdur" i przekonywał, że stalowego kasztana miał tylko dla „żartu" i nie użył go w zawodach. Postępowanie sprawdzające trwa. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Praca dla kota i psa

Coraz większy spadek dzietności oraz wzrost popularności kawiarni, w których można wypić kawę lub herbatę i przekąsić coś słodkiego w towarzystwie mruczących futrzaków (kocie kawiarnie), a nawet zjeść dania restauracyjne (to najczęściej już psie restauracje). To dwa trendy obserwowane w różnych krajach świata, które co prawda mogą, ale raczej wcale nie muszą być od siebie niezależne.

W Polsce mamy już np. Miau Cafe w Warszawie, KOTON Kocia Kawiarnia we Wrocławiu czy Cat Café Kociarnia w Krakowie. Łącznie takich miejsce jest nad Wisłą co najmniej kilkanaście. Zarówno w Polsce, jak i na świecie są już też kawiarnie królicze, a także psie kawiarnie i restauracje (jak Hau Café w Warszawie czy Psikawka w Krakowie).

Lokale z futrzakami są szczególnie popularne w krajach azjatyckich. Wiele z nich pobiera opłaty za wstęp i możliwość przebywania w miłym, psim lub kocim towarzystwie. W Chinach – gdzie do roku 2030 będzie niemal dwa razy więcej zwierząt domowych niż małych dzieci – popyt na futrzaste towarzystwo jest tak duży, że część prowadzących psie kawiarnie oferuje już nie tylko przysmaki czy darmową opiekę, lecz także drobne pieniądze (na karmę) dla tych właścicieli, którzy będą regularnie przyprowadzać swoje czworonogi do ich lokali.

Jak poinformował w ubiegłym tygodniu portal AOL.com, ruch w interesie jest tak duży, że na chińskim odpowiedniku Instagrama pojawiają się zarówno „ogłoszenia o pracy" dla psów i kotów, jak i CV zamieszczane przez właścicieli czworonogów. Signum temporis... ©℗

eprasa.pl 9265260d78

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Niestety, brawo, Chiny, niestety!

Nie przepadam za myśleniem – nawet jeśli jakiemuś procesowi społecznemu czy ekonomicznemu naprawdę bardzo źle życzę – w kategoriach: im gorzej, tym lepiej. A właściwie myślenie w tych kategoriach jest mi całkiem obce.

Wszelako w sprawie tak katastrofalnej dla przyszłości (a właściwie już teraźniejszości) Polski jak Zielony Ład nie umiem odmówić sobie prawa do posługiwania się tą filozofią. A dzieje się tak, bo nie widzę innego sposobu na zaniechanie Zielonego Ładu, jak jego akceleracja, czyli możliwie jak najszybsze doprowadzenie do spodziewanych, fatalnych skutków, które on wywoła.

I dlatego od początku cieszyłem się, że Unia wprowadza wysokie cła na auta na baterie eksportowane przez Chiny do państw UE – w nadziei, że Chiny odpowiedzą symetrycznie, czyli wprowadzając odwetowe cła na to, co z kolei do Chin eksportują państwa UE. No i się na Pekinie nie zawiodłem, choć – nie ukrywam – liczę na więcej, i to na dużo więcej, czyli na to, że to ledwie maleńki przedsmak ich reakcji. I że po cłach na brandy szybko przyjdzie czas także na inne produkty – wódkę, żywność i wszystko, co Europejczykom z UE udaje się jeszcze sprzedawać w Chinach. Może to da do myślenia bezmyślnym unijczykom?

No bo przecież, gdyby nie było aberracyjnej polityki Zielonego Ładu, dalej cieszylibyśmy się w państwach UE prądem i ogrzewaniem, które nie kosztowałyby nas – tak jak jest dziś – aż trzy razy więcej niż w USA i aż nawet pięć razy więcej niż w Chinach; dalej cieszylibyśmy się tanią, porównywalną cenowo co najmniej z amerykańską energią zarówno elektryczną, jak i cieplną. A w związku z tym wszystko u nas kosztowałoby mniej.

Wszystko – włącznie z osławionymi autami na baterie, które produkowane w Europie kosztują niepomiernie więcej niż takie same produkowane w Chinach. Tak, bez aberracyjnej polityki Zielonego Ładu moglibyśmy cieszyć się w państwach UE – to znaczy cieszyć mogliby się ci, którzy mieliby na to ochotę – kupując tanie auta na baterie, i to nie tylko te z Chin, lecz także te z Europy. Bo przecież bez Zielonego Ładu, czyli bez energii pięciokrotnie droższej od chińskiej, którą on nam „funduje", a także bez idiotycznych wymagań nakładanych na auta spalinowe (co przecież jest ze sobą powiązane, bo generuje dla producentów samochodów gigantyczne koszty), także „elektryki" z Niemiec, Francji i innych krajów UE byłyby niepomiernie tańsze.

A zatem – Chińczycy – czyńcie swoją powinność i ratujcie Unię Europejską przed nią samą. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

O czym nie mówił Andrzej Duda

Diagnoza sytuacji w sądownictwie i wymiarze sprawiedliwości, którą przedstawił prezydent w swoim orędziu sejmowym, była celna. W niektórych innych sprawach również trudno było nie przyznać Andrzejowi Dudzie racji.

Coś jednak w tym wyjątkowo ostrym i konfrontacyjnym wystąpieniu zgrzytało. Przede wszystkim, skoro prezydent pojawił się na trybunie z okazji roku sprawowania władzy przez obecną koalicję w celu zrecenzowania jej rządów, to dlaczego nie pojawiał się w tym samym celu w Sejmie przez osiem lat rządów PiS? Jasne jest, że prezydent ma swoje poglądy i polityczny rodowód. Nikt racjonalny nie mógł był oczekiwać, że będzie ostro sztorcował formację, z której się wywodzi i która w zasadniczych zarysach realizowała bliskie mu plany. Lecz czy naprawdę przez osiem lat nie zdarzyło się nic, co wymagałoby krytycznego skomentowania w podobnej formie?

Prezydent postanowił także skontrastować stosunek obecnej oraz poprzedniej władzy do imigracji. I tu popełnił największe nadużycie. Jeśli dzisiaj mnożą się problemy z przestępczością imigrantów, to wątpliwe jest, czy jest to wyłącznie, może nawet w większości, skutek napływu nielegalnej imigracji za obecnego rządu (który działa od 10 miesięcy) czy może jednak tego, co politycy PiS oraz głowa państwa usprawiedliwiają, a więc przyjmowania migrantów zarobkowych. Całkowicie błędne jest mniemanie – a to właśnie członkowie byłego obozu władzy próbują nam wmawiać – że taka imigracja nie powoduje problemów. Za PiS zaś – co akurat trafnie wytyka Donald Tusk – żadnej strategii imigracyjnej nie było. Struktury MSZ realizowały po prostu zamówienia firm, wprowadzając nawet ułatwienia w postaci omijania wydziałów konsularnych polskich ambasad i załatwiania wiz pracowniczych bezpośrednio w centrali ministerstwa. Takie regulacje wprowadzono jeszcze w 2021 r.

Trudno wreszcie powiedzieć, co miał na myśli prezydent, mówiąc, że „dzięki odważnym decyzjom podczas pandemii udało się ocalić dziesiątki, a może setki miejsc pracy". Te „odważne decyzje" to zamykanie tysięcy biznesów czy może zamiana przyłbic na maseczki? Tego nie wiemy, a pan prezydent w tamtym czasie żadnego orędzia nie wygłosił i w ogóle raczej milczał. ©℗

eprasa.pl 9265260d78

Niepokonani złodzieje czasu

Jacek Przybylski

W nocy z 26 na 27 października znów przestawimy zegarki na czas zimowy, cofając wskazówki z godz. 3 na 2. Po co? Nie wiadomo. Trudno bowiem obecnie wskazać wiele pozytywnych efektów zmiany czasu dla gospodarki. Tymczasem zmianie towarzyszą chaos, wysokie koszty dla wielu firm, zmniejszenie produktywności oraz negatywne skutki zdrowotne

Zmiana czasu – wymyślona ponoć jeszcze przez Benjamina Franklina, a w Europie wprowadzona po raz pierwszy w 1916 r. przez Rzeszę oraz sojusznicze Austro-Węgry – już od dawna zamiast zysków przynosi gospodarkom głównie straty. W Polsce praktyka zmiany czasu trwa nieprzerwanie od roku 1977. Tymczasem zmiana modelu gospodarczego sprawia, że współcześnie jeśli nawet możliwość dłuższego korzystania z darmowego światła słonecznego rano generuje jakieś oszczędności energii, to w skali makro

eprasa.pl 9265260d78

FOT. ADOBE STOCK

są one marginalne, a bywa i tak, że przez majstrowanie przy zegarkach zużycie energii rośnie. I to zarówno w skali makro (firm czy państwa), jak i mikro (gospodarstw domowych). Do wniosku, że zmiana czasu się nie opłaca, doszli m.in. badacze Uniwersytetu Kalifornijskiego, którzy na podstawie obserwacji mieszkańców stanu Iowa udowodnili, że zmiana czasu nie tylko nie pozwoliła mieszkańcom na oszczędności, lecz także sprawiła, że rachunki osób fizycznych za energię wzrosły w roku wprowadzenia zmian o niemal 7 mln dol.

Z kolei japońscy naukowcy wyliczyli, że przejście wyłącznie na czas letni mogłoby istotnie zmniejszyć emisję dwutlenku węgla (o 400 tys. ton), prowadzić do dużych oszczędności ekonomicznych (zmniejszenie zużycia paliwa nawet o 930 mln litrów), a do tego jeszcze zmniejszyć liczbę kradzieży ulicznych o 10 proc.

Nikogo nie trzeba przekonywać, że zmiana czasu powoduje chaos. Generuje również koszty zarówno w branży logistycznej, jak i np. transportowej (każdego roku w ostatnią niedzielę października pociągi zatrzymują się w nocy pod semaforami na godzinny przymusowy postój). Szczęśliwi nie są też ci pracownicy, którzy w feralną niedzielę mają akurat dyżur (muszą bowiem pracować godzinę dłużej), ani ich pracodawcy (muszą zapłacić pracownikom dodatkowo lub pozwolić odebrać nadprogramową godzinę w innym dniu). Zmiana czasu jest też kosztowna dla banków (w których zespoły informatyków muszą pilnować, aby mimo przestawiania wskazówek wszystkie systemy działały, jak należy).

Oczywiście nie wszyscy tracą. Na przejściu na czas zimowy zyskują np. przedsiębiorcy z branży budowlanej czy rolnej, bo umożliwia ono wcześniejsze rozpoczęcie pracy przy świetle słonecznym. Zestawienie zysków i strat sprawia jednak, że większość państw świata nie praktykuje już zmiany czasu (w Europie z przestawiania zegarków zrezygnowały Islandia, Białoruś oraz Rosja).

SZKODY DLA ZDROWIA. I NIE TYLKO

Lekarze nie mają żadnych wątpliwości: przesunięcie wskazówek o godzinę mocno ingeruje w działanie naszego zegara biologicznego, co szczególnie mocno odczuwają osoby starsze, dzieci i nastolatkowie oraz pracownicy zmianowi. Rozregulowanie rytmu dobowego może wywoływać – w zależności od konkretnego organizmu – nadmierną senność, trudności w zasypianiu czy budzeniu się. Zmiana czasu może również zmniejszać produktywność, zwiększać rozdrażnienie, wywoływać problemy z koncentracją, a także – na co wskazują m.in. wyniki obszernych badań duńskich naukowców – zwiększać ryzyko depresji. Jakby tego było mało, zaburzenie zegara biologicznego może też prowadzić do niekorzystnych zmian w metabolizmie. Zmiana czasu jest więc niekorzystna m.in. dla osób cierpiących na choroby serca, cukrzycę czy tych, którzy mają podwyższony poziom cholesterolu.

Według Włoskiego Towarzystwa Medycyny Środowiskowej pozostawienie czasu letniego na stałe przyniosłoby 500 mln euro oszczędności. Najbardziej szkodliwe są zmiany wiosenne – wywołują bowiem nie tylko zmęczenie, spadek produktywności czy zaburzenia snu, lecz także istotnie podnoszą ryzyko zawałów serca oraz udarów mózgu. Autorzy zestawienia SleepBetter Lost-Hour Economic Index wskazują z kolei, że USA tracą rocznie 434 mln dol. w wyniku zmniejszonej wydajności pracowników w okresie zmiany czasu. Amerykańscy naukowcy (M. Hakan Berument i Nukhet Dogan) już ponad dekadę temu zaobserwowali także, że zmiana rytmu dobowego wpływa na zwiększenie skłonności do podejmowania ryzyka, co z kolei przekłada się na większe wahania na giełdach papierów wartościowych.

CZEGO CHCĄ POLACY?

Stare polskie przysłowie mówi, że „gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania". Wystarczy prześledzić fora internetowe, aby zobaczyć, że również współcześnie bardzo często jest ono prawdziwe. Akurat w odniesieniu do zmiany czasu jesteśmy jednak jako naród wyjątkowo zgodni. Większość Polaków od lat deklaruje, że nie chce dwa razy w roku przestawiać wskazówek.

W ubiegłym roku w sondażu przeprowadzonym przez IBRiS na zlecenie „Rzeczpospolitej" na pytanie, czy zmiana czasu na zimowy bądź letni powinna zostać zniesiona, „zdecydowanie tak" odpowiedziało 57,5 proc. respondentów, a „raczej tak" – 11 proc. Łącznie za zniesieniem bezsensownej zmiany czasu opowiadały się więc dwie trzecie ankietowanych. „Zdecydowanie nie" – odpowiedziało w tej sprawie tylko 4,7 proc. pytanych, a „raczej nie" 15,9 proc. ankietowanych.

Wcześniej, bo w badaniu przeprowadzonym przez IBRiS, na zlecenie Radia Zet w roku 2022 zdecydowanie za zlikwidowaniem zmiany czasu opowiedziało się 47,2 proc. pytanych, a 29,8 proc. wybrało odpowiedź „raczej tak". Za dalszym przestawianiem wskazówek zegarków było łącznie niecałe 14 proc. respondentów (z czego swój kategoryczny przeciw wobec likwida-

eprasa.pl 9265260d78

cji zmiany czasu deklarowało jedynie 9,1 proc. z nich). Jeszcze wcześniej – w roku 2018 – podobne pytania zadali Polakom ankieterzy CBOS. Za zniesieniem zmiany czasu było wówczas łącznie 78,3 proc. pytanych, z czego 74 proc. oznajmiło, że chciałoby, aby w Polsce na stałe obowiązywał wyłącznie czas letni.

Widać więc wyraźnie, że zniesienia zmiany czasu chce konsekwentnie – mimo upływu lat – zdecydowana większość Polaków. Czy nasi politycy to dostrzegli? Oczywiście, że tak. Od lat mamy już nową ludowo-medialną tradycję: co roku w październiku kolejni politycy deklarują uroczyście, że popierają konieczność zniesienia zmiany czasu i będą z całych swoich sił walczyć o realizację tego postulatu. Następnie zabierają się do tego ze skutecznością porównywalną do starcia Don Kichota z wiatrakami, by po roku znów ogłosić, że walka trwa.

NOWY RZĄD, NOWA OBIETNICA

Trend jest niezależny od tego, kto akurat sprawuje władzę. „Zmiana czasu jest nieefektywna, nie wpływa dobrze ani na naszą kondycję, ani na gospodarkę. Powinna zostać zlikwidowana" – oświadczył 7 października obecny wiceminister klimatu Miłosz Motyka w programie „Fakt Live", zapowiadając, że wkrótce koalicjanci zajmą się tematem zmiany czasu.

Na pytanie zadane w Radiu Zet, czy należy zlikwidować zmianę czasu, również obecny minister rozwoju i technologii, Krzysztof Paszyk, odpowiedział bez chwili zawahania. – Zdecydowanie tak, od wielu lat jako PSL to popieramy – stwierdził szef MRiT.

I rzeczywiście: projekt ustawy w sprawie zniesienia zmiany czasu PSL złożyło w roku 2017 (proponowano w nim, aby już od roku 2018 w Polsce przez cały rok obowiązywał czas letni). Wówczas się nie udało, ale Polskie Stronnictwo Ludowe wróciło do sprawy jeszcze w roku 2020. Projekt znów przepadł, ponieważ – jak wyjaśniała w interpelacji ówczesna wiceminister rozwoju i technologii Olga Semeniuk-Patkowska – Polska nie może samodzielnie podjąć decyzji o przejściu wyłącznie na czas letni, ponieważ jest związana dyrektywą Unii Europejskiej obowiązującą wszystkie kraje UE. Minister Semeniuk-Patkowska przekonywała

Badania opinii publicznej od lat pokazują jednoznacznie: Polacy chcą likwidacji zmiany czasu i przejścia na czas letni

także, że „gdyby czas letni obowiązywał również zimą, to albo trzeba by było zmieniać co pół roku godziny pracy przedszkoli, szkół i może urzędów, albo dzieci i młodzież zaczynałyby dzień i wychodziłyby do szkoły, kiedy jeszcze jest ciemno, zyskując wprawdzie dłuższe popołudnie, ale zaburzając naturalny rytm biologiczny".

W niedawnym wywiadzie radiowym również minister Paszyk zastrzegł, że niestety uregulowanie kwestii zmiany czasu wymaga jednomyślności w Unii Europejskiej… – Tę jednomyślność nam trudno uzyskać – przyznał polityk, zapowiadając jednak, że będzie nad jej uzyskaniem usilnie pracował. – Dla mnie i dla polityków PSL jest to temat, który będziemy podnosić w czasie rozpoczynającej się od 1 stycznia przyszłego roku prezydencji – zadeklarował na radiowej antenie szef MRiT, przyznając, że „Polska leży w takim miejscu, gdzie te zmiany czasu naprawdę wszyscy odczuwamy i odbijają się niekorzystnie na naszym rytmie dnia i zdrowiu, na co również zwracają uwagę lekarze".

SPRAWA PRZESĄDZONA?

Z wypowiedzi ministra Krzysztofa Paszyka o trudnościach z jednomyślnością w tej sprawie można by wnioskować, że Polacy są w Unii Europejskiej wyjątkiem, a zdecydowana większość mieszkańców Unii Europejskiej nadal opowiada się za zmianą czasu. Jest jednak przeciwnie. Gdy w 2018 r. Komisja Europejska przeprowadziła na gigantyczną skalę internetowe konsultacje w tej sprawie, okazało się, że aż 84 proc. z 4,6 mln (!) ankietowanych chce zniesienia zmiany czasu. Wśród likwidacji niechcianego procederu opowiedziało się wówczas aż 95 proc. Polaków (najwięcej wśród uczestników ankiety ogłoszonej przez KE).

Szef Komisji Europejskiej Jean-Claude Juncker oznajmił wówczas, że sprawa jest już przesądzona. Zgodnie z podjętą przez Parlament Europejski decyzją (europarlamentarzyści głosowali w tej sprawie 26 marca 2019 r.) zmiana czasu na letni i zimowy miała być zniesiona do roku 2021. Państwa członkowskie miały mieć przy tym możliwość wyboru, czy przechodzą na stałe na czas letni czy zimowy. Nic z tego jednak nie wyszło. Najpierw politycy i urzędnicy winę za zwłokę zrzucali na pandemię. Potem na wojnę na Ukrainie.

Specjalne zespoły i komisje sporządziły zaś w tej sprawnie wiele analiz. W Parlamencie Europejskim powołano nawet specjalną grupę roboczą, której prace poświęcone są odejściu od zmiany czasu. Mimo to unijna dyrektywa nakłada na wszystkie kraje członkowskie Unii Europejskiej obowiązek przejścia w danym roku kalendarzowym na czas letni w ostatnią niedzielę marca i powrotu na czas zimowy pod koniec października.

Dlaczego – skoro większość Europejczyków chce zaprzestania zmiany czasu – ten bezsens jest utrzymywany w mocy? Otóż główny problem polega na tym, że kraje Unii Europejskiej w zależności od położenia geograficznego (czyli od tego, czy leżą na północy czy na południu) opowiadają się albo za permanentnym przejściem na czas zimowy, albo na czas letni (Polska jest w tym przypadku w grupie krajów północnych). – Po najbliższej zmianie czasu przyjdzie jeszcze jedna, na czas letni – zauważył wiceminister klimatu. – I chcemy, by to ten czas był właściwy – zapowiedział Miłosz Motyka. Właśnie na czas letni chciało przejść również ok. 80 proc. uczestników sondaży zleconych przez Ministerstwo Rozwoju i Technologii w latach 2018–2019.

Podsumujmy więc: większość Europejczyków nie chce zmiany czasu, większość polityków opowiada się za likwidacją zmiany czasu, jest też kierunkowa decyzja różnego rodzaju unijnych ciał w sprawie likwidacji zmiany czasu. Skoro więc wszystko wiadomo, to pytanie brzmi już tylko: Czy na praktyczne zmiany będziemy musieli czekać jeszcze kilka miesięcy, lat czy lat kilkanaście? Zapewne pod wpływem unijnej dyrektywy będziemy przestawiać wskazówki jeszcze co najmniej do roku 2026. A co potem? Czas pokaże.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 9265260d78

Boeing – powietrzne marzenie Ameryki

Piotr Semka z Seattle

Ameryka z racji swoich gigantycznych dystansów była wręcz stworzona dla rozwoju komunikacji lotniczej. Niezawodnych maszyn, które spełniły sen o lataniu, dostarczył krainie jankesów syn handlarza drewnem z Niemiec

Museum of Flying to jedna z największych atrakcji Seattle, czołowej metropolii amerykańskiego Pacific Northwestu. Północno-zachodniego zakątka USA graniczącego z jednej strony z Kanadą, a z drugiej z Oceanem Spokojnym. Tak naprawdę jest to muzeum koncernu lotniczego Boeinga, choć twórcy tej placówki wybrali skromniejsze określenie – Muzeum Latania.

To właśnie Boeing rozsławił miasto Seattle w całej Ameryce i przez długie dekady był największym pracodawcą w całym stanie Washington, na terenie którego znajduje się kompleks zakładów „Jetcity" – „Miasto Odrzutowców". Ten przydomek wielu mieszkańców Seattle powtarzało i powtarza do dziś z dumą. A to wielkie muzeum położone na południowych krańcach miasta opowiada o lotniczej przygodzie, która wiąże się z nazwiskiem Williama Edwarda Boeinga.

UPARTY SAMOUK

Chichot historii pobrzmiewa w mało znanym u nas fakcie, że William E. Boeing (1881–1956), którego nazwisko nosiły bombowce obracające w pył miasta III Rzeszy, był z pochodzenia Niemcem. Jego ojciec, Wilhelm Böeing, wyemigrował w połowie XIX w. z miasteczka Limburg an der Lenne w Zagłębiu Ruhry do Ameryki, gdzie zdobył majątek w handlu drewnem budowlanym. Syn miał kontynuować biznes ojca i w tym celu otrzymał staranne europejskie wykształcenie biznesowe na najwyższym poziomie.

Z racji swej specjalizacji handlarza drewnem młody William odwiedził w 1909 r. wielką wystawę „Alaska Yukon – Pacific". Dość przypadkiem trafił tam na urządzone przy okazji wielkiej imprezy jedne z pierwszych pokazów lotniczych. Boeing zafascynował się lotnictwem i zapragnął sam wznieść się w przestworza. Jak głosi legenda, paru kolejnych pilotów odmówiło wzięcia na pokład kogoś, w kim zapewne widzieli rozkapryszonego synalka magnata handlu drewnem. Odtrącony przez pionierów lotnictwa Boeing postanowił sam nauczyć się latać i skorzystał z jednego z pierwszych kursów awiacji w Los Angeles.

Ale samo latanie mu nie wystarczyło. Przyjrzawszy się istniejącym na rynku konstrukcjom, uznał, że sam jest w stanie wyprodukować o wiele lepszy aeroplan. Przy budowie samolotu przydała mu się dobra wiedza o konstrukcjach drewnianych. W Seattle wraz ze swym przyjacielem, oficerem amerykańskiej marynarki George'em Conradem Westerveltem, tworzy prototyp wodnopłatowca B&W.

Te pierwsze aeroplany wykonywane były z drzewa, płótna i odrobiny drutu, a jednak latały całkiem nieźle. Uroczysta chwila nadeszła 16 czerwca 1916 r. Boeing oblatuje pierwszy w świecie samolot noszący jego nazwisko, przezwany przez konstruktorów „Bluebill" (nazwa amerykańskiego ptaka z rodziny kaczkowatych). Miesiąc później, w lipcu 1916 r., powstaje Pacific Aero Product Company, który rok później zmienia nazwę na Boeing Airplane Company. Przyjaźń z porucznikiem marynarki USA raz na zawsze uwarunkowała to, co miało być w przyszłości przeznaczeniem koncernu Boeinga – pierwsze zamówienia dla wojska.

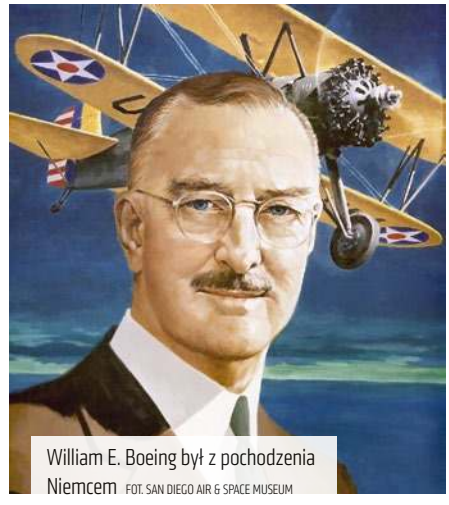

William E. Boeing był z pochodzenia Niemcem FOT. SAN DIEGO AIR & SPACE MUSEUM

W 1917 r. szykująca się do wojny US Navy zamawia u Boeinga partię 50 wodnopłatowców B&W. Symbolem tamtej pionierskiej epoki jest tzw. Red Barns – Czerwona Stodoła – pierwsza hala konstrukcyjna drewnianych wówczas jeszcze niemal w całości samolotów. Ten pomalowany wzorem skandynawskim na ciemnoczerwony kolor przewieziono w latach 70. z jego pierwotnego

eprasa.pl 9265260d78

miejsca i wmontowano w Muzeum Latania.

Jednak Boeing oprócz żyłki technika lotniczego miał też – jako były handlarz drewnem – doskonały zmysł handlowy. Szybko pojął, że w Ameryce – krainie gigantycznych odległości między miastami – samoloty mogą odgrywać świetną rolę w dostarczaniu poczty. Wiedział, że zawsze znajdą się ludzie, dla których szybkie przesłanie dokumentu jest warte nawet największych pieniędzy. I tak samoloty Boeinga zaczęły na siebie zarabiać. Potem, gdy rozwój techniki lotniczej pozwolił na budowanie ogromnych dwusilnikowców o odpowiednio większym zasięgu, Boeing rozpoczął tworzenie regularnych linii pasażerskich łączących amerykańskie metropolie. I w tym wypadku było dla niego jasne, że w Ameryce zawsze znajdą się także ludzie, którzy zapłacą nawet ogromne pieniądze za przywilej błyskawicznego przerzucenia się na długie dystanse. Piękne plakaty w stylu modernizmu sygnalizują na wystawie powstanie komercyjnych linii Boeinga. A od 1937 r. rozpoczęcia lotów samolotów pasażerskich. Boeing ma więc w garści komercyjny przewóz poczty, komunikację pasażerską oraz linie pasażerskie.

I wtedy dotyka go bolesny cios ze strony administracji w Waszyngtonie. Ekipa prezydenta Theodore'a Roosevelta wprowadza w życie plan gospodarczy big dealu, a jednocześnie jest niezwykle wyczulona na powstawanie karteli biznesowych. Urzędnicy federalni oskarżają Boeinga, że posiadając i fabrykę samolotów, i własne linie pasażerskie oraz pocztowe, stał się monopolistą na rynku lotniczym. Na skutek decyzji urzędów państwowych firma zostaje zmuszona do podzielenia się na trzy części. Osobnym bytem zostaje United Craft Corporation na Wschodnim Wybrzeżu USA, osobną firmą zostaje Boeing Air Plane Holding w Seattle i wreszcie jako osobne przedsiębiorstwo zaczyna działać linia lotnicza United Air Lines. Rozgoryczony ingerencją państwa w swój biznes William E. Boeing wycofuje się w 1937 r. z interesu. Oczywiście nie odchodzi bez odpowiedniej gratyfikacji finansowej, ale zniesmaczony całą sytuacją skupia się na hodowli koni na farmach na Zachodnim Wybrzeżu USA. Zachowuje status doradcy nowego zarządu firmy Boeing, jednak już nigdy nie będzie nią kierował. Trzeba przyznać, że koncern Boeinga pamięta o swoim twórcy i aż do śmierci Williama E. Boeinga w roku 1956 będzie zapraszał go na prezentacje nowych modeli samolotów.

WOJENNA KONIUNKTURA

Boeing nigdy nie zerwał specjalnych relacji z wojskiem i w latach 30. XX w. wraz z coraz bardziej napiętą sytuacją międzynarodową samoloty Boeinga stają się coraz bardziej potrzebne US Air Forces. Już w 1935 r. firma zaprezentuje nowy, niezwykle nowoczesny jak na swoje czasy samolot BX15. Formalnie ma to być maszyna przeznaczona do przewozu poczty na długie dystanse, ale na spotkaniach z wojskowymi jest reklamowana jako powietrzny krążownik bojowy. Te pełne emfazy określenie szybko zastępuje jeszcze bardziej efektowny termin – latająca forteca. Jak wskazują konstruktorzy, ma to być samolot, który jest w stanie obronić się przed wrogimi myśliwcami z licznymi gniazdami karabinów maszynowych.

W czasie wojny Boeing przeżywa gwałtowny rozwój. Szybko powstają liczne nowe fabryki koncernu, a linie montażowe nie są w stanie nadążyć za nowymi zamówieniami Departamentu Obrony. Ponieważ duża część robotników zostaje powołana do wojska, koncern zachęca, jak tylko może, młode dziewczyny do zajmowania zwolnionych stanowisk. Prasa w ramach patriotycznych akcji wprowadza na okładki piękne dziewczyny z nitarkami w dłoniach. Na wystawie pokazane są żartobliwe rysunki pokazujące, jak młode Amerykanki nie tylko szybko weszły w role ciężko pracujących robotników, lecz także – jak okazuje się z wystawy – przejęły także po robociarzach dość szorstkie maniery. Żartobliwy plakat z tamtej epoki głosi: „Drogie panie, poskramiajcie swój soczysty język. Może zdarzyć się, że wśród was będzie jakiś mężczyzna – dżentelmen".

W czasie wojny Boeing wyprodukował aż 13 tys. latających fortec, z czego połowę wyprodukowano w Seattle. Początkowo fabryka musiała pracować na dwie zmiany, aby nadrabiać stosunkowo duże straty wśród fortec, które często zestrzeliwali Niemcy w trakcie misji bombardowania

największych niemieckich centrów przemysłowych. Potem, gdy latające fortece zaczęły być strzeżone przez świetne myśliwce P-51 Mustang, straty zaczęły być znacznie niższe. W 1943 r. latającą fortecę B-17 zaczyna powoli zastępować jeszcze doskonalsza konstrukcja superforteca B-29. To właśnie takie samoloty zrzuciły w sierpniu 1945 r. bomby atomowe na japońskie miasta Hiroszimę i Nagasaki. Ale na wystawie nie jest to specjalnie eksponowane.

Oczywiście Boeing nie był jedynym producentem amerykańskich samolotów bojowych. Miał konkurencję w postaci firm Northern American, Lockheed czy McDonnell Aircraft Corporation. Ale to latające fortece były symbolem amerykańskiej przewagi w powietrzu. W muzealnym hangarze oglądam zgrabny ciemnooliwkowy kadłub zachowanej latającej fortecy. I trudno w takim momencie nie pomyśleć, co by było, gdyby w czasie drugiej wojny światowej Ameryka odwróciła się plecami od Europy, gdyby zwyciężyły w niej tendencje izolacjonistyczne. Za pomocą jakiej siły obóz wolności skruszyłby niemiecką potęgę militarną? Gdyby Hitler wygrał, Polacy w najlepszym razie byliby skazani na żywot nędznych niewolników w majątkach nowych panów

eprasa.pl 9265260d78

Muzeum koncernu lotniczego Boeinga. Samolot na pierwszym planie to NASA F-104 Starfighter FOT. MUSEUM OF FLIGHT

spod znaku swastyki. Jeśli ktoś mógł tę teutońską potęgę skruszyć, to tylko Ameryka ze swoim wolnym rynkiem, z cudowną zdolnością improwizacji i potęgą swej gospodarki. I dlatego, gdy spoglądam na latającą fortecę, która dziś odpoczywa w hangarze po wojennych perypetiach, trudno nie wypowiedzieć cichych słów: „Thank You America!".

PO GORĄCEJ WOJNIE WOJNA ZIMNA

Lata 1941–1945 były dla Boeinga okresem gwałtownego rozwoju. Oprócz centralnej fabryki w Seattle powstały liczne inne zakłady, które pozwoliły rozwinąć produkcję wojenną na masową skalę. Jak to piszą historycy firmy, „Boeing nabrał mięśni". W porównaniu z okresem sprzed wojny liczba pracowników wzrosła czterokrotnie. Do tego dochodziły dziesiątki podwykonawców, a wszyscy razem wykorzystywali ok. jednej trzeciej amerykańskiej produkcji aluminium – metalu, który był i lekki, i solidny. Pod koniec wojny jedna szósta robotników hrabstwa King, na terenie którego znajduje się Seattle, pracowała u Boeinga. Ale koniec wojny w 1945 r. wcale nie spowodował jakiejś radykalnej redukcji personelu. Owszem, Niemcy i Japonia zostały pokonane, ale zaczęły się zimna wojna i rywalizacja militarna z Rosją Sowiecką. A wyścig zbrojeń przyspieszał z roku na rok.

W 1946 r. rozpoczęto prace nad następcą superfortecy w postaci Stratofortress B-52, która miała mieć tę przewagę nad konkurentami, że mogła przeprowadzać bombardowania z poziomu stratosfery. Samoloty bojowe Boeinga pomagają Amerykanom sprostać agresji komunistów w czasie wojny w Korei w latach 1950–1953. Wojna koreańska to zresztą ostatni konflikt, o którym opowiada ekspozycja dotycząca historii koncernu. Dlaczego losy firmy doprowadzono tylko do 1958 r.?

Trudno nie odnieść wrażenia, że chciano w ten sposób uniknąć tematu wojny wietnamskiej, w którą Ameryka zaangażowała się w latach 60. Pamiętajmy, że jesteśmy w Seattle, gdzie kultura hippie i pamięć o kontestacji przełomu lat 60. i 70. jest elementem oficjalnej polityki superliberalnych władz miasta. Krótka ekspozycja na temat wojny wietnamskiej znajduje się w innej części muzeum, ale jest sporządzona w tonie czysto taktycznych opisów operacji US Air Force bez żadnego odnoszenia się do rozważań, czy wojna była słuszna czy nie. A jednak w takim miejscu jak muzeum Boeinga to pośrednie wstydzenie się walki bądź co bądź z komunistycznym totalitaryzmem budzi przygnębiające wrażenie.

BOEING ŁĄCZY ŚWIAT

O wiele chętniej od wojen prowadzonych przez USA od lat 60. ekspozycja muzealna opowiada o ściśle związanej z firmą Boeinga epopei masowego lotnictwa pasażerskiego. To odrzutowce z Seattle umożliwiły masowy ruch po całym świecie najważniejszych zachodnich linii lotniczych. Takie bestsellery jak odrzutowiec 707 czy jumbo jet okazały się bezkonkurencyjne na tle produkcji brytyjskich czy francuskich. Tylko połączenie sił europejskich producentów, które zaowocowało produkcją airbusów, pozwoliło Europie dotrzymać pola Boeingowi. Ale jeszcze ważniejszy był wkład Boeinga w kosmiczny program Apollo, dzięki któremu Ameryka przez długie dekady wyprzedzała inne światowe mocarstwa.

Seattle z bólem przyjęło przeniesienie (już w XXI w.) centrali firmy do Chicago. Ale najważniejsze muzeum lotnictwa w USA pozostało w Seattle. Ta kolebka amerykańskiej awiacji przyciąga wciąż turystów z całej Ameryki. Tylko tu można obejrzeć z bliska w jednym miejscu wszystkie produkcje Boeinga z ostatniego stulecia. Zajrzeć nawet do prezydenckiego samolotu Air Force One z lat 80. Najbardziej zainteresowani produkcjami koncernu mogą jeszcze wykupić specjalistyczną wycieczkę zwiedzania fabryk Boeinga w okolicy Seattle, ale to już atrakcja dla ludzi o zainteresowaniach technicznych.

Gdy wychodzę z budynku muzeum, dopiero teraz zauważam, że niedaleko od wejścia ustawiono figurkę chłopca puszczającego na wiatr model samolotu ze sklejki i bibułki. To przypomnienie, że bez takich dziecięcych marzeń o lataniu nie byłoby pionierów awiacji pokroju Williama E. Boeinga. A z kolei sukcesów takich ludzi jak Boeing nie byłoby bez Ameryki, która wielokrotnie dowodziła, że była i jest krajem nieograniczonych możliwości. A właśnie Boeing jest jednym z symboli tego optymizmu i witalności jankesów. W takim miejscu jak Museum of Flight można to poczuć wyjątkowo silnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Szczegóły na temat Museum of Flight w Seattle pod adresem www.Museumofflight.org.

eprasa.pl 9265260d78

Paryż przez

Joanna Bojańczyk

„Ty i Ja" było pismem elitarnym. Wszystko w nim było inne, niepodobne ani do istniejących na polskim rynku prasowym, ani do zachodnich pism, na których się jednak wzorowało. Było pięknym eksperymentem. I dlatego w realnym socjalizmie nie mogło przetrwać

Kładłyśmy się na trawie jak najciaśniej i przeglądałyśmy wolno, strona po stronie, chłonąc. Właściwie przeglądaliśmy, bo wśród pięciu kobiet był jeden mężczyzna, 30-letni sąsiad. Każdy chciał się dopchać jak najbliżej tego cudu – nowego miesięcznika „Ty i Ja", który jakimś cudem jednej z sąsiadek udało się zdobyć w kiosku w naszym miasteczku Milanówku.

Byłam najmłodsza i kolorowe strony pochłaniałam z ciekawością i zachwytem dziecka. Modelki na całostronicowych zdjęciach w rozpostartych żółtych i niebieskich sukienkach, w kolorowych pończochach i butach, które obywatel gomułkowskiej Polski mógł widzieć najwyżej w paczce od cioci z Ameryki. Wielkie swetry, tweedowe spódnice, sukienki we wzory op-art, mieszkania urządzone białymi meblami… Świat z innej planety.

Ale wokół i tak było lepiej. To były lata 60., chude i w miarę spokojne lata malej stabilizacji. Odwilżowy wiatr omiatał Polskę ostatnimi powiewami. AK-owców wypuszczono z więzień, na ulicach rozbłysły neony, w radiu puszczano jazz. W klubach książki i prasy można było przeczytać zagraniczną prasę. W Warszawie otwarto czytelnię francuską, w niej „Elle" i „Paris Match". Ludzie zaczęli wyjeżdżać za granicę i zobaczyli, jak wygląda inne życie.

Kraj odbudowano z pierwszych zgliszczy, życie się ustatkowało. Chruszczow potępił stalinizm, Gomułka obiecał lepszą przyszłość. A w niej wszystko to, czego brakowało w sklepach: meble, pralki, radia, odkurzacze. Te wszystkie dobra miały znaleźć miejsce w nowo wybudowanych mieszkaniach, których wciąż było za mało. Tych, które dzisiaj słyną z ciemnych kuchni, ciasnoty i niskich sufitów.

„Jednak partia czuła, że do kraju trzeba wpuścić trochę więcej powietrza" – mówi wieloletnia redaktorka „Ty i Ja" w książce „Paryż domowym sposobem" Agaty Szydłowskiej. – „Nowe pismo, kronika niespełnionej konsumpcji miała przygotować Polaków do rozsmakowywania się w rzeczach, które – jak sądzono – były na wyciągnięcie ręki, miały za chwilę nadejść". Tak się nie stało, ponieważ „Ty i Ja" rozbudzało apetyty, których centralnie rozbudzona gospodarka nie mogła zaspokoić.

„»Ty i Ja« było produktem odwilży, chociaż spóźnionym – pisze Agata Szydłowska. – Powstało już po największej fali liberalnych nastrojów. Mimo to pewne tematy, które pojawiły się z odwilżą, pozostały aktualne. Chodzi głównie o powrót do łask prywatności i zainteresowanie konsumpcją".

WYŻEJ POPRZECZKA

Teresa Kuczyńska: „Partia była czujna. Miała meldunki o nastrojach społecznych, czytała prasę i skoro zauważyła te nowe potrzeby, chciała mieć wpływ na to, jak one będą realizowane […], w pewnym momencie odbyła się narada w KC na temat prasy kobiecej. Ustalono, że trzeba coś zrobić, ustalić wyżej poprzeczkę […], uwzględnić nowe potrzeby ludzi… Pomyśleliśmy wtedy z Jurysiem, że należy wykorzystać otwartość partii na zmiany, i wymyśliliśmy to pismo".

Juryś, dziennikarz i publicysta, wcześniej zaangażowany komunista, i Teresa Kuczyńska, dziennikarka po ciężkich przejściach wojennych, obozach, utracie rodziny. Ta dwójka cztery lata po odwilży dostała przydział papieru i postanowiła stworzyć ambitne pismo dla ambitnych, wykształconych, otwartych kobiet. (Ile razy dzisiaj słyszymy to oklepane hasło z ust współczesnych mistrzów marketingu? Dzisiaj za tym stoją kolorowe pisemka wszystkie jakby pisane przez jedną osobę, krojone tą samą maszynką. Sformatowane pod target). „Ty i Ja" było naprawdę takie, nie tylko w hasłach reklamowych. Reklamy nie potrzebowało, i tak sprzedawano je spod lady.

„Ty i Ja" było inne. Wszystko w nim było inne, niepodobne do istniejących na rynku prasowym „Kobiety i Życie" i „Przyjaciółki". Ale także niepodobne do zachodnich pism, na których się jednak wzorowało i z których kradło bezkarnie zdjęcia, bo prawami autorskimi w krajach socjalistycznych nikt się nie przejmował. Było pięknym eksperymentem. Sprzedawało marzenia (jakbyśmy dziś powiedzieli), ale w jakim opakowaniu! Bez reklam, co dziś brzmi egzotycznie, z wyszukaną grafiką. Nie bójmy się słowa: było to pismo elitarne.

Najpierw okładka. Zamiast uśmiechniętej buzi w najmodniejszym ubra-

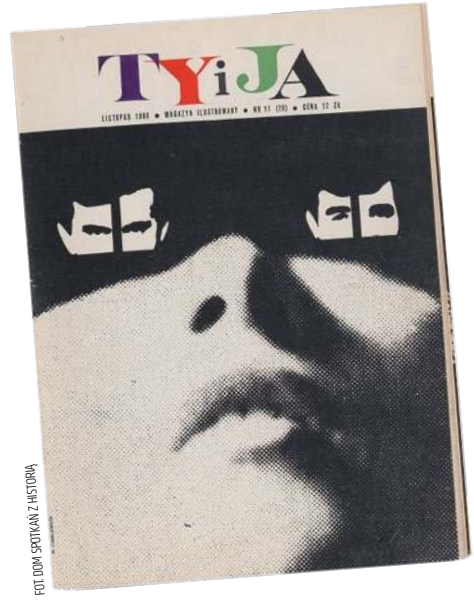

FOT. DOM SPOTKAŃ Z HISTORIĄ

eprasa.pl 9265260d78

niu w „Ty i Ja" mamy grafikę. Defilada najlepszych grafików, mistrzów polskiej szkoły plakatu: Andrzej Dudziński, Jan Lenica, Waldemar Świerzy, Franciszek Starowieyski, Jan Młodożeniec, Henryk Tomaszewski… Okładka miesięcznika nie była dla artystów chałturą, to były zaszczyt i popularność, na które ten zawód nie zawsze może liczyć. Przez mistrzów zaprojektowana była również makieta miesięcznika. Jej autorem był Roman Cieślewicz, a po jego wyjeździe do Paryża krótko dowództwo nad magazynem przejął Franciszek Starowieyski, po nim Elżbieta i Bogdan Żochowscy, którzy pracowali w piśmie aż do jego zamknięcia.

Pierwsze strony zajmowały literatura, poezja, publicystyka, reportaż, opowiadania, fragmenty świeżo wydanej albo mającej się ukazać powieści, gdyż redakcja była czuła na nowości rynku literackiego. Publikowano autorów polskich: Nałkowską, Konwickiego, a także nowości zagraniczne: Hemingwaya, Baldwina, Bułhakowa… Zanim to było modne. Ponoć pisarze sami przysyłali swoje teksty i nie żądali za nie honorarium.

EKSPERCI W TEMATACH

Do każdego tematu pozyskano znawców (dziś powiedzielibyśmy: ekspertów) i to takich, którzy nie tylko znali się na swojej ukochanej działce, lecz także potrafili o niej pisać. Dużo miejsca zajmował film. Nie były to tylko wzmianki czy fotki z gwiazdą, ale obszerne, kilkustronicowe, ciekawe artykuły. Jeden warunek – musiał to być film wartościowy, pozytywnie oceniony przez redaktorów, niekoniecznie poważny, bo popkultura wciskająca się śmiało za żelazną kurtynę także interesowała redaktorów. Ale era amerykańskich megahitów jeszcze nie nadeszła.

Recenzje filmowe pisał Andrzej Kołodyński, o nauce informowała Eugenia Łozińska, rubrykę zwierząt domowych prowadziła Irena Lewandowska. Pojawiła się także, śmiała jak na polską prasę w czasach pruderyjnego Gomułki, nowość: artykuły o seksie. Ich autorem był Zbigniew Lew-Starowicz.

O kuchni pisał duet: Maria Lemnis i Henryk Vitry – ośmielę się powiedzieć – najwybitniejsze pióro kulinarne wszech czasów. Pióro pojedyncze, ale tylko wtajemniczeni wiedzieli, że pod podwójnym pseudonimem ukrywał się smakosz, muzykolog i pisarz Tadeusz Żakiej. Rubryka kulinarna, całkiem w „Ty i Ja" obszerna, łączyła w sobie publicystykę, poradnictwo i żartobliwie zdystansowane podejście do siermiężnych realiów rynku. Jak kombinować, żeby smacznie ugotować, nie spędzając życia w kuchni i zaskakując domowników i gości. Te umiejętności miał pan Żakiej w jednym palcu.

Dział wnętrzarski prowadziła Felicja Uniechowska, żona grafika Antoniego Uniechowskiego, kolekcjonerka i historyczka sztuki, która w Warszawie znała „wszystkich". Nie bez powodu większość przedstawianych w kąciku wnętrzarskim mieszkań należała właśnie do bohemy. Filmowcy, intelektualiści, historycy sztuki, malarze, ludzie telewizji byli często po prostu sąsiadami oraz znajomymi Uniechowskiej i ona potrafiła do nich dotrzeć. W tych mieszkaniach nie chodziło o pieniądze, tylko o pomysłowość, styl. Gdy porównamy je z dzisiejszymi willami za miliony, umeblowanymi włoskim designem, tamte mieszkania wydają się skromniutkie. Coś zdobyte w Cepelii, coś zrobione własnym przemysłem, fotel po dziadku, pęk suchych kwiatów zasłaniający brzydką framugę. Takie były czasy.

Moda? „Spółdzielnia Społem Modny Strój poleca sukienki letnie do nabycia w sklepach WSS Społem". Reklamują dwie śliczne dziewczyny w kolorowych sukienkach. Dlaczego każda trzyma na smyczy groźnie wyglądającego doga, to już fantazja fotografa. To nic, że w naszym sklepie Społem o takich sukienkach nikt nie słyszał. Redaktorka mody „Ty i Ja" miała tego świadomość – o modzie pisała z dystansem wynikającym z twardych danych geopolitycznych. Mówiła: pokazuję wam piękną modę z Zachodu, ale u nas nie Paryż, musicie sobie same radzić. I tu: porozumiewawcze mrugnięcie okiem.

Ale oprócz mody z „Elle" była także moda polska w ambitnej fotografii Tadeusza Rolkego i Krzysztofa Gierałtowskiego. Kolekcje mody Polskiej, Telimeny, Cory, spółdzielni Modny Strój. Ale i nasz krajowy dorobek fashion opatrzony był komentarzem: popatrzcie sobie na te piękne rzeczy, a potem idźcie do swojej krawcowej, bo ich i tak nie będzie w sklepach… Nie dosłownie, ale przesłanie było takie.

Mówiono, że pani Gomułkowej „Ty i Ja" bardzo się nie podobało. To nie dziwi, przecież jej mąż uważał cytryny za zbytek. Można jeść cebulę – mówił towarzysz Wiesław. W każdym razie paradoks – to nie pani Gomułkowa zamknęła magazyn, stało się to w roku 1973, kiedy gierkowskie otwarcie zapowiadało świetlaną przyszłość dla obywateli Polski Ludowej, obiecując mieszkania, samochody i telewizory. Jak się skończyło, wiadomo. Najpierw zamknięto „Ty i Ja", potem ustrój.

O tym, że „Ty i Ja", wciąż pozostaje ideałem magazynu lifestyle'owego, świadczy wystawa w Domu Spotkań z Historią. Liczni twórcy rynku prasowego po transformacji mieli ambicje zrobić coś podobnego i nigdy nikomu się to nie udało.

dziurkę od klucza

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „»Ty i Ja«. Lajfstajlowy magazyn z Peerelu", Dom Spotkań z Historią, Warszawa, otwarta do 16 marca 2025 r.

eprasa.pl 9265260d78

VOLVO XC60 T6 AWD PLUG-IN HYBRID

FOT. JAP

Szwedzka marka to lider na rynku SUV-ów premium. Model XC60 jest zaś najlepiej sprzedającym się SUV-em spod znaku Volvo. Nie tylko globalnie. Również w Polsce akurat ten model od lat znajduje się wysoko na liście TOP 10. Nie ma w tym przypadku. XC60 to SUV wszechstronny. Praktyczny, bezpieczny, z klasycznie zaprojektowaną, mocarną sylwetką. Ta elegancka prostota sprawia, że choć to jedna z najstarszych konstrukcji wśród SUV-ów na rynku, to Volvo nadal wygląda bardzo dobrze.

W testowanej wersji T6 Recharge AWD to model nie tylko długowieczny, lecz także dynamiczny i… ekologiczny. Pod maską pracuje dwulitrowy, turbodoładowany silnik benzynowy wspierany przez silnik elektryczny. Łącznie maksymalna moc takiego zestawu to 350 KM (a maksymalny moment obrotowy wynosi 659 Nm). Jak to się przekłada na osiągi w praktyce? Otóż potężne auto o masie własnej wynoszącej ponad 2,1 t od zera do 100 km/h rozpędza się w zaledwie 5,7 s. Całkiem do rzeczy. Prędkość maksymalna wynosi 180 km/h.

Volvo w tej wersji prowadzi się pewnie. Tuż po wjeździe na autostradę hybryda błyskawicznie przełącza się z energii czerpanej z prądu na tę pochodzącą ze spalania benzyny. Po mieście teoretycznie XC60 w tej wersji da się jeździć tylko na prądzie. Według producenta zasięg wynosi 81 km. I jest to wynik rzeczywiście osiągalny w realnym świecie, bo pojemność akumulatora wynosi już 18,8 kWh. Trzeba jednak pamiętać, że bateria w tej hybrydzie dość wolno się ładuje. Na uzupełnienie zapasu energii trzeba przeznaczyć kilka godzin, więc jest to opcja dla osób, które zamierzają ładować SUV-a w nocy we własnym garażu lub na biurowym parkingu.

Samochód ma 4708 mm długości i 1902 mm szerokości, więc w kabinie absolutnie nie można narzekać na brak miejsca. Wrażenie przestronności potęgować mogą jasna tapicerka oraz panoramiczny dach. Wnętrze jest eleganckie, minimalistyczne i wykończone materiałami wysokiej jakości. W centralnym punkcie kokpitu znajduje się dotykowy wyświetlacz, za którego pomocą steruje się wszystkim – od włączania muzyki, poprzez ustawiania klimatyzacji, do podgrzewania kierownicy czy przednich foteli. Wyświetlacz znajdujący się za kierownicą można łatwo dostosować do własnych wymagań. System bez problemu współpracuje również z iPhone'ami czy smartfonami Androida.

Kabina jest stosunkowo dobrze wyciszona, choć gdy zmuszamy silnik benzynowy do silniejszej pracy lub gdy w akumulatorze zapas energii spada do zera, to hałas w kabinie robi się zdecydowanie zbyt duży jak na tak luksusowe wnętrze. Foremny bagażnik został zredukowany do 468 l pojemności. Po złożeniu tylnej kanapy można go powiększyć do 1395 l.

Cena XC60 T6 AWD Plug-In Hybrid zaczyna się od 269,9 tys. zł. Testowany egzemplarz wyceniony był zaś na ponad 340 tys. zł.

KAMERA SOLARNA OMAJIN

Solidna metalowa obudowa, szeroki kąt widzenia, bezproblemowe zasilanie dzięki panelowi słonecznemu, noktowizor, zaawansowany system detekcji ruchu, mocny reflektor oraz bajecznie prosta instalacja oraz obsługa – to największe zalety kamery solarnej Omajin, czyli tańszej marki znanej z produkcji inteligentnych urządzeń francuskiej firmy Netatmo. Z założenia producenta w portfolio Omajin by Netatmo mają znaleźć się produkty przystępne cenowo i proste w obsłudze. I rzeczywiście w przypadku testowanej kamery solarnej o nazwie Omajin OSC-01-EU stosunek ceny do jakości wydaje się atrakcyjny. Solidnie zbudowaną kamerę można zainstalować gdziekolwiek, gdzie dociera domowy/firmowy sygnał wi-fi. Do instalacji nie potrzeba ani kabli, ani żadnych umiejętności. Wystarczy kilka minut i urządzenie jest gotowe do pracy. Zaletą testowanego modelu jest to, że panel słoneczny jest przytwierdzony do góry kamery. Zamontowane akumulatorki powinny pozwolić kamerze na pracę nie tylko nad Morzem Śródziemnym, lecz także w szerokościach geograficznych, w których promieni słońca jesienią i zimą jest jak na lekarstwo (teoretycznie na jednym ładowaniu mogą wytrzymać nawet do pięciu miesięcy). Zaletą jest też odporność na pył i wodę zgodnie z normą IP 55.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Prosta w obsłudze jest również bezpłatna aplikacja Omajin. Można ją również połączyć z Google Home lub Amazon Alexa. Za pomocą aplikacji można wybrać np., czy urządzenie ma alarmować po wykryciu każdego ruchu czy tylko po wykryciu sylwetki człowieka. Producent deklaruje, że wbudowana czujka PIR ma zasięg 10 m i kąt detekcji wynoszący 120 stopni.

Kąt widzenia samej kamery to 110 stopni. Urządzenie jest też wyposażone w noktowizor oraz mocne diody LED, które nawet w ciemną noc rozświetlają otoczenie tak, że kamera pokazuje obraz w kolorze. Jakość obrazu jest dobra i pełna detali (rozdzielczość nocnego obrazu to aż 1080 p). Aby przestraszyć potencjalnych wykrywaczy, można włączyć wbudowaną syrenę (ta mogłaby być głośniejsza) lub przez głośniczek spróbować zwrócić się wprost do intruzów.

Minusy? Brakuje możliwości ustawiania stref prywatności, w których ruch nie wywoływałby alarmów. Szkoda też, że do obsługi kamery potrzebna jest nowa aplikacja, a nie da się jej sparować z apką Netatmo. Jeszcze bardziej żałować można zaś, że aplikacja Omajin została słabo spolszczona. Na szczęście to jednak wada, która jest łatwa do naprawienia przez producenta i która nie wpływa na skuteczność tej kamery jako elementu domowego systemu monitoringu.

Cena: 729 zł.

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl 9265260d78

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Collegium Nobilium

JACEK KOMUDA

Pierwsza nowoczesna szkoła wyższa, zgodna z duchem oświecenia, powstała w 1740 r. przy ul. Długiej w Warszawie. Było to Collegium Novum, wkrótce zmienione na Collegium Nobilium Scholarum Piarum, założone przez ks. Stanisława Konarskiego i prowadzone przez zakon pijarów. Od 1775 r. mieściło się w gmachu przy ul. Miodowej, dziś pod numerem 22/24, gdzie obecnie znajduje się Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza.

Collegium wprowadzało nowe zasady nauczania, zrezygnowano z kar cielesnych, gdyż – jak podaje Beata Sobolewska Strzelczak – „Nauczyciel [...] nie miał być sędzią i tyranem, ale troskliwym ojcem, który poprzez swoją pracę ma wzbudzić w wychowankach miłość do wiedzy i do Boga". Nie karano rózgą ani przeniesieniem do „oślej ławki" przy piecu – przeciwnie: uczniów dopuszczających się wykroczeń sadzano obok prymusów, aby brali z nich przykład.

RYS. QBA

W Collegium wprowadzono naukę języka polskiego obok łaciny i w ogóle dopuszczano do rozmów w języku narodowym, co było nowością, bo w jezuickich szkołach pogawędka taka była zakazana pod groźbą kary. Obok łaciny wykładano nowoczesne przedmioty: historię, arytmetykę, gramatykę, geografię, kaligrafię i zasady wymowy, a także dwa języki: niemiecki i francuski. Nieobowiązującymi przedmiotami były architektura, język włoski, musztra, fechtunek, jazda konno i muzyka. Oprócz tego uczono także przedmiotów z różnych przydatnych dziedzin wiedzy jak mechanika, ogólna, hydraulika, statyka, fizyka i teologia.

W programie nauczania znalazły się także nowoczesne lektury, dzieła Pascala, Moliera, „Bajki" Lafontaine'a, tragedie Corneille'a. Na historii i języku polskim omawiano dzieła polskich historyków i pisarzy: Bielskiego, Stryjkowskiego, Kochanowskiego, Twardowskiego, Potockiego, Skargi. Szkoła była pięcioklasowa, zamknięta, to znaczy uczniowie mieszkali w internacie. Wbrew powszechnemu zwyczajowi pijarów Collegium było przeznaczone tylko dla młodzieży szlacheckiej i w pełni płatne. Jego wpływ na zmianę oblicza dawnej Rzeczypospolitej był ogromny. Dość wspomnieć, że kończyli je m.in.: Ignacy i Stanisław Kostka Potoccy, Michał Jan Pac czy poeta Józef Szymanowski.

Zajęcia zaczynały się od godz. 5.30, trwały do 17 lub 21, w dni rekreacyjne tylko trzy godziny, dodawano jednak trzygodzinną przechadzkę po mieście. Collegium Nobilium, jak pisze M. Klonowska, była to „wzorcowa szkoła pijarska, której zmodernizowany program nauczania zapoczątkował reformę szkolną Konarskiego, poprzedzającą ewolucyjne zmiany w całym systemie oświatowym Rzeczypospolitej". Należy też pamiętać, że nie była to jedyna taka pijarska placówka w Rzeczypospolitej. Od 1657 r. w stolicy działało Collegium Regium, szkoła średnia dostępna dla wszystkich, oraz założone w XVIII w. Convictus Civilis – dla młodzieży mieszczańskiej. Były to jednak szkoły średnie, a nie wyższe.

Kolejną zasługą pijarów było utworzenie w Rzeczypospolitej placówek naukowych kształcących kadrę nauczycielską zwanych „profesoriami". Pierwsza powstała jeszcze w 1648 r. w Podolińcu na Spiszu. Dziś to Słowacja. Mało kto wie też, że znajdowało się tutaj kolegium pijarskie, w którym nauczał sam Szymon Konarski, kiedy wstąpił do zakonu w 1715 r. Kolejne zostało założone w Rzeszowie. W placówkach tych kształcili się przyszli nauczyciele. Kandydatami do profesorium byli – jak podaje Beata Sobolewska Strzelczak – młodzi ludzie, którzy ukończyli nowicjat i przygotowanie retoryczne trwające dwa lata. A więc przyszli zakonnicy.

Zakon pijarów sam w sobie powołany został w celu kształcenia młodzieży. Założył go w 1597 r. Józef Kalasancjusz – pochodzący z Katalonii duchowny, który w czasie wizyty w Rzymie przeraził się niskim poziomem umysłowym tutejszej młodzieży. Założone przez niego szkoły były bezpłatne, przyjmowały nawet analfabetów. Misję zakonu ujął w haśle „pietas et litterae", czyli pobożność i kultura. W Rzeczypospolitej konwenty pijarskie rywalizowały z jezuickimi, zakon Kalasancjusza wyszedł jednak dobrze na kasacie jezuitów w 1773 r., gdyż przejął po nich kolegia w Drohiczynie, Kaliszu, Łomży, Piotrkowie oraz Rawie Mazowieckiej.

Jakie były dalsze losy Collegium Nobilium? Cóż. Nieszczególne, podobnie jak los Rzeczypospolitej. W 1807 r. wojsko francuskie zajęło budynek przy ul. Miodowej. Collegium przeniosło się wówczas do letniego konwiktu wzniesionego na Żoliborzu, na Faworach. W 1832 r. zabudowania zostały zajęte przez Moskwę i wykorzystane jako budynki garnizonowe i gospodarcze wznoszonej w tym miejscu Cytadeli Warszawskiej. To był ostateczny koniec wzniosłej idei Collegium Nobilium. ©℗

eprasa.pl 9265260d78

SIOSTRY GOTUJĄ

Wielkie przejście owiec

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

Jak to kiedyś powiedział nam pewien wspaniały ksiądz dobrodziej: „Przypadki występują tylko w gramatyce języka polskiego, a wszystko, co nas spotyka w życiu, to sprawa woli Bożej". Otóż zupełnie „przypadkiem" znalazłyśmy się w Szczawnicy – malowniczej miejscowości uzdrowiskowej, położonej na pograniczu Pienin i Beskidu Sądeckiego. W Szczawnicy każdego roku jesienią organizowany jest redyk – jedna z najbardziej widowiskowych imprez w naszych górach. Tego dnia ulicami miasta przechodzi ok. 1,5 tys. owiec. Redyk to góralski zwyczaj, który ma swoje głębokie korzenie pasterskie ściśle związane z tym terenem. To obyczaj, który celebruje się zarówno wiosną, kiedy stada wychodzą na hale, jak i jesienią, kiedy z hal powracają. Redykowi towarzyszą tańce, śpiewy, lokalne jarmarki i prezentacja rzemiosła góralskiego. Jesienny redyk wieńczy cały ciężki sezon pracy zwierząt i juhasów. Towarzyszą temu wydarzeniu jeszcze inne rytuały – okadzanie owiec dymem, ich liczenie, kiedy to pasterz dotyka kapeluszem każdego swojego zwierzęcia, i kropienie ich wodą święconą dla ochrony i na szczęście.

Uważa się, że woda święcona ma wyjątkową moc oczyszczającą. Możemy wybrać się w nasze polskie góry i jeszcze 27 października w Czarnym Dunajcu zobaczyć to niezwykłe widowisko. Podczas tej krótkiej wizyty będzie okazja, by skosztować duszonej baraniny. Mięso to uznawane jest za prawdziwy rarytas w kuchni europejskiej, i nie tylko. W krajach Bliskiego Wschodu, gdzie zabronione jest spożywanie wieprzowiny, baranina jest bardzo popularna i ceniona. Ma specyficzne i charakterystyczne tylko dla tego mięsa smak i zapach, poza tym jest to bardzo zdrowe mięso. Nam bardzo smakuje, szczególnie w postaci gulaszu z warzywami i przyprawami. Przepis na gulasz z mięsa baraniego z dynią wydawał nam się idealną propozycją na jesienny obiad.

Gulasz z baraniny

- 700 g udźca baraniego
- 500 g dyni, najlepiej hokkaido
- ⅓ szklanki oliwy do smażenia
- ½ litra bulionu warzywnego
- 1 cebula • 3 ząbki czosnku
- ½ łyżeczki słodkiej i ostrej papryki
- ½ łyżeczki kurkumy • ½ łyżeczki pieprzu • 1 łyżeczka soli • łyżeczka tymianku • 1 łyżeczka rozmarynu
- ½ szklanki czerwonego wina
- ½ łyżki mąki • ½ kubeczka gęstej kwaśnej śmietany • garść natki pietruszki

Mięso pokroić na kawałki, cebulę również pokroić, razem z czosnkiem. W dużym garnku rozgrzać oliwę, dodać mięso, obsmażyć z każdej strony, dodać przyprawy, smażyć kilka minut, następnie podlać winem, poczekać, aż odparuje, i dolać bulion (można również dodać trochę wody). Gulasz gotować na małym ogniu ok. dwóch godzin, po czym dodać pokrojoną w kostkę i oczyszczoną z pestek dynię. Gotować jeszcze 30 min. Na koniec dodać śmietanę wymieszaną z mąką dla zagęszczenia sosu (mąkę można pominąć). Posypujemy natką pietruszki i podajemy z duszonymi ziemniakami z masłem. ©℗

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jesienna skarpetka

FOT. ADOBE STOCK

JOANNA BOJAŃCZYK

Minął sierpień, minął wrzesień, już październik i ta jesień… Gdy jedni żegnają się z pomidorami, inni witają się ze skarpetkami. Całe lato można chodzić z bosymi stopami, teraz koniec. Już się nie da.

W poradnikach o męskim ubraniu omawia się muszki, krawaty, apaszki, spinki. O skarpetkach jest niewiele (skarpetkach – nie skarpetach, które to toporne słowo rodem ze słownika PRL-owskiego zaopatrzeniowca rozlało się po polszczyźnie). A przecież zła skarpetka może całkiem zepsuć efekt dobrego ubrania.

Ale „zła" – co to znaczy? Dziś kryteria tak się rozmyły, że nie wiadomo, czy wełniane skarpetki w jakimś ciemnym kolorze sięgające do połowy męskiej łydki można jeszcze uznać za jedynie słuszne. Nie dość, że na każdym rogu można kupić skarpetki w dowolnych wzorach i kolorach, to jeszcze podział męski/damski jest dzisiaj nie tylko niepotrzebny, lecz także mocno niepoprawny. Kiedy kobiety chodzą w spodniach, a premier Trudeau nosi skarpetki od pary, to znaczy, że zasady przestały obowiązywać.

Kiedy mój dziewięcioletni wnuk chodził w jednej czerwonej, drugiej zielonej, rodzice kazali mu zrobić porządek w szufladzie i poszukać skarpetek do pary. Ale porządki się nie udały i rodzice machnęli ręką. W tym czasie w ramach postaw antykonformistycznych wśród młodzieży noszenie dwóch różnych skarpetek stało się już nie ekstrawagancją, ale normą.

„Mizantropi i nudziarze mają zawsze na nogach brzydkie, nieciekawe ponure skarpetki, zaś ludzie szlachetni, pogodni i mądrzy hedoniści dbają o nie, nie bacząc, że ich przeznaczenie jest raczej przyziemne" – pisał Leopold Tyrmand, najbardziej znany użytkownik i fetyszysta skarpetek.

Tyrmand żył w czasach, kiedy każdy skrawek koloru ubarwiający stalinowską rzeczywistość uważany był za cud. I z takiego punktu widzenia wystawił swoją opinię, w której „brzydkie i nieciekawe" są skarpetki szare, a fajne kolorowe. Wtedy tak było. Z takiego punktu widzenia oceniano jego skarpetki w romby, które zapewne kupował na ciuchach, gdzie ubierali się mężczyźni pretendujący do elegancji.

Kolorowe skarpetki Tyrmanda przeszły do literackiej legendy polskiej mody. Były manifestacją buntu pisarza przeciw szarzyźnie i uniformizmowi ówczesnej Polski. „Swoje skarpetkowe obsesje na granicy pornograficznych fantazmatów Tyrmand najpełniej chyba zdradził w niedokończonej powieści »Wędrówki i myśli porucznika Stukułki«" – pisze Piotr Szarota w książce „Od skarpetek Tyrmanda do krawata Leppera".

Fantazmaty to może przesada. Ale przeciw białym frotté ostro protestuję. ©℗

eprasa.pl 9265260d78

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Czasy początku historii

Zastanawiam się, jak to się dzieje, że coraz częściej coraz więcej z nas godzi się na rzeczy kiedyś nie do pomyślenia. Mamy wysyp jakichś klimatycznych szaleństw, wojującą „nową obyczajowość" zamiast „nowej normalności". Żyje się coraz trudniej, coraz drożej, w coraz większej atomizacji, a zarazem w coraz większej kolektywizacji plemion. Czemu kiedyś byłoby to niemożliwe, a wieszczek takiego roku 2024 byłby w roku powiedzmy 2015 obiektem pukania się w – jego – czoło?

Myślę, że jest tego kilka przyczyn. Po pierwsze, jesteśmy dość dobrze obrobieni medialnie. Covidowe czasy pokazały, że można nam wcisnąć nawet wyrozumiałość dla zakazu chodzenia do lasu. A ja już wtedy wieszczyłem z innymi, że przeniesiemy tę tresurę w obszar ekologicznych zagrożeń. I wielu to kupiło – występuje nawet psychologiczna jednostka chorobowa „depresji klimatycznej". Świat więc płonie i nie szkoda rachunków, kiedy płoną lasy. Inni jakoś to mieszają z wojną polsko-polską. Oto PiS, ustępując Unii, by się Tuskowi nie podłożyć, podpisał ponoć Brukseli wszystkie ekokwity, obecna uśmiechnięta Polska zaś cała jest na zielono, choć w koalicji jedyni zieloni, czyli PSL, z tych ekologicznych obostrzeń najmniej są zadowoleni. Tu jest różnie z tymi kolorami, jak w anegdocie, kiedy mały Jasio rozmawia z tatą o jagodach w lesie. Tato: To są czarne jagody. Jasio: A dlaczego są czerwone? Tato: Bo są jeszcze zielone. Tak, dzisiaj zieleń to niedojrzała czerwień, a na końcu czerń.

Świat końca historii przyspieszył ją, i to w nieznanym kierunku. Nie wiadomo, co z tego się wyłoni, tylko łowcy spiskowych dziejów uważają, że ktoś tym kieruje w nieznanym – nam – celu. Czy może jesteśmy już tak przegnili, jak kiedyś Rzymianie, i przeżyją nas dzisiejsi barbarzyńcy? Myślę, że rozpętano takie żywioły, iż nikt nad nimi już nie panuje. Jedyne, co wiadomo, to to, że historia będzie eskalować do jakiegoś przesilenia. Wyłoni się z tego pewnie jakaś nowa. Ale czy normalność?

Co się wydarzyło przez te lata, że w stuporze patrzymy się na gwałtowne przemijanie naszego świata? Moim zdaniem COVID uświadomił jednak suwerenowi, że jego sprawczość jest tylko pozorem. Przecież nikt z nas by sobie kwarantanny, lockdownu, maseczki czy przymusu szczepionkowego sam nie zaserwował. Władza pokazała, co może, obywatel zaś mógł tylko skulić uszy i… uwierzyć, że to słuszna prawda, bo inaczej miałby dyskomfort poznawczy. I pewnie tak jest i teraz. Oni tam na górze wiedzą lepiej, a nawet jakby i nie, to co ja mogę sam zrobić?

Powiedziało 10 mln wyborców. ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Edukacyjna kontrrewolucja

Wobec groźby zniszczenia polskiej szkoły zmianami wprowadzanymi przez MEN odbyła się w Sejmie konferencja „Polska szkoła – dekonstrukcja i fundamenty odbudowy". Patronatem objął ją wicemarszałek Krzysztof Bosak, a wzięło w niej udział ponad 150 nauczycieli, dyrektorów placówek oświatowych, rodziców, działaczy związków zawodowych i organizacji pozarządowych.

Podstawowym zagrożeniem jest swoiste upaństwowienie uczniów przez odebranie rodzicom prawa do wychowania dzieci zgodnie z utrwalonymi wartościami. Przykładem ideologicznego szaleństwa mogą być wprowadzane już w niektórych szkołach statuty, gdzie obok słów „uczeń" i „uczennica" dopisuje się „osobę uczniowską", a w ankietach pojawiają się więcej niż dwie płcie.

Mówcy rozszyfrowali zakres wprowadzonych przez minister Nowacką zmian jako niszczycielską koncepcję, która nie proponuje żadnych trwałych, opartych na faktach celów, jeżeli chodzi o naturę człowieka. Istotą tej pseudoreformy jest formatowanie ucznia przez tzw. programowanie uniwersalne. Zbigniew Barciński wskazał to czytelnie na przykładzie wprowadzanego przez MEN tzw. profilu absolwenta. Biorąc pod uwagę zmiany w podstawach programowych języka polskiego i historii, redukcję listy lektur, przygotowywanie polsko-niemieckiego podręcznika do historii i likwidację przedmiotu historia i teraźniejszość – absolwent ma mieć słabsze poczucie tożsamości narodowej. Przez powolną likwidację katechezy tzw. idealny absolwent ma mieć mniejsze przywiązanie do chrześcijaństwa i wiary. Wprowadzenie edukacji zdrowotnej i jednoczesna likwidacja wychowania do życia w rodzinie sprawią, że kwestie seksualności przeniesione zostają z kontekstu małżeństwa i rodziny w obszar zdrowia i indywidualnego „dobrostanu".

Do tego dochodzi wprowadzenie jednego przedmiotu przyroda zamiast fizyki, biologii i geografii oraz zakaz prac domowych w pierwszych klasach. Idealny projektowany absolwent ma mieć mniejszy zakres wiadomości i nie powinien być wdrożony do samodzielnego wysiłku w celu zdobywania wiedzy. W nowej koncepcji nie ma śladu tego, co klasycy pedagogiki uznawali za cele. Dominuje odpersonalizowane podejście do ucznia. Nie ma zatem słowa o celu, którym jest wspieranie struktury wewnętrznej osobowości. Nie ma słowa o samodzielnym poszukiwaniu prawdy i stawaniu sobie wymagań. Zrezygnowano z kształcenia w kierunku stawania się dojrzałą osobą i stawaniu się podmiotem. Konferencja pokazuje, że opór wobec rewolucji trwa. Rzecz w tym, że wiedza ta dotrze do chyba nieco zdezorientowanych rodziców. ©℗

eprasa.pl 9265260d78

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Sporu nie ma

Kategorycznie i stanowczo pokłócił się ze sobą Donald Tusk z mównicy sejmowej, zarzucając sobie bezczelne kłamstwo: „Nikt nie mówił tu o zawieszeniu prawa do azylu. To jest nieprawda" – grzmiał. Stop. Wtedy jednak pamiętliwi a podstępni internauci odpalili dość świeży filmik z Donaldem Tuskiem, na którym mówi, co następuje: „Jednym z elementów strategii migracyjnej będzie czasowe, terytorialne zawieszenie prawa do azylu". Stop. Zwolennicy Donalda Tuska obawiają się, że w najbliższych dniach Tusk może napaść na Tuska, a zawstydzające sceny rękoczynów przedostaną się do Internetu. Stop.

Gramofon, luksusowy zegarek, polaroid, smartfony… Takie rzeczy kupowała sobie na biuro poselskie Klaudia Jachira. Stop. Jak widać, jej przeciwnicy bezpodstawnie twierdzą, że niespecjalnie ci ona mądra…

Starszy pan przyszedł na spotkanie z Szymonem Hołownią z zeszytem i pokornym głosem poprosił o numer telefonu do lekarza, który miał do tego pana zadzwonić, a nie zadzwonił. Stop. Jak pamiętamy, Hołownia w kampanii wyborczej obiecywał, że jak dostanie się do władzy, to nie my będziemy dzwonić do lekarzy, tylko każdy będzie miał swojego lekarza, który będzie do nas dzwonić i nawet zlecać badania. Stop. Hołownia jest w koalicji rządzącej, ale starszemu panu numeru nie podał. Stop. Marszałek z TVN ma jednak sukces i powody do zadowolenia: opłaciło się żerowanie na naiwności biednych ludzi.

Komisja Wenecka po przyjeździe do Polski stwierdziła jednoznacznie, że nie ma żadnych neosędziów, a są po prostu sędziowie. Stop. Cała narracja Bodnara i prorządowych sędziów z dziwacznych stowarzyszeń będących przybudówką partii legła więc w gruzach. Stop. Ze stwierdzenia Komisji Weneckiej wynika w sposób oczywisty m.in., że orzeczenie Izby Karnej Sądu Najwyższego, iż Korneluk nie jest prokuratorem krajowym, a Bodnar złamał prawo, awansując go (w sumie nieskutecznie) na to stanowisko, jest ważne. Stop. I co zrobił Bodnar? Stop. Podobno łyka garściami tabletki na zapomnienie. Stop.

Robert Kropiwnicki z Platformy Obywatelskiej ma 12 mieszkań, które wynajmuje, ale na wynajem dla siebie 13. dostaje pieniądze od Sejmu. Stop. Mieszkania, które ma, nie są bowiem w Warszawie, a on na koszt podatnika chce mieszkać właśnie w stolicy. Stop. Wszystko jest zgodne z prawem, jednak cóż, trąci fetorkiem myrchowania.

Po roku od wyborów Anna Maria Żukowska z Lewicy z mównicy sejmowej króciuteńko streściła rządy Koalicji 15 października: „Ta rocznica nam się nie udała!". Stop. Sporu nie ma. ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Polityczny „Lord Paradoks"

Nadzwyczaj ciekawymi refleksjami dzielą się ostatnio politycy Prawa i Sprawiedliwości. W udzielonym portalowi Interia wywiadzie na pytanie brzmiące „Wiecie już, dlaczego musieliście oddać władzę i kto zawinił?" stanowczo odpowiedział Jacek Sasin: „Nie ma sensu dzisiaj mówić, kto zawinił". Opinię swoją powtórzył kilkakrotnie, mając zapewne na celu lepsze utrwalenie jej w pamięci czytelników: „Niemniej nie ma dzisiaj sensu roztrząsanie błędów, które pewnie popełniliśmy, lepiej skupić się na tym, co przed nami".

Dociskany przez dziennikarkę, która pojęcie sensu rozumiała zapewne inaczej, bliski współpracownik prezesa PiS przyznał, że niewątpliwym błędem partii było przeciwstawienie się aborcji. „Tuż przed wyrokiem w sprawie aborcji w naszych wewnętrznych badaniach dochodziliśmy do absolutnie rekordowego poparcia nawet 47 proc. I rzeczywiście wtedy wyrok TK – i to, co się po nim stało, czyli te masowe protesty – doprowadził do tąpnięcia sondażowego […]. Dzisiaj, z perspektywy czasu, można otwarcie przyznać, że to był błąd".

Opinie tego rodzaju dziwić mogą u przedstawiciela partii, której prezes na partyjnym kongresie cytował z podniosłą emfazą słowa „błogosławionego księdza kardynała prymasa Stefana Wyszyńskiego, Prymasa Tysiąclecia, który mówił: »Kto będzie chciał zniszczyć naród polski, ten zacznie od Kościoła«". Opinia polskiego Kościoła na temat aborcji jest zupełnie jednoznaczna. Sam Prymas Tysiąclecia walki z tym ciężkim grzechem za żaden błąd z pewnością nie uważał.

Rozmiłowany w pielęgnowaniu różnorakich sprzeczności Jarosław Kaczyński oświadczył na kongresie w Przysusze: „Ja wiem, że to wzbudza wiele oporów, ale w polityce trzeba umieć nad pewnymi faktami przechodzić do porządku dziennego. Ja żartem często mówię, żartem oczywiście, że w polityce trzeba mieć pamięć dobrą, ale krótką". Docenić należy, że zarówno paradoksalnych żartów, jak i krótkiej pamięci wytrwale uczy swoich zwolenników sam prezes, dając w przemówieniach niezrównane przykłady ich mistrzowskiego użycia. O byłym ministrze kultury, prof. Piotrze Glińskim, powiedział Jarosław Kaczyński w Przysusze: „Naprawdę, w ciągu dziejów Polski, tych powojennych […], nie było wybitniejszego ministra kultury. Co więcej, nikt nie mógł się nawet z nim porównać".

Jedynym równie znakomitym, obok prezesa Kaczyńskiego, twórcą paradoksalnych sformułowań był XIX-wieczny pisarz irlandzki Oskar Wilde. „Lord Paradoks" literatury angielskiej byłby z pewnością dumny ze wszechstronnie utalentowanego następcy i naśladowcy. ©℗

eprasa.pl 9265260d78

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Wartości europejskie

Pojęcie wartości europejskich występuje w bardzo wielu podstawowych dokumentach Unii Europejskiej bez dalszych wyjaśnień. Dotychczas wydawało mi się, że do tych wartości należy zaliczyć przede wszystkim hipokryzję, która nakazuje zawodowym „Europejczykom" wmawianie obywatelom swych państw, że jest inaczej niż naprawdę. Na przykład nie można być Europejczykiem, nie będąc Francuzem, Włochem czy Polakiem, a okazuje się, że można, a nawet trzeba.

Pas transmisyjny zwabiania migrantów stale się kręci. Napędzają go głupota i potężne interesy. Gdzie są w tym wszystkim policja i wymiar sprawiedliwości?

Obejrzawszy przejmujący belgijski film „Tori i Lokita" o dwojgu dzieciach afrykańskich miotających się w europejskim „nowym wspaniałym świecie", zrozumiałem, że wśród „wartości europejskich" poczesne miejsce zajmuje ułatwianie brudnych interesów. Bo cóż my tu widzimy?

Wiarygodność obrazu potęguje ukazanie go z perspektywy nieszczęsnych „uchodźców", czyli migrantów szukających w Europie lepszego życia. Nie jest to banda „ciapatych", podpalających samochody czy gwałcących białe kobiety. Mamy do czynienia z kilkunastoletnią dziewczyną z Beninu i młodszym od niej chłopcem, którzy poznali się „na łodzi" i pomagają sobie, jak mogą w obcym świecie, wykazując przy tym niezwykły spryt, inteligencję i solidarność. Ponieważ chłopiec dostał legalne papiery, oboje udają rodzeństwo, na co „legalistyczna" władza nie daje się nabrać. Żeby zdobyć pieniądze na opłacenie przemytnika, notabene czarnoskórego, rozprowadzają narkotyki. Rzecz kończy się nieszczęśliwie i pozostaje refleksja: Co to wszystko mówi o europejskich „centrach doskonałości"?

Trzeba zadać dwa podstawowe pytania. Po pierwsze: Czy obojgu lepiej jest, walcząc o przeżycie w obcym, w gruncie rzeczy przestępczym świecie, czy byłoby lepiej w afrykańskiej biedzie. Oraz po drugie: Czy ich przybycie do Europy jest jakimś pozytywnym wkładem w tutejsze życie? Wydaje się, że odpowiedź na obydwa pytania byłaby negatywna. Być może jedynym wyjściem dla obojga byłoby uzyskanie wybitnych wyników w biegach. Wtedy wszyscy byliby zadowoleni, a państwo, które ich przyjęło, uzyskałoby lepsze miejsce w klasyfikacji medalowej. Dla większości migrantów prawda jest jednak inna. Dlaczego więc oboje znaleźli się w europejskim wielkim mieście, którego reguły okazują się dla nich zabójcze? Zapewne w obu przypadkach zaczęło się od decyzji wyjazdu pod wpływem opinii o „lepszym" życiu w Europie, rozpowszechnianej za pośrednictwem dostępnych u siebie mediów i dobrych rad pośredników oraz przemytniczych gangów. Fundamentem całego systemu jest bowiem interes tych gangów, które zapewne dobrze opłacają się na miejscu, w Europie. Jakoś bowiem dziwnie słabo idzie powstrzymywanie bezsensownego napływu migrantów ze strony policji, straży granicznych i polityków, którzy lansują wielokulturowość i „miłość bliźniego". W tej bezradności widać albo bezdenną głupotę, albo interes materialny lub polityczny w postaci potencjalnych głosów nowych wyborców.

Po przybyciu do Europy nielegalni migranci wpadają oczywiście w błędne koło: zanim staną się legalni, muszą się ułożyć ze światem przestępczym, ponieważ ośrodek dla „uchodźców" nie daje nadziei na szybkie przystosowanie. Pobratymcy z wcześniejszych fal migracji są jedynie konkurencją, z którą trzeba się ułożyć. Pomogą miejscowi, biali przestępcy, którzy zatrudnią przy handlu narkotykami lub prostytucji. Nie będą mieli przy tym skrupułów. Bo kto się upomni o „nielegałów"? W ostateczności pozostaje rozbój. Czy w tych warunkach w kolejnych falach migrantów będą dojrzewać podziw i szacunek do „wartości europejskich"? Zapewne sympatyczna para bohaterów filmu rokowała takie nadzieje, ale w większości przypadków naturalną reakcją na warunki wchodzenia w „legalny" świat europejski jest narastająca nienawiść do tego świata.

Pas transmisyjny zwabiania migrantów stale się kręci. Napędzają go głupota i potężne interesy. Gdzie są w tym wszystkim policja i wymiar sprawiedliwości? Zapewne zajęci są wyznawaniem „wartości europejskich". ©℗

eprasa.pl 9265260d78

PARTIA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Słowo „partia" oznacza coś zupełnie innego w Polsce i w USA. U nas do partii się możesz zapisać, a w USA się nie zapisujesz, bo nawet nie byłoby gdzie. Nie ma składek, legitymacji, nie ma partyjnych list ani komitetów, które mogłyby przyjąć lub usunąć członka. Amerykańska partia (demokratyczna, republikańska – obojętne) nie ma narzędzi, aby kogoś zawiesić w prawach członka lub zrobić mu proces dyscyplinarny za poglądy lub głosowanie niezgodne z linią partii. Tylko od ciebie zależy, kim się czujesz, i wyłącznie to stanowi o przynależności, a partia nie ma tu nic do gadania (w Polsce ma). W USA, gdy czujesz się demokratą lub republikaninem, to nim jesteś, bo taka twoja wolna wola. Partyjne władze nie mogą ci powiedzieć, że nie jesteś, bo w USA nie ma nawet tych partyjnych władz, są… liderzy. Wybitne postaci, których inni słuchają, bo ich szanują i cenią.

Amerykańska partia ma pośród swoich członków kilka postaci wpływowych, z autorytetem, lub charyzmatycznych, na których inni się oglądają, słuchają. Wszystko jest niesformalizowane. Liderem partii jest zazwyczaj urzędujący prezydent. Ale ten lider nie ma prawa ani narzędzi, aby wydawać polecenia innym osobom w swojej partii.

Obecnie liderem partii demokratycznej wcale nie jest Joe Biden i nigdy, nawet przez sekundę, nie był. Liderem pozostał Obama. Nikt go nie mianował, bo nie ma stanowiska sekretarza generalnego, jest tylko nieformalna pozycja „społeczna" lidera. Obama jest przywódcą, bo go inni słuchają i robią to dobrowolnie.

***

Nie ma kierownictwa krajowego ani struktury formalnej, nie ma prezesów. Jedyną w miarę formalną strukturą jest komitet wyborczy, którego zadaniem jest ogólna koordynacja. Komitet wyborczy pomaga kandydatom, gdy się do niego zgłoszą. Ktoś kandyduje na senatora w małym stanie, dzwoni i prosi o pomoc w zdobywaniu forsy na kampanię. Komitet bierze za telefony i dzwoni do znanych donatorów partii demokratycznej. Komitet wyborczy jest narzędziem, a nie władzą partii. Jest jak telefon. Ma zadania podobne do biura organizacji targów krajowych dowolnej branży. Gdyby to były targi motoryzacyjne, to takie biuro nie ma wpływu na to, co przywiozą i pokażą wystawcy, nie może im kazać, by wystawiali inne modele samochodów.

Przykład: Donald Trump nie musiał w żaden sposób „przejmować władzy" w komitecie wyborczym republikanów. Po prostu jest najbardziej popularnym politykiem republikańskim i komitet wyborczy nie miał nic innego do roboty, jak mu w tej sytuacji pomagać. Gdyby ludzie z komitetu pomagać nie chcieli, toby ich wymieniono na innych i nawet nie wiadomo dokładnie, kto by ich wywalał, bo to jest tak niski szczebel kompetencji jak zarząd parkingu w dużej korporacji.

Donald Trump wysłał do komitetu wyborczego republikanów swoją synową. Laura Trump (żona najstarszego syna Eryka) jest producentem telewizyjnym. To ona zajęła się produkcją tego telewizyjnego show, którym była tegoroczna konwencja wyborcza. Nikt tego nie kwestionuje (nawet wredna Hillary Clinton), że to była najciekawsza konwencja partyjna w historii USA. Doskonały dramatyczny show, który ostatecznie zjednoczył republikanów wokół Donalda Trumpa. Laura Trump nie musiała wyważać drzwi do komitetu – została szefem organizacyjnym bez żadnych partyjnych debat. Drugim szefem pozostała osoba, która była tam wcześniej i orientowała się w sprawach rutynowych, księgowości i w zamawianiu papieru toaletowego.

***

Dyscyplina partyjna w USA nie istnieje – każdy polityk kandydował w jednomandatowym okręgu wyborczym i reprezentuje ten okręg oraz siebie. Istnieją więc w amerykańskim Kongresie demokraci przeciwni aborcji oraz republikanie popierający mordowanie dzieci nienarodzonych.

W Polsce to partie ogłaszają swoje programy wyborcze i wtedy ujawnia się jakaś „linia przewodnia". W USA nic takiego nie ma. W USA swój program wyborczy ogłasza pojedynczy kandydat i deklaruje, że jest mu najbliżej do tej czy tamtej partii lub do żadnej.

Jednomandatowe okręgi wyborcze na wszystkich szczeblach władzy od szeryfa w mojej amerykańskiej wiosce do prezydenta Stanów Zjednoczonych w Waszyngtonie. Z istnienia jednomandatowych okręgów wynika to, że ktoś się po prostu zgłasza „będę kandydował" i… kandyduje, a przy okazji nadmienia, że będzie to robił jako demokrata, bo czuje się demokratą.

Nie jestem w stanie wytłumaczyć moim kumplom z knajpy w Arizonie, na czym polega i jak działa w Polsce dyscyplina w głosowaniach. Nijak tego nie rozumieją. To jest dla nich tak ABSURDALNE, że niepojęte. Ktoś ma jakieś przekonania, trafia na listę partyjną wpisany tam przez Jarosława lub przez Tuska, a potem w chwili głosowania nad ustawą ma zachować dyscyplinę partyjną i zagłosować wbrew swojemu sumieniu, wbrew swoim przekonaniom, bo go zobowiązuje „dyscyplina partyjna".

– No ale jak? – pytają moi kumple z knajpy. – Jakiś partyjny bonzo każe komuś głosować wbrew jego sumieniu i robi to oficjalnie oraz ma narzędzia przymusu (kary partyjne, zawieszenie członkostwa, wywalenie z partii…). Przecież to dyktatura, a nie demokracja.

***

W USA od wprowadzania dyscypliny i porządku w ważnych dla partii głosowaniach jest tzw. Whip. Po polsku „zaganiacz". Słowo pochodzi z dawnych czasów polowań z psami i nagonką. Whip to osoba, która pilnuje psów, aby się nie rozbiegały i nie oddzielały od sfory. Najczęściej przekonuje. Jakiś senator nie chce głosować, a jego głos jest kluczowy. Wtedy Whip idzie się targować – proponuje kilka innych głosów senatorskich w innej sprawie, która jest ważna dla tego senatora, bo dotyczy jego okręgu wyborczego. Coś za coś i to są targi, a nie przymusowe łamanie sumień.

Teoretycznie można kogoś usunąć z grona senatorów demokratycznych lub republikańskich w Kongresie. Ale co z tego, że nie będzie zapraszany na cygara do klubu swojej partii, skoro on nadal uważa, że jest demokratą? Partia nie ma tu nic do gadania, bo tylko ty decydujesz, kim jesteś, a nie oni. ©℗

eprasa.pl 9265260d78

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY

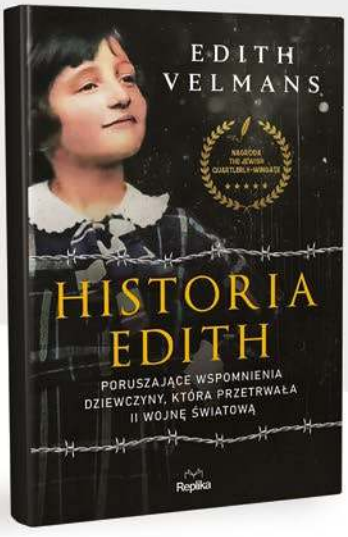

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

EDITH VELMANS: „HISTORIA EDITH"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1348~~ ZŁ

422,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 926 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 9265260d78

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

BATORY – POGROMCA IWANA GROŹNEGO

Rzeczpospolita miażdży Moskwę – Stefan Batory zreformował państwo i obronił Inflanty przed Iwanem Groźnym, zamykając Moskwie to „okno" na Zachód

Tajemnica śmierci Batorego – Dwaj włoscy medycy przez lata obwiniali się nawzajem o spowodowanie śmierci króla Polski, wytaczając najcięższe zarzuty

Złoty amok USA – Pogoń za tym drogocennym kruszcem dla większości poszukiwaczy okazywała się trudem ponad siły. Muzeum w Seattle bardzo prawdziwie pokazuje dramat ofiar gorączki złota

Złota ręka Żelisława – Jednym z zaufanych rycerzy Bolesława Krzywoustego był komes Żelisław. W „Kronice polskiej" Galla Anonima jego imię pada tylko jeden raz, ale za to w spektakularnych okolicznościach

Polskie ucieczki z białego piekła – Zesłańcy wykazywali się ogromną inwencją, by wyrwać się z Syberii

Ścięte głowy katów wielkiego terroru – Stalinowska machina represji dopadła w końcu samych morderców z NKWD. Szczególnie skrupulatnie wyniszczeni zostali oprawcy polskiego pochodzenia

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 9265260d78